

Do Redakcji
H. Kurjera Codziennego

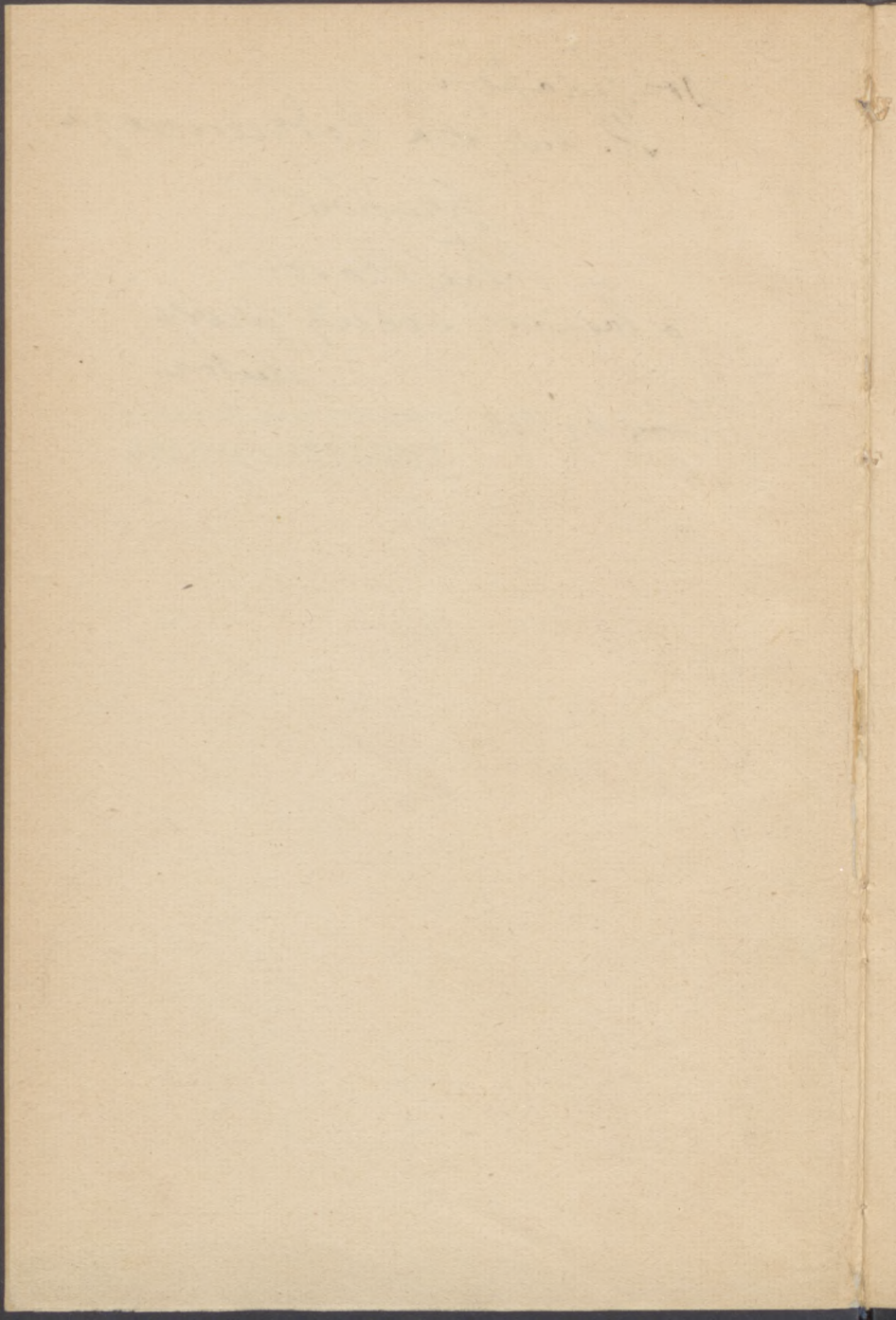
Kraków
Pałac Prasy -
o łaskawą ocenę prosi
Autor

Lwów 6/2 1939.

ALEKSANDER GRAU - WANDMAYER
ZMIERZCH AUSTRII

[Faint handwritten signature]

Red. J. Stankiewicz



367681

ALEKSANDER GRAU - WANDMAYER

ZMIERZCH AUSTRII

Z ZA KULIS DYPLOMACJI
AUSTRO-WĘGIERSKIEJ MONARCHII

SKŁAD GŁÓWNY:
KSIĘGARNIA „KSIĄŻKA” ALEKSANDRA MAZZUCATO
LWÓW, CZARNIECKIEGO 12

Copyright by Aleksander Grau-Wandmayer
Lwów, Heninga 8 b
1939



367681

Lwowska Drukarnia Nowoczesna, Lwów, Pasaż Mikolascha.

K.1693/66

PRZEDMOWA.

Autor zupełnie słusznie i trafnie określił spisane przeżycia jako „wiązaną wspomnień z lat kilkunastu”. Jaki okres one obejmują i kto je spisywał?

Okres czasu ujęty latami 1905 do 1918, zatem przełomowy w dziejach, od rewolucji rosyjskiej aż po zakończenie wielkiej wojny. Ile same czasy dostarczyć mogły i umiały materiału obserwacyjnego dla człowieka, który chciał i umiał patrzeć, jeżeli ponadto ograniczył swe pole obserwacji do terenu jego osobistej pracy i działalności. Tego rodzaju nastawienie mogło jedynie skoncentrować uwagę piszącego, bez tak łatwego w tych razach rozpraszania się i utonięcia całkiem po prostu w nadmiarze wydarzeń i szczegółów. Materiał przeżyć łączy się już bezpośrednio z zawodem piszącego.

Aleksander Grau-Wandmayer był urzędnikiem konsularnym. Zaczyna od konsulatu w Warszawie, by potem okres najważniejszy spędzić w charakterze sekretarza konsularnego w różnych miejscowościach Ameryki. Ileż tu pola — które zmieniało się, jakby w kalejdoskopie — do obserwacji — jakaż to masa narodów, ludzi, wreszcie i typów.

Autor umiał nie tylko patrzeć, ale wrażenia swe ubrać w pociągającą formę wspomnień. Z publicystyką się już parał od lat młodzieńczych w okresie swych podróży i studiów zagranicznych, nie zaniedbał jej w okresie sprawowania swych funkcji urzędowych, które nieraz wiązały się bezpośrednio z zawodem dziennikarskim. Jest autorem szeregu artykułów, memoriałów i udanych powieści, osnutych na kanwie życia społeczeństwa i Polonii amerykańskiej.

Niezmiernie ważną a zarazem pociągającą cechą obecnych wspomnień — to prostota i szczerść wypowiedzenia. To nadaje wywodom ton taki swoisty, wolny od przesady, chęci upajania się własnym słowem, chociażby ono uzewnętrznić miało przeżycie wielkie i górne.

Pomocą walną służyły autorowi: czasy i ludzie tych lat nieodłączni. Lata — jako się rzekło — przesiłne. Ludzie znów ciekawi i pociągający, godni uwagi zarówno ze względu na właściwości dobre czy przyszwary już graniczące wprost ze zbrodnią. Arcyciekawej galerii typów dostarczała sławetna dyplomacja austriacka. Przeważał tam element węgierski, dochodzący do ogromnej liczby, gdyż do 70%. Ileż tu spraw, pociągnąć obecnie zrozumiemy, jeżeli zapoznamy się z „typami“, w których rękę ogniskowały się nieraz zawile, subtelne, to znów śliskie zagadnienia dyplomatyczne. Przeciętny czytelnik nie domyślał się nigdy — i ja do tych należałem — ile tam, w tym rzekomo dobranym korpusie, zebrało się: głupoty, szalbierstwa, zarozumiałości, nieuctwa, próżniactwa

i wprost nieokiełzanej żądzы dochodów, zarobków per fas et nefas.

Nas specjalnie pociągają środowiska wspomnień: więc Warszawa z r. 1905 — pamiętny strejk 1 maja 1905, jego wielkie ofiary. Pierwsi ofiarnicy i bojownicy Niepodległości...

A na drugiej półkuli znowuż milionowe rzesze naszych wygnañców, te olbrzymie zastępy ludzi bez ojczyzny, bez opieki, zdane na łup i wyzysk najpierw agentów emigracyjnych, a później pożerane przez molocho kapitalizmu. I tak ginęły i odchodziły w zaświaty tysiące najlepszych rąk roboczych — bez żalu, wspomnienia, osądzone jako arystokracja całego europejskiego wychodźstwa.

Jeno od czasu do czasu zawitał jakiś promyk, dusza życzliwa w osobie nieodżałowanego prof. Siemiradzkiego, Kułakowskiego i innych działaczy polskich, spieszących z dobrym słowem do braci amerykańskich.

Autor patrzył na przejścia tych tragicznych zastępów, poznał jego dole i niedole — smutki i radości — wszak żył wśród nich, skromną służył pomocą w granicach swych wpływów i możliwości.

A czyż nie jest ciekawą owa, na wielką skalę prowadzona akcja prawosławia dla celów wybitnie politycznych lub wypadki w Pittsburgu niedawno odżyły! I takich kwestii moglibyśmy przytoczyć wiele.

Zdajemy sobie obecnie sprawę, a poważna świadomość dociera do kręgów coraz szerszych, jakie znaczenie posiadają i dla oceny przeszłości — po-

dobne wspomnienia. Jaki ważny stanowią materiał historyczny — bezpośredni, wiarygodny. To już najlepsze zalecenie. Wszak są owymi skromnymi a koniecznymi cegiełkami w budowie gmachu przyszłości.

Warte zalecenia, godne przeczytania, zasługują na przemyślenie. Niechaj z tymi walorami idą na chwałę autora i pożytek czytających.

KAZIMIERZ HARTLEB

I.

„Z Najwyższego Rozkazu“.

Praca niniejsza nie jest autobiografią. Nie jest też cennym przyczynkiem do historii ostatnich czasów. Jest, co najwyżej, wiązką wspomnień z lat kilkunastu, lat tak ciężkich, tak pełnych zdarzeń, jakich historia świata w całej swej przeszłości mało znała. Lata owe stworzyły epokę, w której prawie wszystkie narody świata grały mniej, lub więcej poważną — ba — nawet tragiczną rolę, lecz najbardziej dramatyczną rolę w tej epoce odegrała — jak mi się zdaje — Polska, predestynowana już przez historię do ról tragicznych, wyrażających się w tak silnych akcentach Jej twórczości, bądź to literackiej, bądź to muzycznej, lub w malarstwie.

Ponieważ każdego Polaka obchodzić mogą w pierwszym rzędzie sprawy polskie, t. j. sprawy, dotyczące wszystkich Polaków, zacznę moje osobiste wspomnienia od czasu ostatnich krwawych walk niepodległościowych w Królestwie.

W r. 1904 siedziałem jako skromny urzędnik Lwowskiej Dyrekcji Poczty i Telegrafów w wielkiej sali telegraficznej przy aparacie, odbierając mniej lub więcej ważne depesze. Nie zauważyłem wchodzącego na salę Naczelnika telegrafów ś. p. Schreibera, który kładąc mi rękę na ramieniu, polecił mi oddać aparat sąsiadowi i udać się do kancelarii Dyrektora, ś. p. Podlewskiego, który ma coś ważnego do zakomunikowania.

W pierwszym pokoju Dyrektora urzędował jego zastępca, również nieżyjący już dziś adiunkt, ś. p. Łoziński, który uśmiechając się do mnie, dał mi jakby tajemniczym gestem znak, by wejść do biura Szefa Urzędu Lwów 1.

Dyrektor Podlewski, na mój widok wstał z miejsca i podając mi rękę, rzekł: „Gratuluje Panu odznaczenia. Wypadek, jakiego nie widziałem w całej mojej służbie“.

Ś. p. Dyrektor Podlewski doręczył mi przy tej okazji trzy dokumenty:

1) Dekret Austriacko - węgierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych we Wiedniu, mianującego mnie kontraktowym urzędnikiem konsularnym z przydziałem „prowizorycznie i na próbę“ do austr. węgierskiego Konsulatu Generalnego w Warszawie;

2) Pismo austriackiego Ministerstwa Handlu, jako najwyższej władzy Zakładu Poczty i Telegrafów, którym to pismem zostałem powiadomiony, że Ministerstwo zwalnia mnie na przeciąg jednego roku ze służby pocztowo-telegraficznej i że Kasą Poczтовую dostała polecenie wypłacenia mi na rachunek Ministerstwa Spraw Zagranicznych na koszt podróży ze Lwowa do Warszawy kwoty 250 koron — i wreszcie

3) Paszport dyplomatyczny, opiewający, że „Z Najwyższego rozkazu Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości Franciszka Józefa I wszystkie władze graniczne i celne są wezwane — zaś te, należące do obcych państw proszone — okaziciela paszportu wszędzie bez przeszkód przepuszczać, a w razie potrzeby udzielać mu pomocy.

Zważywszy jednak, że ja ani tradycją rodową, ani wysokim urzędem, lub protekcją do służby zagranicznej, w której znajdowali się synowie najwyższej arystokracji Austrii i Węgier, właściwie tytułu nie miałem, byłem tem trochę zdziwiony, jakkolwiek starałem się w swoim czasie o przyjęcie mnie do służby zagranicznej, powołując się na złożone na Uniwersytecie egzaminy z francuskiego, angielskiego i rosyjskiego oraz na zamianowanie mnie

przez b. Sąd krajowy przysięgłym tłumaczem z owych języków.

Fakt, że służba zagraniczna Austro - Węgier, była do pewnego stopnia służbą dworu, gdyż Ministerstwo tego resortu było równocześnie Ministerstwem Dworu, (legitymacje kolejowe urzędników dyplomatycznych i konsularnych opiewały, że dany funkcjonariusz jest: „Ein Hof- und Staatsbediensteter“), to moje wyróżnienie wśród kolegów w służbie pocztowo-telegraficznej stanowiło wielką sensację nie tylko w gronie kolegów niższej kategorii, lecz i w sferach moich przełożonych. Ówczesny Prezydent Dyrekcji Poczty i Telegrafów ś. p. Seferowicz, powiedział mi przy mojej pożegnalnej audiencji, że „zaszczyt, który Pana spotkał, jest zaszczytem dla całej Dyrekcji“.

Trzeba bowiem pamiętać, że w oczach przeciętnego obywatela znaczenie urzędów i stanowisk w służbie zagranicznej przed wojną było wielkie, chociaż — jak się później przekonałem — znaleźli się w tej służbie i to na stanowiskach bardzo wybitnych i zaszczytnych, ludzie niegodni, cyniczni i niezdolni, którzy do upadku Monarchii i do ostatecznego zniknięcia Austrii nie mało się przyczynili.

Ponieważ działalność tych osób dotyczyła również Polaków na dwóch kontynentach świata, muszę z natury rzeczy zająć się czynnością tych obcych czynników. Oby moje niewesołe wspomnienia były przestrożą dla tych, w ręce których nasze obecne rządy złożyły opiekę nad wychodźcami i obywatelami naszego Państwa. Na kształtowanie się życia Polaków za granicą, na ich mentalność i na ich stosunek do Macierzy - Polskiej, urzędnicy Rzeczypospolitej przez spełnianie powinności publicznych i zajmowanie się sprawami naszej emigracji wywierają wpływ doniosły.

Konsulem generalnym austriacko-węgierskim w Warszawie był wówczas arystokrata węgierski Stefan de Ugron de Abranfalva, człowiek bardzo dumny, nie odzna-

czający się jednak wybitną inteligencją. Do pomocy miał przydzielonych Wice-konsula Dra Mariana Heimrotha von Hessfeld (Polaka), Sekretarza Adolfa Michanovicha von Frankenhardt i szereg niższych utytułowanych i nieutytułowanych urzędników etatowych i kontraktowych, pomiędzy innymi i obywateli rosyjskich. Biura konsulatu i mieszkanie Ugrona znajdowały się w Alejach Jeruzolimskich L. 23. Konsul Ugron, chociaż kawaler, zajął na swoje prywatne mieszkanie cały front dużego domu i lewe skrzydło pierwszego piętra, zostawiając dla biur jedno skrzydło piętrowe i kilka pokoi w parterze na podwórzu, z dostępem prymitywnym, obok wejścia do piwnic, z których wieczny smród kwaszonej kapusty zatruwał powietrze.

P. Ugron — w stosunku do przydzielonych mu urzędników — zachowywał się jak koronowana głowa wobec swoich poddanych. Człowiekiem pełnowartościowym mógł być w jego oczach tylko ktoś z tytułem conajmniej hrabiowskim, lub urzędnik odznaczony orderem Leopolda, wszyscy inni powinni byli stać na baczność, spełniać gorliwie rozkazy i milczeć. Satrapą jednak nie był, a zachowaniem swoim zgorszenia nie wywoływał, jak to inni czynili.

Przedsmak tej azjatyckiej mentalności i służalczości, jaka charakteryzowała niektórych urzędników służby zagranicznej austro-węgierskiej, miałem po przeczytaniu listu Sekretarza Mihanovicha de Frankenhardta do mnie z polecenia Gen. Konsula Ugrona jeszcze przed moim wyjazdem do Warszawy. Składa mi gratulacje z powodu przydziału do służby Jego Cesarskiej i Król. Mości i pozdrawiając mnie w imieniu szefa, używa zaimków, zastępujących nazwisko Ugrona w tym rodzaju, jak „Hochder selbe“ i t. p.

Nareszcie w styczniu 1905, przybyłem do Warszawy i zamieszkałem w starym hotelu Europejskim. Był to bardzo obszerny i dość schludny gmach, do którego zajeź-

dźali przeważnie ziemianie i ludzie z tradycją. Nowy, przez Paderewskiego wybudowany hotel Bristol naprzeciw Europejskiego patronizowany był przeważnie przez rosyjskich wyższych czynowników, oficerów, bogatych żydów i zagraniczną klientelę.

W Europejskim była również dobra restauracja, dająca obfite obiady (menu z 3 dań) za 75 kop., co było w porównaniu z innymi pierwszorzędnymi restauracjami Warszawy bardzo tanio.

Miasto natomiast robiło w owym czasie ponure wrażenie. Wojna i początek rewolucji wycisnęły na mieście piętno ciężkich i bolesnych cierpień.

Gdy bawiłem w Warszawie w jesieni 1898 roku, doznałem miłego wrażenia, że Warszawa, ta ukochana stolica Polski, była ośrodkiem dobrobytu, wielkiego handlu i przemysłu polskiego, źródłem polskiej twórczości, z którego nie tylko Polska, lecz całe imperium rosyjskie zaopatrywało się w artykuły tekstylne, wyroby galanteryjne, metalowe i zaspakajało swoje kulturalne potrzeby.

Mimo, że polityka rządów rosyjskich miała na celu gnębienie Polaków, bezwzględną rusyfikacją, eksploatacją fiskalną (z podatków zebranych w Polsce pokrywano nie tylko utrzymywanie w „priwislinskom kraje“ wielkiej armii i niezliczonych czynowników, popów, policjantów i żandarmów, lecz 60% podatków ponad wszystkie wydatki w byłym Królestwie Polskim szły do Rosji, do tych gubernij, które nie mogły lub nie chciały utrzymywać carskiej administracji), jednak życie kulturalne Warszawy i dobrobyt jej mieszkańców rosły wówczas nieustannie.

Lecz jakie tu zaszły w przeciągu tylko kilku lat zmiany. Po sześciu zaledwie latach Warszawa wydawała mi się jakby obumarłą. Na ulicach stosunkowo mało ludzi, na blisko milionowe miasto (Warszawa liczyła wówczas 900.000 mieszkańców). Dużo sklepów pozamykanych lub zabarykadowanych, przechodnie z wyrazami trwogi i znu-

żenia na twarzy, tu i ówdzie silne patrole policji i wojska, po kątach ulic tłumy wynędzniałych ludzi, proszących o jałmużnę.

II.

Praca w konsulacie.

Konsulaty są to t. zw. władze zastępcze, t. j. zastępują za granicą władze swego kraju z tą tylko różnicą, że nie mają żadnej egzekutywy. O wykonywanie egzekutywy muszą prosić władze państwa, w którym są akredytowane, a pozwolenie to zostaje z reguły udzielane, o ile istnieje pomiędzy tymi krajami konwencja konsularna jako ustawa, obowiązująca oba kraje. Konwencje, czyli traktaty konsularne, nie są we wszystkich państwach jednakowe. Podczas gdy do wojny światowej mocarstwa europejskie utrzymywały w Turcji, lub w Chinach własne sądy konsularne, ba, nawet własne więzienia dla swoich obywateli-przestępców, to Anglia ze swoim całym imperium nie miała żadnego traktatu konsularnego, a zatem na całym terytorium Wielkiej Brytanii ani konsulowie, ani ich urzędnicy nie byli i nie są po dziś dzień nietykalni, a biura konsularne nie reprezentują terytorium państwa odnośnego konsulatu. Li tylko Ambasady i Poselstwa są eksterytorialne a dyplomaci nietykalni.

Traktaty konsularne zawierają przeważnie wzajemne układy w sprawie ekstradycji przestępców (z wyjątkiem przestępców politycznych). Za przestępstwa, jak pospolicie morderstwo, podpalenie, defraudację na szkodę państwa Ameryka wydaje, natomiast za morderstwo polityczne, za zwykle oszustwo lub kradzież, Ameryka przestępców nie wydaje, jednak na podstawie ustaw emigracyjnych przestępców do Ameryki nie wpuszcza.

Inne konwencje zawierają umowy co do regulowania spraw spadkowych, udzielania pomocy prawnej, a pomie-

dzy dawną monarchią austriacko-węgierską a Niemcami istniała nawet umowa o wydawaniu dezertarów z wojska, względnie poborowych.

Praca w austriacko-węgierskim Konsulacie Generalnym podzielona była na referaty. I tak: Sekretarz Mihanovich był referentem dla spraw wojskowych, t. j. poborowych i ewidencji rezerwistów, trzech urzędników zatrudniano zwykle w biurze paszportowym i wiz; (Rosja była przed wojną jedynym krajem, gdzie paszport był najważniejszym instrumentem rządzenia, dlatego i Austria musiała zaopatrzyć każdego swego obywatela w Rosji w paszport, a przekraczających granicę austriacką poddanych rosyjskich w stosowne wizy), był dalej referent dla spraw handlowych, referat dla spraw społecznych i t. d., a całe kierownictwo spoczywało w rękach Generalnego Konsula, względnie jego zastępcy.

Korespondencję ogólną z kancelarią generał-gubernatora z poszczególnymi gubernatorami, sądami, prezydentami miast, powierzono mnie z tytułu znajomości języka rosyjskiego.

Oprócz czynności jawnych, konsul generalny Ugron miał za zadanie informować tak Ministra Spraw Zagranicznych, jak Ambasadora w Petersburgu (był nim wówczas hr. Aehrenthal) o wszystkich ważnych zajściach politycznych w okręgu konsularnym, o zarządzeniach jawnych i tajnych Generał Gubernatora, lub innych podwładnych mu czynników, o nastrojach ludności i o czynności rewolucjonistów, względnie o czynach tej bohaterskiej, szczupłej garstki Polaków, która z bezprzykładnym lekceważeniem własnego życia, rozpoczęła krwawą wojnę z rosyjską policją, żandarmerią — ba, nawet z wojskiem, w celu obalenia panującego systemu.

Ponieważ te tajne sprawozdania wedle wskazówek Ministerstwa musiały być pisane ręcznie, na specjalnym szaro-niebieskawym papierze i specjalnym atramentem, ja zaś miałem pismo kaligraficzne, przypadł mi w udziale

obowiązek przepisywania tych sprawozdań Generalnego Konsula, który mi razu pewnego poufnie zakomunikował, że sprawozdania te czyta czasami sam cesarz Franciszek Józef.

Również przepisywać miałem na maszynie w języku francuskim memoranda Ugrona, t. zw. „Aide memoire'y“, które sobie przygotował każdym razem, gdy szedł, czy jechał do Generał - Gubernatora z jakąś interwencją. Natomiast interwencje ustne u Ober - Policmajstra, lub w Zarządzie Żandarmerii mnie zostawił.

Miałem z tego powodu dostęp do spraw nadzwyczaj ważnych i fascynujących, o których zamierzam mówić, a które pozostały mi w pamięci, głównie sprawy, dotyczące rozpoczętej walki o wyzwolenie Polski z pod jarzma rosyjskiego, o nastrojach społeczeństwa, o groźnej reakcji i o bestialskim odwecie rosyjskich satrapów.

Siedziałem często do północy i później w konsulacie, przepisyując tajne sprawozdania, a wychodząc w ciemną noc z domu przy Alejach Jerozolimskich do bliskiej ulicy Zgoda, gdzie mieszkałem, byłem nieraz zatrzymywany przez silne patrole policyjno - wojskowe, prowadzące już szereg podejrzanych obywateli, otoczonych żołnierzami. Po wylegitymowaniu się, otrzymałem od prowadzącego patrol przystawa radę, udania się bezzwłocznie do domu, gdyż było rzeczywiście niebezpiecznie chodzić wówczas w nocy po ulicach Warszawy.

Źródła, z których Ugron czerpał informacje dla swoich sprawozdań, były dość liche i niepewne. Głównie z gazet, lub od osób, stojących zdala od ruchu rewolucyjnego. I tak np. raportując przez długie miesiące o wielkich powszechnych strajkach, o wyczynach rewolucyjnych socjalistów, o masowych zabiciach policjantów, o terrorze bojowców, nigdy nie wiedział, kto kierował tą garstką bojowców, kim oni byli i jakie były ich prawdziwe cele, powodujące tak niesłychaną brawurę oraz ryzyko młodego życia. Nie wiedział wówczas o nazwiskach Józefa Piłsudskiego, Aleksan-

dry Szczerbińskiej, Wandy Krahelskiej, Aleksandra Prystora, Sławka, Mireckiego, Mańkowskiego i tylu innych.

Ugron sam czytywał gazety wiedeńskie i budapeszteńskie, a dla zapamiętania języka francuskiego przeglądał od czasu do czasu jakiś francuski miesięcznik polityczny, przywieziony przez kuriera, który co dwa tygodnie przywoził pocztę z Wiednia, a w drodze powrotnej z Petersburga.

Gazety warszawskie były czytane przez urzędników różnych działów, którzy codziennie konsulowi referowali. Czytał zatem Wicekonsul Heimroth „Kurier Warszawski“, jeden z urzędników oddziału paszportowego czytał „Kurier Poranny“, inny „Gazetę Narodową“, ja zaś rosyjski dziennik „Dnjewnik Warszawski“.

Ustne informacje dostawał generalny Konsul od swojej intymnej przyjaciółki, żony pewnego adwokata i naczelnego redaktora dziennika; wice-konsul zaś Dr. Heimroth stołował się w klubie myśliwskim, dokąd chodził na życzenie szefa, aby — jak się wyraził — „den Leuten die Würmer aus der Nase zu ziehen“ (ludziom wyciągać robaki z nosa).

Natomiast bardzo ciekawe były informacje, udzielane od czasu do czasu przez różnych kupców, handlujących z Austrią i zwierających się referentowi handlowemu, szczególnie wówczas, gdy nie mogli płacić zagranicznych weksli i gdy prosili o zwłokę. Kupcy warszawscy wiedzieli więcej o tym, co się działo, aniżeli członkowie różnych ary-stokratycznych klubów, lub żony redaktorów.

III.

Rozruchy.

W dwa tygodnie po moim przybyciu do Warszawy wybuchł tam ogólny strajk. Stały fabryki, pozamykano cukiernie, kawiarnie i sklepy, nie kursowały tramwaje ani



dorożki. W dzień było cicho, lecz w nocy powstawały awantury, prowokowane przez szefa policji Nolkena, który chcąc skompromitować robotników i socjalistów w oczach społeczeństwa, wypuszczał różnych zwykłych przestępców, znajdujących się w aresztach śledczych za kradzież, lub rabunek, uzbrajał ich w pałki i noże i dawał tej szumowinie do zrozumienia, że mogą rabować sklepy i mieszkania, i że za to karani nie będą.

Rozpoczęło się rozbijanie szyb wystawowych, rabowanie sklepów w dzień i w nocy, wymuszanie okupów od kupców, masowe aresztowania i katowania w aresztach nie właściwych, pospolitych zbrodniarzy, lecz robotników fabrycznych, a Generał-Gubernator Czertków z polecenia sławnego satrapy generała Trepowa ogłosił w Warszawie stan wyjątkowy wzmocnionej ochrony. Dla ścisłego i bezwzględного wykonania tych rozkazów Trepow zamianował wojennym generał-gubernatorem Warszawy generała Nowosiłcowa.

Strajk jednak trwał przez kilka tygodni, celem zaś zastraszenia mieszkańców i stłumienia wszelkich manifestacji, wojsko otrzymało rozkaz strzelania bez uprzedzenia, wszędzie, gdzie się pokażą demonstranci, lub gdy zdarzą się najmniejsze rozruchy. Rozkaz ten wykonywali żołnierze nawet wtedy, gdy nic się nie wydarzyło. Często strzelano do spokojnych przechodniów, aresztowano i katowano ludzi, nie mających z ruchem wyzwolenicznym nic wspólnego.

Wobec tak łajdackiego postępowania władz rządowych Komitet wykonawczy P. P. S. wydał odezwę, zapowiadającą krwawy odwet.

Jakkolwiek odbitki tej odezwy dostały się za pomocą woźnych do konsulatu i zostały przetłumaczone na język niemiecki, Gen. Konsul von Ugron w swoich sprawozdaniach ciągle mówił o socjal-demokratkach (zdaje się dlatego, aby w ogóle wszystko, co z tą nazwą się wiązało, skompromitować, albo poprostu z nieznajomości faktycz-

nego stanu rzeczy), czyli nie wiedział, że P. P. S. była oddzielną organizacją i jedyną, która rozpoczęła rozpaczliwą walkę o wskrzeszenie Polski, gdy socjal-demokraci byli częścią rosyjskiej socjal-demokracji, walczącej o oswobodzenie Rosji z pod jarzma carów i jego satrapów, a nie mający z ideą walki o wolną Polskę nic wspólnego.

W kilka tygodni później rozpoczęła się gwałtownie akcja rewolucyjna. Wydział bojowy przystąpił do tworzenia t. zw. Kół techniczno-bojowych, których zadaniem było wyrabianie bomb, organizowanie pojedynczych mniejszych grup, obznajomionych z używaniem broni, organizowanie ludzi o pewnym oku i silne ręce, a przede wszystkim gotowych każdej chwili ginąć dla sprawy.

Zaczął się krwawe polowanie na policjantów, żandarmerów, oficerów i grupy wojskowe. Zginęło od strzałów rewolwerowych i od bomb kilkaset ludzi, niszczone sklepy monopolowe, zabity został Oberpolicmajster Nolken, rzucono bomby na generała Nowosilcowa.

Z drugiej strony wywołało to masowe aresztowania podejrzanych robotników, studentów, ludzi z pośród inteligencji miejskiej. Rozpoczęła się istna inkwizycja hiszpańska; w Ochranie i w aresztach miejskich zaczęły się sypać wyroki śmierci, zesłania na Sybir, katongi, wydalenia z Królestwa Polaków z zaboru austriackiego, zamykano szkoły, wydawano zakazy używania języka polskiego w urzędach; jednym słowem terror na całej linii.

IV.

1 maj 1905-go roku.

Dnia 1-go maja 1905-go roku wyszedłszy o godzinie 9-tej rano z domu, stanąłem jak wryty. Ulice były ciche i bezлюдne — jak na cmentarzu — ani tramwaju, ani dożki, restauracje i mleczarnie pozamykane; dopiero u wylotu ulicy Brackiej i Alei Jerozolimskich zobaczyłem nie-

liczne jednostki, posuwające się spiesznie w kierunku, gdzie widocznie mieli obowiązek się stawić.

Poszedłem do konsulatu i rozpocząłem samotnie urzędować — „załatwiać kawałki“ — jak ś. p. Stanisław Szepepanowski takie urzędowanie nazywał. Z urzędników nikt więcej do biura tegoż dnia nie przyszedł. O godzinie 10.30 p. Ugron otworzył drzwi od swego gabinetu i jakby przyjemnie zaskoczony moją obecnością, polecił mi zadzwonić do kancelarii General-Gubernatora i prosić w jego imieniu o asystencję wojskową, gdyż obawiał się napadu na konsulat.

Telefon był w tym dniu zajęty i obsługiwany przez wojsko. Upłynęło kilkanaście minut, zanim zdołałem rozmówić się z szefem kancelarii. Około południa przybył do konsulatu pluton dragonów, których z polecenia Ugrona ulokowałem w kancelarii paszportowej. Żołnierze znaleźli sobie słomę i ulokowali się na podłodze. Biuro wyglądało jak stajnia. Ponieważ palili papierosy, spodziewałem się, że zapalą słomę wraz z parszywymi aktami. Lecz nic podobnego się nie stało.

O godz. 1-szej, gdy byłem już bardzo głodny, bo śniadania nie jadłem, a dumny i skąpy gospodarz nie uważał za stosowne zaofiarować mi w tym dniu choćby szklanki herbaty, zostawiłem go wraz ze strażą kilkudziesięciu dragonów i poszedłem Bracką i Mazowiecką do hotelu Europejskiego na obiad. Restauracja była od zewnątrz zamknięta, lecz przez hotel można było się dostać do jadłodajni, a że byłem tam stałym gościem, więc dostałem obfity obiad, poczem powróciłem Królewską, Mazowiecką, Moniuszki i Marszałkowską do Alei Jerozolimskich. Na Marszałkowskiej zdziwił mnie widok olbrzymiej masy ludzi; chodniki były tak gęsto obsadzone powoli posuwającą się falą ludzką, że nie mogłem kroku naprzód postąpić. Około trzeciej znalazłem się na rogu Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich, naprzeciw Wiedeńskiego Dworca. Za złotym parkanem dworca, naprzeciw dzisiejszego hotelu „Polo-

nia" stała przy swoich koniach sotnia kozaków. Spojrzawszy na prawo, zobaczyłem w Alejach — po stronie szlaku kolejowego — również gęstą masę ludzi w środku ulicy z czerwonymi sztandarami, maszerującą wprost ku Marszałkowskiej. Po kilku minutach usłyszałem kilka salw i niehumanne krzyki, po czym powstał straszliwy popłoch. Uciekłem również na lewo, w kierunku konsulatu, dokąd zdołałem się dostać jeszcze przed zamknięciem bramy.

Następnego dnia dowiedziałem się z gazet, że pochód urządzili Socjal - demokraci (S. D. K. P. L.) i że to ich kosztowało około 30 trupów na miejscu i kilkaset rannych, z których wielu umarło później w bliskim szpitalu „Dzieciątka Jezus“.

Po powrocie do biura, Ugron kazał mi odprawić dragonów, gdyż oddał się oplece przybyłej do niego w ten smutny dzień dzielnej swej przyjaciółce, pani mecenasowej. Zdaje się, aby się zakonspirować, wlaź w jedwabną piżamę, gdyż w tym stroju zastałem go z przyjaciółką.

Wieczór tego dnia nie był wesoły. Po ulicach, na małych konikach gonili kozacy i co kilka minut rozlegał się odgłos strzałów. Tegoż wieczora nie było w mieście światła, ani na ulicach, ani w mieszkaniach, a kto się pokazał w oknie, mógł się spodziewać kozackiej kuli.

V.

Moje interwencje.

Nazajutrz zgłosił się do konsulatu szereg obywateli austriackich ze skargami i prośbami o interwencję. Robotnicy fabryczni, urzędnicy prywatni, kupcy, poszkodowani. Jednemu zabito żonę, innej męża, syna, innych aresztowano, przyczym mieli być odstawieni do granicy. Dla całej masy rodzin, mieszkających od kilkudziesięciu lat w Warszawie, było to zniszczenie egzystencji i zupełna ruina.

Zaczęło się spisywanie protokołów, przesłuchiwanie

świadców, wreszcie Ugron porozumiał się z Heimrothem i obaj postanowili mnie wysłać do nowego Ober-Policmajstra Meyera ze stosownym pismem i nazwiskami aresztowanych.

Meyer przyjął mnie bardzo grzecznie, rozmawiał ze mną po polsku i zatelefonował do Grüna, kierownika oddziału śledczego, wzywając go natychmiast do swego biura.

Grün, człowiek średniego wzrostu, szczupły, o czarnych kędzierzawych włosach, płaskim, jakby złamanym nosie, przenikliwych czarnych oczach i zmysłowych wargach, uchodził za największego gnębicielea i sadystę w stosunku do aresztowanych. Pochodził podobno z dobrej żydowskiej rodziny i dla wielu było rzeczą niezrozumiałą, co go skłoniło do służby w ochronie rosyjskiej w charakterze szpicla.

Meyer po przedstawieniu mnie wręczył mu pismo, konsulatu i polecił skrupulatnie przeglądać nazwiska aresztowanych i gdy zajdzie potrzeba, przesłuchiwać w mojej obecności podsądnych i świadków, a tych, przeciw którym nie ma prima facie dowodów, zaraz zwolnić i nikogo do granicy nie odstawiać.

Grün zaprosił mnie do swego biura, ofiarował mi papierosy, przy czym skarżył się na teror niektórych elementów, którzy codziennie zabijają i mordują Bogu ducha winnych policjantów i innych stróżów bezpieczeństwa.

Aby się dostać do biura Grüna, trzeba była przechodzić przez szereg wielkich pokoi, pełnych policjantów. Grün, otwierając drzwi, prowadzące do bocznych pokoi, pokazywał mi stojących lub siedzących w każdym pokoju pod strażą policyjną młodych ludzi.

„To jest terorysta, tamten morderca, tego złapano z bronią w rękę“ — mówił.

Serce krajało się z bólu na widok tych młodych bohaterów. Wszakże wiedziałem, co ich czeka. Katusze, katorga, szubienica.

Czy dzisiejsza wolna Polska zdobędzie się kiedyś na Panteon, aby pochować i ucacić po wieczne czasy tych

„lekkomyślnych“ chłopców za ich poświęcenie dla wolności ojczyzny?

Trzeba bowiem pamiętać, że ci młodzi bohaterowie, poświęciwszy swoje młode życie, nie tylko torowali drogę ku wolnej Polsce, lecz niepokojąc terorem tak potężnego wroga uniemożliwili ogólną mobilizację w całym Królestwie i wysłanie tysięcy Polaków do Mandżurii, gdzie Rosja ponosiła klęskę po klęsce.

VI.

Stali goście konsulatu.

Doczęstych gości konsulatu należeli różni dziennikarze tak polscy, jak i zagraniczni, śpiewacy i inni artyści, odwiedzający z różnych przyczyn austriacką placówkę.

Tak np. przychodził często korespondent biura Reutersa w Londynie, lub jego żona, stara, gruba Angielka, szukając u nas informacji, lub przychodził często znany ongiś tenor Schlaffenberg, nie rzadko podchmielony, prosząc o pożyczkę. Przychodzili inni w sprawach społecznych, wojskowych, repatriacyjnych i t. d. Ludzie zmuszeni bezzwłocznie wyjechać i nie mający środków, lub inni, którzy chcieli pozostać i nie mieli pozwolenia.

VII.

Artykuł „Kuriera Warszawskiego“.

Pewnego dnia po południu, w czerwcu 1905, wyjechałem do parku Ujazdowskiego, zakupiwszy po drodze numer „Kuriera Warszawskiego“, wydanie wieczorne. Gazeta zawierała w tym dniu artykuł wstępny, będący dla mnie największą sensacją. Kurier ogłosił przeciw hr. Gołuchowskiemu, austr.-węgierskiemu Ministrowi Spraw Zagranicznych formalny „J'accuse“ i do dziś dnia nie rozumię, jak cenzura artykuł ten przepuściła... Może dlatego,

że cenzorem był osobiście mi znany p. Drohomirecki, syn galicyjskiego księdza ruskiego, w służbie Rosji, który artykułu może nie zrozumiał. „Kurier Warszawski“ scharakteryzował między wierszami austriackiego ministra jako największego ośła, niedołęgę, ślepego na znak czasu, nie zdającego sobie sprawy z sytuacji europejskiej. Było zatem jasne, że „Kurier“ miał na myśli bezczynność Gołuchowskiego, nie korzystającego z szczęśliwej koniunktury uderzenia na Rosję, tym bardziej, że Anglia stała w stu procentach po stronie Japonii.

Powróciłem do konsulatu i przetłumaczywszy artykuł na język niemiecki, włożyłem oryginał wraz z tłumaczeniem do biurka Ugrona, do którego to biurka miałem klucz.

Nazajutrz, gdy zaczęła się defilada t. zw. referentów prasowych z konsulem Heimrothem na czele, zapomniałem mu powiedzieć, że przetłumaczyłem ten wstępny artykuł, chociaż powinienem był przypuszczać, że ten leniuch, spażniający się codziennie do biura, mógł artykuł ten przeoczyć.

Ugron wysłuchał sprawozdania Heimrotha, a gdy ten nic o artykule tym nie wspomniał i uklonił się zamierzając odejść, Ugron kazał mu zaczekać i wyciągając z szuflady egzemplarz „Kuriera“ z tłumaczeniem, odezwał się: „Bitte lesen Sie, Sie können von dem Uebersetzer was lernen“.

Heimroth wyszedłszy z gabinetu Ugrona przez mój pokój, błądzący, z pianą na ustach, rzucił straszliwe spojrzenie w moją stronę. Nie mógł mi tego przebaczyć, choć wiedział, że nie zrobili mi tego na złość.

W lipcu Ugron wyjechał na urlop do Węgier, jak co roku, a kierownictwo konsulatu objął Heimroth. Na moje szczęście tak irytował się i użerał z innymi urzędnikami, że o mnie zapomniał.

VIII.

Woźni konsulatu.

Woźnych było w konsulacie dwóch. Pierwszy, zaufany, był Czechem, pożyczającym stale urzędnikom pieniądze, a młodszy jego pomocnik, był to rudy ewangelik, zdaje się nazwiskiem Gec, który mi się zwierzył, że należy do bojówki i prosił mnie o zaopatrzenie go w austriacki paszport, aby mógł każdej chwili uciec, gdy zajdzie tego potrzeba. Był poddanym rosyjskim. Nie znając go bliżej i nie wiedząc, czy mówi prawdę, lub czy też nie był namówiony do tego żądania przez jednego z kochanych kolegów, aby mnie zdemaskować, jako lekkomyślnego urzędnika, nie odmówiłem, lecz zostawiłem to czasowi, tym bardziej, że poprzednik mój w konsulacie, były komisarz policji Krzyżanowski, za takie, rzekomo, rozdawanie paszportów został przez Ministerstwo odwołany.

IX.

Moje przeniesienie do Kanady.

W sierpniu 1905 roku Min. Spraw Zagr. zażądało od Heimrotha poddania mnie egzaminowi z angielskiego języka. W tym celu Heimroth zaprosił do siebie angielskiego konsula, który mnie pisemnie i ustnie egzaminował z języka angielskiego. Widocznie zdałem egzamin z dobrym wynikiem, bowiem Ugron powróciwszy we wrześniu z urlopu, oznajmił mi, że zostałem przeniesiony do Montrealu w Kanadzie. Kochani koledzy nie bardzo ubolewali nad tym. Mówili, że zostałem zasądzony na wygnanie. Kanada była ongiś kolonią karną Anglii, a że klimat jest tam ostry, zatem uważali Kanadę za drugi Sybir.

Przed wyjazdem z Warszawy, Ugron wręczył mi pismo, w którym wyraził mi uznanie za gorliwą i skuteczną pracę. Odręczne pismo jego nie sprawiło mi jednak

przyjemności. Nie byłem zadowolony z jego pracy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego on, będąc wyposażony po królewsku przez M. S. Z., mając na koszt państwa tak wspaniałe mieszkanie i wielką pensję, tak mało się interesował sprawami polskiej polityki. Miałem wręcz dowody, że lekcewał sobie dążenia Polski do wolności i że dla tych, co tak obficie przelewali krew dla polskiej sprawy, miał pogardę. Może później zmienił swoje poglądy, skoro rząd austriacki zamianował go Ministrem i Posłem nadzwyczajnym przy Regencji w Warszawie w czasie okupacji?

X.

Przygotowanie wyjazdu do Kanady.

Ubolewania moich kolegów w Warszawie nad moim losem, że moje przeniesienie do Kanady równało się zesłaniu, nie podziały na mnie. Jestem wprawdzie człowiekiem czułym, lecz również bardzo twardym. Gdy mieszkałem we wczesnej młodości we Wiedniu, gdzie się trochę studiowało na Uniwersytecie, trochę zarabiał na życie pisanie i przepisywaniem, byłem od czasu do czasu gościem ś. p. Stanisława Szczepanowskiego, wielkiego patrioty i znakomitego znawcy życia ekonomicznego Austrii. Szczepanowski chętnie dawał młodym ludziom zatrudnienie. Mieszkał w hotelu Müllera na Grabenie we Wiedniu. Przyjmował mnie wczesnym rankiem i dawał mi do przepisywania niektóre rozdziały swego sprawozdania z budżetu austriackiego — był w parlamencie austriackim długi czas generalnym sprawozdawcą budżetu oraz kandydatem na ministra skarbu; czasami przepisywałem jakieś „Exposé“ w niemieckim języku lub memoranda w sprawach, dotyczących eksploatacji terenów naftowych lub kopalni węgla. Kopiowałem przez niego rysowane mapy terenów podkarpackich z pod Borysławia, Jasła i Gorlic,

mapki Peczyniżyna i Dzikowa, gdzie odkrył brunatny węgiel. Szczepanowski był wielkim wychowawcą i wzorem dla ambitnej młodzieży, dlatego byłem szczęśliwy, gdy mi rząd zaborczy dał możliwość wyjazdu na daleki Zachód, do kraju bogatego, gdzie mogłem się czegoś nauczyć i ewentualnie przysłużyć tej ówczesnej tak małej Polsce, nazwanej Galicją.

Pojechałem więc z Warszawy do Lwowa, aby się pożegnać z rodziną, zabrać trochę bielizny, sprawić jakieś ubranie u Sołtysa i Kalityńskiego, zabrać ze dwie pary bucików — wyroby polskich mistrzów szewskich z ulicy Wekslarskiej lub ul. Sobieskiego. Przecież polskie rzemiosło było i pozostało po dziś dzień naszą dumą.

Niestety, skąpy rząd austriacki wyasygnował mi na poczet kosztów podróży tylko 50 „Louis d'orów“, czyli 1000 koron w złocie, które już w Warszawie rozmieniłem, gdyż wówczas handel złotem był wolny i nieograniczony. Prócz tej sumy dostałem od Ministerstwa wraz z nowym dekretem pismo, zaopatrzone wielką pieczęcią „Ministerstwa Cesarskiego i Królewskiego Domu i Spraw Zagranicznych“ i adresowane do Węgierskiego Towarzystwa Żeglugi w Fiume, za pośrednictwem którego miałem się udać do Ameryki.

Gdzieś w moich starych szpargałach na pewno mam to pismo. Ten błahy i nieznaczący incydent był dla mnie symbolem austriackiej impotencji i symptomem wewnętrznego rozkładu, prowadzącego powoli do zaniku Austrii.

Bo proszę sobie przedstawić następujący obraz: Wedle ugody między Austrią i Węgrami z 1867 roku, oba kraje miały prócz wspólnego monarchy wspólną armię i flotę, wspólne Ministerstwo dla Spraw Zagranicznych i wspólne Ministerstwo Skarbu dla wymienionych wspólnych instytucji i dla administracji Bośni i Hercegowiny. Wedle kłucza wydatków, parytet wynosił 66:34. Czyli, że Austria (między innymi i my Polacy) miała ponieść 66% wszyst-

kich wydatków, natomiast Węgrzy tylko 34%. W służbie zagranicznej Monarchii było jednak 70% obywateli węgierskich a tylko 30% obywateli austriackich. Istniała — jak wiadomo — Linia Okrętowa Austriacko-Amerykańska (Bracia Cossulich) w Trieście, subwencjonowana przez rząd austriacki sumą 4 milionów koron rocznie za utrzymanie stałej komunikacji między Triestem a Ameryką Północną i Południową. Towarzystwo Żeglugi Węgierskiej nie miało natomiast własnych okrętów i było tylko Agencją angielskiego Towarzystwa Żeglugi „The Cunard Linie“, podtrzymującego przy pomocy starych i dziurawych statków komunikację między Fiumą i Nowym Jorkiem.

Rząd węgierski narzucał swoją „protekcję“ słowackim i polskim wychodźcom, zmuszając ich do jeżdżenia tymi starymi okrętami z Europy do Ameryki przy dobrej pogodzie przez 3 tygodnie, a przy burzach przez 4—6 tygodni, podczas gdy francuskie, angielskie i niemieckie parowce odbywały tę drogę w 5—6 dniach.

Ponieważ ja również należałem z pochodzenia do „Hinterlandu“, dlatego i mnie polecono jechać za pośrednictwem biur węgierskich, dających wprawdzie urzędnikom 25% opustu — gdy austriacka linia dawała oficjalnie 25% a nieoficjalnie 50% i miała lepsze okręty. Wobec takiego stanu rzeczy, jakkolwiek mój kufer, zawierający stare ubrania, pościel, uniform wraz z pałaszem i pirogiem „Krapfenhutem“ kazałem już z granicy rosyjskiej wprost do Fiume ekspediować, postanowiłem jednak z pisma Ministerstwa do Węgierskiej Żeglugi nie korzystać i przez Fiume nie jechać.

Zdecydowałem się zatem udać się wprawdzie do Wiednia i oświadczyć w Ministerstwie, że moja wątroba nie pozwala mi długo na morzu przebywać. Lecz nie będąc pewny, czy węgierskie wpływy odnośnie angielskiej żeglugi nie okażą się silniejszymi od mojej niechęci, wstąpiłem do agencji „Cunarda“ na ul. Gródeckiej, aby na wszelki wypadek upewnić się co do rozkładu jazdy. Przy ul. Gródec-

kiej w pobliżu kościoła św. Elżbiety, mieścił się wówczas blisko tuzin Agentur Okrętowych. Robiły w owych czasach złote interesy. Z Galicji emigrowało przed wojną około 200.000 osób rocznie do Ameryki i innych krajów.

W biurze „Cunarda“ zastałem znajomego, niejakiego p. Distlera, Lwowianina, urzędnika tej Agencji. Gdy usłyszał, że jadę do Kanady, radził mi skomunikować się z niejakim p. Altmannem, urzędnikiem firmy eksportowej Janowitzer i Spółka we Wiedniu. Altmann uchodził za wielkiego znawcę Kanady, gdyż co roku tam przebywał. Zano-towałem sobie nazwisko i adres p. Altmanna. Okazało się później, że ten pan był czymś więcej, aniżeli agentem handlowym.

Dyrektorem Departamentu konsularnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych był Radca Dworu Baron Oskar Berger von Waldenegg, kawaler dwudziestu orderów, w Austrii głównie znany z tego, że figurował co kilka dni na szpaltach wiedeńskich dzienników, jako ten, który czytał rotę przysięgi przy okazji zaprzysiężenia przez Cesarza nowego tajnego Radcy, Szambelana lub jakiejś innej grubej ryby. Zdaje się, że baron Berger z powodu częstego stykania się z cesarzem przejął i jego wspaniałomyślne gesty. Gdy mu bowiem przedstawiłem moje zastrzeżenia co do węgierskich okrętów, machnął ręką i oświadczył mi: „Aber bitte, reisen Sie, wie Sie wollen, es ist mir egal“.

Pozwolił mi również zostać z tydzień we Wiedniu, gdyż chciałem się trochę więcej wyekwipować.

Poszedłem zatem szukać Altmanna, urzędującego przy jednej z bocznych ulic Neubaugasse w VII „Bezirku“, u firmy Janowitzer. Janowitzer, szef firmy, był honorowym konsulem San Domingo, czy też innej republiki Ameryki Centralnej, był głuchy, lecz bogaty i bardzo wpływowy. Mówił mi, że się go w Ministerstwach boją, że jest wprost dobrodziejem państwa, gdyż udawało mu się wynajdować coraz nowe rynki zbytu dla austriackich wyrobów.

W dzielnicach Neubau i Mariahilf mieszkało mnóstwo

chałupników tokarzy, kwociarzy, torbiarzy i innych, żyjących z t. zw. wiedeńskiego przemysłu domowego (między nimi też sporo Polaków), którzy się specjalizowali w produkcji sztucznych kwiatów i piór, w wyrabianiu eleganckich torebek, w fabrykacji sprzętów metalowych, pięknych spinek do mankietów, a przede wszystkim w robotach tokarskich, jak najróżnorodniejszych fajek i przyborów do palenia. Te właśnie wyroby Janowitzer zakupywał po cenach, jakie sam dyktował a sprzedawał z wielkim zyskiem, wzbogacając się z każdym dniem. Otóż Altmann był jego zastępcą dla Kanady, dokąd każdego roku jeździł.

Radził mi Altman jechać przez Antwerpię, linią „Red Star“ (Czerwonej Gwiazdy), dał mi polecenie do przedstawicielstwa kanadyjskiego linii kolejowej, znanej z inicjałów C. P. R., tj. „Canadian Pacific Railway“. Polecił mnie również kilku kupcom we Wiedniu, z którymi stale handlował. Między innymi sprzedała mi pewna wiedeńska firma wyrobów futrzanych prześliczne futro z młodych bobrów, które niewiadomo jakim cudem przemieniło się w skórki brazylijskich małp. Rozleciało się to futro już po kilku miesiącach na strzępy.

Nareszcie obładowany licznymi walizkami, pakunkami, radami i pouczeniami p. Altmanna, wyjechałem w połowie października 1905 roku do Antwerpii, gdzie następnego dnia już na sam widok morza dostałem zawrotu głowy.

W Antwerpii odwiedziłem austr.-węgierski konsulat, na czele którego stał były major Generalnego Sztabu, Juliusz Bombiera de Kremenać, udekorowany szeregiem wysokich odznaczeń, człowiek bardzo uprzejmy, lecz — jak mi się zdawało — człowiek o jakiejś tajemniczej przeszłości, gdyż kariera jego była wprost bajeczna. Zaledwie zdołałem wrócić do hotelu, już zastałem tam. p. Generalnego konsula Bombierę z rewizytą.

Nazajutrz o godzinie 6-tej rano okręt opuścił port pięknej Belgii. Na mołu zgromadziło się kilkudziesięciu ludzi, przybyłych celem pożegnania odjeżdżających krew-

nych i przyjaciół. Niektórzy dyskretnie płakali. Ja również czułem się bardzo osamotniony, jak żołnierz, idący na wojnę, którego nikt nie żegna. A moje życie było przecież tylko pasmem cięższej, lub lżejszej walki o byt i o lepszą przyszłość; życie wprawdzie młode, lecz jakże bogate już we wspomnienia.

Przejazd przez morze, trwający dziesięć dni, był wprost rozkoszny. Przepiękne, jesienne powietrze, miłe towarzystwo między innymi amerykańskiego lekarza, studiującego ongiś we Wiedniu. Nazywał się White, mówił mi dużo o Ameryce i dawał mi wiele cennych wskazówek. W Nowym Jorku był moim Ciceronem.

XI.

Nowy Jork w roku 1905.

Nowy Jork z początkiem bieżącego wieku nie był tym, czym jest dzisiaj, lub czym był dziesięć lat temu. Miasto miało wówczas tylko około 5,000.000 mieszkańców i wszystkiego dwa czy trzy drapacze chmur, które świat uważało za najwyższe cuda techniki budowlanej. Sterczały ku niebu — trzydziestopiętrowy dom Singera (Maszyny do szycia) na Broodwayu i 40-piętrowy grach Towarzystwa Asekuracyjnego „Equitable“ na Madison Square. Nie pamiętam natomiast, czy wówczas wybudowano już „Woolworth Bldg“ naprzeciw poczty i ratusza, liczący również czterdzieści kilka piąter. Dzisiaj drapacze mają już przeszło 100 piąter.

Było już wówczas sporo milionerów, ba, nawet multimilionerów w Nowym Jorku, lecz wielka armia 38.000 nowych milionerów nowojorskich, która zawdzięcza swoje bogactwa wojnie światowej, pracowała wówczas jeszcze albo w fabrykach, albo sprzedawała gazety na ulicach, albo była na farmach lub w sklepach art. spożywczych.

Gdy mój okręt „Vaderland“ prowadzony przez pilota

zbliżał się do przystani w Hoboken, tam, gdzie majestatyczna rzeka Hudson łączy się z rzeką East-River, aby przez zatokę ujść do oceanu Atlantyckiego, doznałem dreszczów emocji, która nie wynikała tylko z widoku tych cudów, lecz ze świadomości, że ci, którzy tych cudów dokazali, to nie byli Anglosasi, potomkowie pielgrzymów, którzy przybyli na „Mayflower“ do Ameryki, lecz nasi Polacy, Rusini, Włosi... Bo Anglosasi, Irlandczycy i Niemcy, którzy przybyli do Ameryki przed Słowianami, mieszkali i mieszkają po dziś dzień w domach z desek na zielono pomalowanych, gdy wielkie, wspaniałe budowle zaczęły się dopiero od czasu napływu wielkich mas emigrantów, od początku tej tytanicznej walki o chleb tych nowych przybyszów. Prawdą jest, że projektowali gigantyczne domy Anglosasi i że Amerykanie, Anglicy i Francuzi finansowali budowy tych ogromnych domów, projektowali i finansowali koleje nadziemne i podziemne, kanały i drogi publiczne, lecz ci, którzy robotę wykonywali i którzy w tak decydujący i wspaniały sposób do wzbogacenia się Ameryki przyczynili, to byli Europejczycy, nasi.

Przy 42 ulicy na miejscu, gdzie się dziś znajduje monumentalny dworzec kolejowy „New-Jork Central“, stały drewniane budynki z przystankami, przed którymi zajeżdżały długie i ciężkie pociągi z Chicago, Nowej Anglii, Kanady i innych ważnych części Stanów Zjednoczonych. Naprzeciw tego prymitywnego dworca stał pięciopiętrowy dom z napisem: „Grand Central Hotel“, gdzie według amerykańskiego planu gość dostawał za 4 lub 5 dolarów dziennie pokój z całym utrzymaniem bez względu na to, czy był zdrow i dużo jadł, lub czy był chory i wcale nie jadł, lub nie miał czasu korzystać z niepewnych dań amerykańskiej kuchni. System wynajmowania tylko pokoju, jaki dziś obowiązuje, nie istniał jeszcze, a kto zajeżdżał do hotelu, musiał płacić za wszystko.

Dookoła dworca i w przyległych ulicach kręciły się

czarne Koryntianki, przed którymi Dr. White, mój cicerone przestrzegał.

Konsulat Generalny austriacko-węgierski znajdował się w domu pod l. 33 Broodway. Był to 5-piętrowy stary dom, wyłącznie biurowy. Konsulat zajął szereg pokoi, a na tym samym piętrze, naprzeciw biura konsulatu miał skromną kancelarię niejaki Leon Korybski, pokątny pisarz i „bankier“, który stał się poniekąd urzędem pomocniczym austriacko-węgierskiego konsulatu.

Konsulem Generalnym był Baron Otto Hoenning O'Carroll, potomek zdaje irlandzkiej rodziny wojskowej na żołdzie austriackich cesarzy, może takich, jakich Schiller opisuje w swoim dramacie „Śmierć Wallensteina“.

Konsul Generalny baron Hoenning był jednak obywatelem węgierskim, stąd ta lukratywna placówka, przynosząca około 50.000 koron rocznie, jeden z tych tłustych prezentów cesarza Franciszka Józefa, zarezerwowanych wówczas tylko dla Węgrów. Asystował baronowi Hoenningowi konsul Grivicic, syn generała, chorwackiego pochodzenia, lecz filarem konsulatu był radca konsularny Juliusz Stern, węgierski żyd, były dziennikarz i niezły referent dla spraw handlowych, lecz zupełnie obojętny dla spraw emigracyjnych i społecznych. Dla spraw polskiej emigracji, liczącej już wówczas miliony wychodźców, baron Hoenning zaangażował w charakterze urzędnika kontraktowego jakiegoś fotografa, uciekiniera z Małopolski, który sobie radził z polską emigracją w ten sposób, że wszystkich kierował do „bankiera“ i „adwokata ze starego kraju“ Leona Korybskiego, z którym miał spółkę. Za drukowane pełnomocnictwa procesowe liczone polskiemu emigrantowi 15—20 dolarów, za kontrakt kupna i sprzedaży 30—40 dolarów, a „chamy“ płaciły, bo przecież sprawa szła przez konsulat.

Gdy już byłem w Kanadzie, słyszałem, że Korybski uciekł później z Nowego Jorku, sprzeniewierzywszy kilkanaście tysięcy dolarów oszczędności polskich emigrantów.

Miejsce jego zajął jeden z najniebezpieczniejszych międzynarodowych oszustów, niejaki Józef Ueberall, o działaniu którego będę miał sposobność mówić później.

Podczas mego trzydniowego pobytu w Nowym Jorku odwiedziłem między innymi i sławny „Wall Street“, znajdujący się zresztą tuż obok konsulatu na Broodway. Wysyłając do Wice-konsula, dra Heimrotha widokówkę tej sławnej ulicy, na którą patrzyłem proroczym wzrokiem nieświadomego, pisałem: „To jest ulica, której mieszkańcy będą rządzić światem, ulica, która rozstrzygać będzie o losach wojny i pokoju narodów, która będzie miała decydujące wpływy na dzieje świata i na los setek milionów ludzi“.

W dwadzieścia lat później moje przepowiednie co do tej niesamowitej ulicy ziściły się. Rola Ameryki, głównie jej finansjery jest zbyt znana, aby trzeba było ją tutaj opisywać.

W świecie politycznym zaszły w międzyczasie wielkie zmiany i epokowe zdarzenia. Ponieważ wówczas nie były znane jeszcze ani telegraf bez drutu, ani radio, ja przez całe dziesięć dni przejazdu morzem nie wiedziałem, co się w świecie dzieje. Dopiero po przybyciu do New - Jorku dowiedziałem się o nadaniu przez cara konstytucji, o zwołaniu pierwszej dumy, o przeobrażeniu się samowładcy Wszechrosji w konstytucyjnego monarchę i o ciągłych zwycięstwach Japonii nad „niezwyciężoną“ armią Rosji. Wiedziała Ameryka wówczas daleko więcej, co się dzieje w Rosji, w Mandżurii i w samym Petersburgu, lub w Warszawie, aniżeli Polacy w Królestwie, lub Rosjanie we własnym swoim kraju.

Z początkiem listopada 1905 z pierwszym śniegiem, znalazłem się w Montrealu, na wyznaczonym mi skromnym stanowisku.

XII.

Montreal.

Montreal, największe miasto w Kanadzie, uchodziło zawsze nie tylko za piękne, lecz ze względu na swój odrębny charakter za curiosum na kontynencie amerykańskim. Położone nad wspaniałą rzeką św. Wawrzyńca, u stóp góry Mount Royal, ze szczytu której mógł podróżnik zachwycać się widokiem miasta, jak Polak zachwyca się widokiem Lwowa z perspektywy Wysokiego Zamku, Montreal nie różnił się wówczas swoim wyglądem od miast europejskich, bo nie miał jeszcze nic wspólnego z amerykańskimi miastami. Ani jednego drapacza chmur, ani kolei powietrznej, lub podziemnej, ani krzykliwej, migocącej tysiącem świateł reklamy kupieckiej, ani myrzynów. Jakkolwiek mieszkańcy jego byli i są po dziś dzień narodowości mieszanej, tj. w połowie rasy anglo-saskiej i w połowie staro-francuskiej, półmilionowe to miasto miało raczej charakter francuski. Wspaniała bazylika św. Jakóba, jest zmniejszoną kopią kościoła św. Piotra w Rzymie, a wybudowany z końcem XVII-go wieku francuski kościół Notre Dame jest imitacją znanego kościoła w Paryżu. W środku przecina miasto jakby żywa wstęga - ulica nazwana Bleury Street. We wschodniej części ulicy mieszkają w wielu tysiącach małych, jednopiętrowych domach Kanadyjczycy, władający językiem francuskim, zaś na zachodzie Bleury Street mieszkają Anglosasi. Wszędzie słyszy się dźwięki obu języków, co nikogo nie razi, harmonia polityczna dwóch narodów wzorowa — i jakkolwiek Francuzi są w całej Kanadzie w znacznej mniejszości, to jednak często dzierżą rządy w swych rękach.

Konsulat austriacko-węgierski znajdował się wówczas w eleganckiej dzielnicy anglosaskiej, na Sherbrook Street, w dwupiętrowym domu, odosobnionym i zamieszkałym wyłącznie przez konsula Dra Ferdynanda Freyeslebena. Chociaż dom składał się z ośmiu pokoi, z kuchni etc. to dla

biura konsularnego Dr. Freyesleben raczył oddać tylko jeden pokój. Ponieważ był kawalerem, jak Ugron w Warszawie, to właściwie całym domem jego kierowała młoda i piękna gospodyni, jakaś wdówka, czy rozwódka, którą Freyesleben mi przedstawił jako swoją „podporę“ (meine Stütze).

Dr. Freyesleben zaliczałby się dziś do Niemców sudeckich, których świat jeszcze wówczas nie znał. Mówił mi, że pochodzi z Pragi i że jest „ein Deutsch-Böhme“. Był to człowiek wszechstronnie wykształcony, świetny muzyk, mistrz preferansa i bardzo przystojny. Ulubieniec kobiet, bywał w najlepszych sferach, należał do arystokratycznego St. James Klubu, lecz żadnym słowiańskim językiem nie władał, emigracją się nie interesował i do ludzi pracowitych nie należał. Sypiał codziennie do południa, potem wstawał, jadł śniadanie, czytał pocztę i gazety, podpisywał korespondencję a o czwartej po południu udawał się do klubu, gdzie pozostawał do świtu.

Gdy partnerzy jego byli wieczorem zajęci, to i on wracał na godzinę lub dwie do domu, siadał do fortepianu, lub do kolacji, którą przeważnie sam spożywał.

Do czasu mego przybycia do Montrealu konsul Dr. Freyesleben korzystał w swoim urzędowaniu z pomocy dwóch pracowników: niejakiego pana Malmera, urzędnika kontraktowego i urzędnika niemieckiego konsulatu, który przychodził na dwie godziny dziennie załatwiać niemiecką i angielską korespondencję. Żyło już wówczas w Kanadzie z 70.000 galicyjskich i bukowińskich Rusinów i kilkanaście tysięcy Polaków, a może i kilku Niemców, nie było żadnego Węgra, lecz mimo to ta wielka masa słowiańska nic nie znaczyła i do austriacko-węgierskich konsulatów szczęścia nie miała. Zaangażował sobie wprawdzie konsul Freyesleben, po wyznaczeniu go do Kanady w 1904 roku, pana Stefana Grotowskiego, późniejszego Konsula Generalnego R. P. w Nowym Jorku, jako pomocnika dla spraw wychodźstwa ze „szczodłą“ gażą 12, czy 14 dolarów tygod-

niowo, lecz ś. p. Grotowski tam długo nie wytrwał. Był przed wyjazdem do Ameryki wice-sekretarzem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zrezygnował, w Ameryce się ożenił z bardzo piękną kobietą polskiego pochodzenia i klepał biedę. Gdy ojciec wezwał go do powrotu namiestnik hr. Badeni dał się przeprosić i zamianował ś. p. Grotowskiego ponownie praktykantem namiestnictwa, a w 1908 zastałem już Grotowskiego koncepcistą starostwa w Nowym Sączu.

Malmer pochodził z Siedmiogrodu, gdzie piastował dawniej urząd nauczyciela ludowego. Znał prócz niemieckiego i język węgierski i rumuński. Był to człowiek bardzo ekscentryczny. Nosił w zimie stare, wąskie palto, w lecie starą zieloną „jaskółkę“, obciśle przylegającą do bioder, obuty był zawsze w damskie buciki o wysokich, t. zw. francuskich obcasach. Był już znaną w Montrealu figurą, jak w tym samym czasie śp. durny Jasio we Lwowie. Złe języki twierdziły, że był brodatą kobietą, czy hermafrodytą z cyrku „Barnum i Baily“, lecz w gruncie rzeczy Malmer był dobrym człowiekiem. Odczuwał niedolę emigranta, będącego często ofiarą oszustów, znał łotrostwa i szelmostwa ludzi, a gdy dostawał co sobotę od konsula swoje honorarium w wysokości 12 dolarów, uciekał do klubu robotniczego, gdzie przesiadywał przez całą noc. Przez długi wieczór wypijał z dwadzieścia szklanek piwa, po pięć centów szklanka, siedział zawsze sam, zamyślony, prowadzący ze sobą samym półgłosem konwersację, czasami się śmiał lub płakał na przemian; czytał, lub też coś notował. Mówiono, że pisze poezje, balady, bajki i t. p.

Obraz tej małej rodziny konsularnej nie byłby kompletny bez portretu woźnego konsulatu. Był to wysłużony kapral przy wojskowej hodowli ogierów w Drohowyżu, Ukrainiec, który się śmiertelnie zakochał w pięknej gosposi pana konsula. Pewnej nocy poszedł do jej pokoju i zastał ją w objęciach samego pół-bożka, konsula. Chciał go zabić. Wezwano nawet policję. Gdy nazajutrz przy-

szedłem do biura, już go nie było. Konsul wyprawił mnie do szefa policji z prośbą, by go wypuścić z aresztu. Obiecał mi woźny, że się więcej na ulicy Sherbrook nie pokaże, bo mu zagroziłem deportacją. Nieszczęśliwy amant „vom k. u. k. Hengsten-Depôt in Drohowyże“ omal nie stracił zmysłów. Również i mnie podejrzewał, jako cięszącego się względami pani I. Musiałem mu dać „Kawaliers-Ehrenwort“, że nie. Czy mi wierzył? Ukraińcy są sceptykami.

Po kilkutygodniowym zaledwie pobycie w Montrealu pozostawił mi mój szef wszystkie agendy i wyjechał na kilka tygodni do Chicago. Mówiono, że do narzeczonej — jednak nigdy się nie ożenił. We Wiedniu naturalnie nie wiedzieli o wydaleniu się jego poza obręb miasta, lecz to było nie ważne. Przypomniałem sobie słowa Hofrata Bergera von Waldenegg: „Fahren Sie wohin Sie wollen, das ist mir egal“.

Freyesleben miał co trzy miesiące raportować o moim zachowaniu się i o moich kwalifikacjach, lecz nie ja o nim. Pewnego razu dał Malmerowi do ekspedycji niezaklejoną dużą kopertę, adresowaną do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Malmer zaglądnął do koperty. Było tam sprawozdanie o mnie. Mówił mi, że pan Dr. Freyesleben mnie widocznie lubi, bo napisał, że „Grau-Wandmayer jest podporą i duszą konsulatu i że posiada zdolność kierowania samoistnie urzędem“.

Z początkiem 1907 r. zostałem definitywnie przyjęty na etat Ministerstwa Spraw Zagranicznych w X randze wspólnych urzędników państwowych Austro-Węgier — otrzymałem dekret pochwały z remuneracją w kwocie 600 koron. Prócz pensji X rangi Ministerstwo przyznało mi dodatek lokalny w wysokości 3000 koron w złocie rocznie. Dodatek konsula wynosił 30.000 koron, czyli dziesięć razy tyle. Dla wyrównania tej dysproporcji, przypadała mi cała praca konsulatu, cała korespondencja, kwartalne i roczne sprawozdania komercyjne i półroczne rachunki dochodów

i rozchodów. Ta praca była dobrodziejstwem dla mnie, gdyż nie zostawiała mi czasu na zabawy i związane z tym rydatki.

XIII.

Życie towarzyskie i korpus konsularny.

Życie towarzyskie w Montrealu było miłe. Jednak panowały tam stosunki czasami dziwne. Wyższe sfery społeczeństwa składały się z sędziów, adwokatów, dominialnych senatorów, członków parlamentu i kilku kupców. W niedzielę po południu, córki tych panów miały zwyczaj przyjmować młodych kawalerów, którzy przychodzili na pogawędkę. Jest charakterystyczne, że wizyty przyjmowały młode panny bez asystencji osób starszych — obyczaj w europejskich kołach towarzyskich zgoła nieznany. — Gdy taki kawaler był właśnie już tak podniecony, aby pannie Blanche, lub Geneviève oświadczyć się ze swoją miłością, zjawiał się inny adorator i temu nowemu przybyszowi należało robić miejsce. Niektórzy z tych kawalerów przychodzili, aby tylko porozmawiać o „hockey’u“, o zabawie, o piłce nożnej — inni, aby trochę pożartować i wnet przejść do innej, po prostu dla celów empirycznych. I ja również tak chodziłem... Auf Brautschau! Lecz z tego nic nie było. Ministerstwo Spraw Zagranicznych dawało zezwolenie niższym urzędnikom na małżeństwo tylko wtedy, gdy narzeczona miała majątek, a że w Ameryce w ogólności, a w Kanadzie w szczególności posagów nie dają, trzeba było się zachowywać tak, jak w muzeach. Oglądać, podziwiać i odejść.

Inaczej się rzecz miała z życiem w korpusie dyplomatycznym. Konsulowie w Montrealu, korzystając z oświadczenia ówczesnego premiera Kanady, Sir Wilfieda Laurier, gorącego patrioty francuskiego, że „Kanada jest naro-

dem" i że Kanadyjczycy uważali się za państwo w 80% suwerenne, dla braku ambasadorów i posłów konsulowie, słusznie czy niesłusznie, sądzili, że im się należą honory. Lecz przeszkodził im w ich aspiracjach — niestety, jak zawsze i wszędzie — niewidziany i nieproszony czynnik. A było to tak:

Francję reprezentował prawdziwy, wykwintny dyplomata, Consul Général de carrière, p. Kleczkowski, syn polskiego emigranta z 1833 roku, człowiek wielkiej erudycji, krasomówca i esteta, lecz jeden z tych nie wielu panów o polskim nazwisku, którzy po polsku nie mówili. „Oh, que je regrets, mon ami, que je ne parle pas la belle langue de mes ancêtres" — mawiał. Zresztą słyszałem ten frazes również z ust kilku austriackich dyplomatów z nazwiskami o polskim brzmieniu.

Niemieckim konsulem był Herr Franksen, dość sympatyczny pan, który mnie przy każdej sposobności namawiał, aby wystąpić ze służby austriacko-węgierskiej i wstąpić do niemieckiej. Imponowałem mu erudycją poligloty. „Kommen Sie zu uns — mawiał — wir werden Sie zum Konsul machen". — Co za szczęście, że się nie dałem zwabić. Hitler by mnie dzisiaj skończył. Trudnoby mi było dzisiaj szukać za metrykami dziadków i babek, a tym mniej je znaleźć.

Hiszpania utrzymywała w Montrealu Generalnego Konsula i Wicekonsula, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. Przyznał mi się mój kolega, że w całej Kanadzie żył tylko jeden obywatel hiszpański, lecz co zrobić. — Noblesse oblige.

Patetyczną figurą był reprezentant Rosji, konsul Struwe, brat znanego uczonego, Piotra Strúwego. Były wychowawca rosyjskiego księcia Oldenburgskiego był bardzo nieszczęśliwy. Opuszczony przez żonę, nie chcącą mieszkać w Ameryce, Struwe prowadził życie bardzo skromne, mieszkał w drugorzędnych pensjonatach, obracał się w kołach

3-ciej klasy, a sam — mimo fizycznego wycieńczenia — był erotykiem pierwszej klasy. Lubił się bawić, lecz skarżył się często na prawosławnych popów, przyjeżdżających niezadko do Montrealu na różne „Bohosłużenia“ i konferencje. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, o co tym popom w rzeczywistości chodziło.

Byli również konsulowie jankiesi, nowo upieczony konsulek norweski, był Szwed i Włoch, lecz największym utrapieniem wszystkich był konsul honorowy Danii, niejaki Herman H. Wolf, importer tanich ubrań męskich. Wszędzie, gdzie coś było, czy to przyjęcie u Generał - Gubernatora, tj. u zastępcy króla, czy u premiera, czy u prezydenta miasta, wszędzie, gdzie zapraszano dyplomację, zjawiał się pan Hermann Wolf... i to w uniformie. W dodatku do zła, było wiadomo, że Wolf sprzedawał spodnie najgorszego gatunku. Jednym słowem blamaż na całej linii.

Mimo, że te parszywe Wolfowskie portki pochodziły z Berlina, to konsul Franksen tego Wolfa nie lubiał. Już jego wygląd był niesympatyczny. Mały, na krótkich krzywych nogach, z dużym brzuchem, łysiną, o orlim nosie i żabich oczach, rzadką, kacapską bródką, psuł stanowczo cały obraz dyplomatyczny. Wyglądał raczej na zawodowego interpretatora nauk talmudycznych.

W Montrealu grała co roku stała trupa teatralna z Paryża, a co czwartek odbywało się przedstawienie galowe na cześć korpusu konsularnego.

Zjawili się wszyscy in corpore i pomiędzy innymi naturalnie nasz p. Wolf, który wprawdzie nie rozumiał, co aktoży na scenie mówili, natomiast lubiał patrzeć się na gołe plecy pięknych dam w małym teatryku, nie troszcząc się wcale o to, co się na scenie działo. Wiedział już naprzód, że chodzi o jakąś intrygę i o kobiety.

Do smutnych i przeżytych już konsulów w Montrealu zaliczał się też austriacko - węgierski honorowy konsul Generalny p. August Szulz. Szulz był Niemcem z Rzeszy;

ongiś bogaty kupiec, był przed przyjazdem Freyeslebena reprezentantem naddunajskiej monarchii. Utrzymywał z własnych funduszków biuro i dwóch urzędników, naturalnie Niemców, dla których nasza emigracja stanowiła źródło poważnych dochodów. Ponieważ Szulz był przeważnie po południu przy podpisywaniu aktów pijany, podpisywał między innymi przedłożoną mu modlitwę „Ojcze Nasz“. Chodziło bowiem o zakład urzędników, że szef wszystko podpisze. Gdy dostał order żelaznej korony, przyszedł do knajpy i oświadczył, że nie nazywa się już więcej August Szulz, lecz „Augustum Szulzum“, tak bowiem opiewał *accusativus* w dekrecie, wystawionym w łacińskim języku i podpisany przez Franciszka Józefa I.

W moim codziennym życiu w Montrealu grało również życie klubowe pewną rolę. Nie należałem wprawdzie do klubu arystokratycznego St. James, lecz do niemieckiego klubu „Teutonia“, do którego zaciągnął mnie konsul Franksen.

Wodzirejem klubu znowu był pan konsul Generalny Wolf, a do zarządu również należeli narodowi Niemcy nie aryjskiego pochodzenia, ale było tam dość „gemüthlich“. Można było dobrze i tanio zjeść i za pięć centów dostać kubał piwa. Aby pokazać, kim Niemcy są i byli, wywieszono w klubie nie tylko okropne obrazy z wojny prusko-francuskiej, lecz i obrazy z dalekiej przeszłości, jak: „Zwycięstwa Germanów nad Rzymem“, prowadzenie sznurami związanych, rzymskich senatorów przez barbarzyńców z Północy po bitwie w Teutoburskim Lesie i t. p. Będąc młody, niekępowany, spędzałem wiele wieczorów w tym klubie, już to w towarzystwie francuskiego lub hiszpańskiego wicekonsula, już to z jakimś gościem z Europy, tak, że w ogólności nie miałem powodu skarżyć się na los. Przejmowałem się za to bardzo losem naszego wychodźstwa. Naiwność i nieświadomość tych ludzi była wprost bajeczna i bezgraniczna. Zdawało się czasami, że się po to

urodzili, aby być w wiecznej niewoli. Kto tylko chciał, pastwił się nad nimi; gdy chcieli jechać na rolę do prowincji Manitoby, Alberty, lub Saskatchewan, to agenci pracy sprzedawali ich do robót kolejowych, lub do kopalń węgla w Nowej Szkocji, zabierano im zarobki, rzeczy, wszystko. A mnie przypadła rola obrony. Zacząłem się codziennie włóczyć po sądach, prokuraturach, urzędach immigracyjnych. Ukazywały się codziennie bez mojej wiedzy i chęci artykuły i notatki w gazetach o mojej interwencji, co się naturalnie memu szefowi nie podobało. Chciał widocznie, aby za granicą o Austrii najmniej mówiono, wstydził się, że Austria tyle eksportowała niewolników.

Lecz zdarzały się niesamowite wypadki. Pewnego razu zasądzony został na śmierć w prowincji Ontario pewien Polak za morderstwo. Okazało się później, że zasądzony nie mógł się bronić, bo go nikt w całym obwodzie nie rozumiał, a wyznaczony przez sąd tłumacz był Grekiem.

W roku 1907 zjawili się w Montrealu dwóch osobników, Polaków. Jeden zwał się Pasek, a drugi Nowicki. Przybyli obaj do konsulatu i opowiadali, że mieszkają stale w Nowym Jorku i że zamierzają założyć „Biuro Złatwień i Bank“. Wiedziałem odrazu, że są to nowe pijawki, lecz nie miałem prawa im na razie przeszkadzać. Powiedział mi raz pewien sędzia kanadyjski: „chez nous chaqu'un est supposé de se protéger par lui-même“. Filozofii rządzenia systemem patriarchałnym świat anglosaksoński nie uznaje, dlatego „każdy powinien się sam bronić“. Jakżeż można było tego żądać od naszego wychodźcy?

Po niejakim czasie, ci dwaj panowie znowu zagostili do Montrealu, założyli biuro, lecz już po kilku miesiącach zaczęły napływać do konsulatu ciężkie oskarżenia i skargi. Mała spółka, której dyrektorom udało się w krótkim czasie wkręcić się nawet do wyższych sfer towarzyskich, sprzeniewierzyła kilka tysięcy dolarów, oddanych im przez wychodźców dla przesłania do Polski. Mając w mieście

dość wpływu, uzyskałem od tamtejszego sądu wyższego decyzję urzędzenia rewizji w tyn biurze, zamknięcie go i wpakowania obu „advokatów“ do kryminału. „Kapitanowi“ Paskowi udało się uciec. Nowicki posiedział prawie przez rok w więzieniu śledczym z uwagi na międzynarodowy charakter jego wyczynów, po czym został wreszcie na żądanie konsulatu wypuszczony na wolność. Interweniował w jego sprawie były poseł do austriackiej Rady Państwa Dr. Łazarski.

Pewnego poranku w zimie 1908 roku, zjawia się w kancelarii konsulatu jakiś elegancki pan i nie przedstawiwszy się wcale, zażądał rozmowy z konsulem Drem Freyeslebenem. A że ten — jak —wykłe — jeszcze spał snem sprawiedliwych, wskazałem gościowi fotel, prosząc, aby wyczął oraz zapytał o godność.

„Jestem Pescha — rzekł krótko. — Pescha von Kis-Zsám, General Konsul. Przyjechałem objąć kierownictwo konsulatu generalnego.

Musiałem skłamać. Po przedstawieniu się, odpowiedziałem, że pan konsul bawi w urzędowej sprawie w mieście.

„No to dobrze“ — rzekł — „ja przyjdę później, lecz w międzyczasie przyślę tu moje rzeczy i proszę zrobić dla nich miejsce“.

Gdy wyszedł, pospieszyłem na I piętro, do sypialni konsula, aby mu zaraportować o fakcie. Okazało się, że Pescha został przeniesiony z Liverpoolu do Kanady, a Freyesleben z Montrealu do Kalkuty w Indiach. Pescha dowiedział się w ambasadzie w Londynie o tym przeniesieniu, wyjechał natychmiast, bo dodatek lokalny był w Ameryce znacznie wyższy, gdy papiery dla Freyeslebena nie zdążyły jeszcze nadejść. Po pół godzinie przyszedł znowu pan Pescha a za nim toczył się wóz, naładowany starymi kufkami i skrzyniami. Pescha zadysponował aby te kufry pozostawić na korytarzu przed jadalnią konsula.

W międzyczasie dr. Freyesleben wstał, a gdy zaproponował swemu następcy, aby te jego skarby przenieść do jakiegoś niezamieszkałego w domu pokoju, bo ma w tym dniu gości, Pescha kategorycznie oświadczył, że skrzynie tam będą stały, gdzie je postawił, w przeciwnym razie zatelegrafuje do Wiednia i zaraportuje, że Freyesleben nie wypuszcza go do mieszkania przydzielonego mu przez rząd.

Dlaczego Freyesleben go się przestraszył, nie wiem i nie rozumiem. Może dlatego, że Pescha zaczął po serbsku mówić?

Nareszcie pocziwy konsul Freyesleben przeniósł się ze swoją Dulcineą, panią Isert, do drogiego hotelu Windsor, bo musiał swoje mieszkanie zlikwidować, urządzenie wysprzedać na licytacji i inne jeszcze sprawy załatwić, Pescha zaś objął panowanie nad domem i nad całym okręgiem konsularnym z godnością dawnych rzymskich konsulów, których senat wysyłał do zdobytych prowincji. Ta mała i nieznaczająca wymiana dwóch konsulów nie kosztowała drogo. Może najwyżej 100.000 koron.

Nareszcie mój biedny były szef Freyesleben wyjechał do Indii, ale dla mnie nastaly wesołe i niewesołe czasy. Pan Wacław Grubiński powiedziałby: „Tak i Nie“. Zaczęły się sypać zarządzenia na zarządzenia, zakazy na zakazy.

W biurze stała — jak w sklepie korzennym — wielka szafa z szufladami. Leżały tam — jak w każdym biurze — lecz dobrze zakonserwowane akta. Każda, najmniejszego znaczenia sprawa otrzymywała cały podwójny arkusz z koszulką. Dr. Freyesleben nie szczędził wydatków na przybory, wydawał i dwieście dolarów miesięcznie. Chodziło mu o uzyskanie porządnego pauszalu na takie cele. Tyle, i nic więcej! I dostawał. Lecz zaledwie zaczął korzystać z tego dobrodziejstwa, a już przychodzi inny drań i to zabiera. Cały pauszal, bo Pescha znalazł skarb. Wyciąwszy z każdego starego aktu czystą drugą połowę miał dosyć papieru na pięć lat. Malmer i woźny mieli nową robotę.

Przede wszystkim krajanie. Założył też Pescha na małą skalę pracownię kopert dla własnego, t. j. urzędowego użytku. Więc nożyce, klaister i noże poszły w ruch. Sam Pescha pracował nad tą metamorfozą emigranckich aktów i aktówek całymi wieczorami w niedziele i święta. Pewnej niedzieli przed południem zastałem go w biurze na drabince przy szufladach w rękawiczkach i z chustką na głowie. Miał błyszczące czarne włosy i nosił złote branzoletki, lecz szperał i czyścił jak diabeł, to trzeba było przyznać. Sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, to na ówczesne czasy było ładnym dodatkiem. Czy miał to darować „den im Reichsrate vertretenen Ländern“, temu konglomeratowi narodów i narodowości? Nonsens. Musiał przecie biedak całą swoją pensję z dodatkami, wynoszącymi 50.000 koron, w całości zostawiać w wiedeńskim banku, by mu brat co dwa lata mógł kupić nową kamienicę.

Ponadto Pescha znalazł i inne jeszcze źródło dochodów. Polacy i ruscy wychodźcy ze swoimi wiecznymi kłopotami i prośbami, mieli ciągle jakieś interesy do konsulatu — prośby, zażalenia, sprawy sporne i hipoteczne w kraju. Pescha rozumiał się na inwestycjach. Kazał wydrukować kilkanaście tysięcy pocztówek jednocentowych. Adresaci te pocztówki dostawali nieopłacone rozumie się z karnym porto. Genialny wymysł Generalnego Konsula p. Peschy de Kis - Zsém. Pocztówki opiewały:

„Na podanie z dnia... zawiadamia się, że załatwienie tego podania może nastąpić za poprzednim nadesłaniem portorium w kwocie 25 centów“. Zaczęli bracia Słowianie ze swoją osławioną szeroką naturą sypać nie tylko „kwaterami“, tj. ówierć dolarami, lecz całymi dolarami. P. Pescha miał co liczyć. Codziennie było jeśli nie kilkanaście, to przynajmniej kilka dolarów. Przecież Pescha miał na utrzymaniu kucharczyka, lokaja, często się chwalił, że lubi dobrze zjeść i że woli dać zarobić poczciwemu rzeźnikowi, aniżeli nieuczciwemu aptekarzowi. Ach, z jaką to rozkoszą

ten dzielny dyplomata siadywał godzinami i liczył te pocztowe dochody. Był on nie tylko realistą, lecz i fantastą. Mógł z ołówkiem w ręku obliczać, wiele mniej więcej te jego boczne dochody wynosić będą po całym roku lub po kilku latach: z pewnością mały mająteczek.

Ponadto Pescha wprost odkrył Amerykę i pod innym względem. Co jemu się udało, o tym się nie śniło ani Kortezowi ani Pizzarze, ani nawet samemu Kolumbowi. Bez zwłocznie po przybyciu do Kanady wziął się do pracy i w rocznym sprawozdaniu do Ministerstwa z matematyczną dokładnością zaraportował, że Kanada składa się z jedenastu prowincji, że każda prowincja ma swego Gubernatora, Premiera, odrębną legistaturę oraz inne ważne instytucje. Skąd Pescha te tak nieznanne w świecie wiadomości czerpał, nie mogłem ustalić. Podejrzewam, że już w Anglii, przed wyprawą do Kanady, Pescha gdzieś znalazł podręcznik, a może nawet kalendarz z ważnymi i ogólnie nieznanymi wiadomościami.

Czeku, jako środka płatniczego, Pescha nie uznawał. Twierdził, że czek można łatwo fałszować. Miał w największym kanadyjskim banku: „The Bank of Montreal“, stałe, urzędowe konto, około 600 dolarów i był wiecznym strachu, aby broń Boże ten bank kiedyś nie zbankrutował; zapytywał każdego, czy ten bank jest pewny. Nie pomagały moje perswazje, że Bank posiada 50,000.000 dolarów własnego kapitału i z pół miliarda wkładek. Dopiero się uspokoił, gdy osobiście poznał Gubernatora tegoż banku, który zapytany, czy wkładki są pewne, podobno go uspokoił, że on, Gubernator, za konto konsulatu gwarantuje swoim osobistym majątkiem.

W Montrealu zaczęto sobie opowiadać Peschowskie anegdoty, jak w swoim czasie sławne anegdoty o węgierskim Mikoszu. Austria stała się pośmiewiskiem całej Kanady, korpus konsularny już zapomniał o p. Wolfie i znie-

nawidził Peschę, bo on w rzeczywistości obniżył prestiż i dobrą reputację personelu konsularnego.

Wreszcie dostało się nazwisko Generalnego Konsula Peschy do kroniki sądowej, a to na tle jego niehamowanej i brutalnej chciwości.

Pewnego razu młody i bardzo zdolny i usłużny woźny już po skończeniu pracy wyszedł na korytarz domu, nałożywszy uprzednio kapelusz na głowę. Niespodzianie zjawił się skądś pan Pescha i widocznie zgorzchniony zachowaniem się woźnego, uderzył go pałką po głowie tak, że woźny upadł na ziemię i stracił przytomność. Pescha już od dawna szukał sposobności, by woźnego oddalić i przeznaczony pauszal dla woźnego wypłacić swemu kucharczykowi, jednakże pilne i uslužne zachowanie się woźnego krzyżowały poniekąd chytre plany dyplomaty. Aż tu nadarzyła mu się sprzyjająca okazja.

Gdy nazajutrz przyszedłem do biura, opowiadał mi Pescha o bezczelności służącego, który śmiał go w ciemnym korytarzu nie zauważyć i nie uchylić kapelusza. „Boże“ — lamentował — „co to za kraj i co za dzikie stosunki“. Ale już przed upływem dwudziestu czterech godzin otrzymał wezwanie do sądu karnego, oskarżony o rozbicie głowy służącemu. Musiano wezwać lekarza, a w ślad za lekarzem zjawił się z własnej pilności w mieszkaniu woźnego jakiś młody adwokat. W wyniku tej wizyty nastąpiła skarga cywilna o odszkodowanie, oraz karna o ciężkie pobicie.

Udało mi się wprawdzie nakłonić biednego woźnego do wyjazdu na Zachód, do krewnych, a że był bez środków, wypłaciłem mu za zgodą nie bardzo szczodrego konsula jednomiesięczną gażę. Jako główny oskarżyciel, woźny nie zjawił się w dzień rozprawy, wskutek czego Pescha został uwolniony. Lecz stała się rzecz inna, horendalna. Oto pisarz sądowy pomylił się i zapisał do rubryki zasądzonych nazwisko konsula, zamiast jakiegoś zasądzzonego na 3 ty-

godnie łobuza. Rozgłos, jaki tej sprawie nawiązała prasa brukowa, stał się żerem dla czytelników. Szczególnie komiczne były duże nagłówki artykułów w gazetach np.: „Czy Austria zaprotestuje przeciw zasądzeniu swego konsula?“ Lub: „Austria nie może bronić swego zastępcy od aresztu“ i t. d.

Ale konsul Generalny p. Pescha pozwalał sobie jeszcze na inne podobne kawały, o czym Wiedeń — zdaje się — już wiedział, choć odrazu jeszcze nie reagował.

W roku 1908 otrzymałem trzymiesięczny urlop do Europy. Tuż przed wyjazdem zmuszony byłem wyrzucić z biura jakiegoś draba, który za pomocą konsulatu projektował jakieś oszustwo. Pescha dowiedziawszy się o tym, zaprosił w mej nieobecności sprawcę do siebie i namówił go do wniesienia zażalenia przeciwko mnie, a on to zażalenie skieruje do Ministerstwa. Tak się też stało. Zaraz po moim wyjeździe p. Pescha, przedłożywszy to zażalenie Ministerstwu, zaraportował, że stałem się wprost nieznośnym dla kolonii austriackiej i że ta żąda mego przeniesienia.

Był to zabieg prewencyjny p. Generalnego Konsula, obawiającego się, że we Wiedniu w Ministerstwie zechcą opowiedzieć, jak godnie ten dyplomata reprezentuje starą monarchię.

W Ministerstwie nic mi nie mówiono o owym zażaleniu. Lecz gdy powróciłem z urlopu, zażądano ode mnie wyjaśnień. Tego miałem za dużo. Tłumaczyłem się z temperamentem. Pisałem o wszystkim, dołączając zaświadczenie Szefa policji z Montrealu, że Pescha był wielokrotnie oskarżony i stale, dzięki mej interwencji, udawało mu się uniknąć zasłużonej kary. Wynik tego sprawozdania był ten, że zostałem przeniesiony do Nowego Jorku, a Pescha w kilka miesięcy później przeszedł na emeryturę.

Wspomniałem na początku, że p. Altmann, skromny zastępca firmy Janowitzer, był czymś więcej, aniżeli agen-

tem handlowym. Otóż jak się później okazało, był to agent kolei „Canadian Pacific Railroad“, który zorganizował na wielką skalę wychoźstwo z Galicji i Bukowiny. Rząd kanadyjski płacił premie 5 dol. od głowy każdego imigranta, a od kolei Altmann był osobno suto wynagradzany, bo każda jazda imigranta od portu na Zachód kosztowała od 30—70 dolarów.

Dopiero tuż przed wojną rząd austriacki wytoczył Altmannowi proces i zawiesił nad nim areszt prewencyjny — był bowiem amerykańskim obywatelem, pochodzącym podobno ze Słowacji. On to przy pomocy kilku posłów do Rady Państwa, oraz pewnego hofrata, uzyskał koncesje na agentury okrętowe w różnych miastach Galicji i Bukowiny, które głównie miały za zadanie młodych ludzi w poborowym wieku wywozić do Ameryki.

Wracając z urlopu przez Liverpool do Kanady, odwiedziłem tamtejszy konsulat, przedostatnią placówkę pana Peschy. Jego następcą Generalny Konsul Pisko opowiedział mi, że Pescha, przed oddaniem mu biura z całym inwentarzem, nie tylko zabrał klucze od wszystkich drzwi i biur, lecz oderwał nawet zamki, ponieważ te przedstawiały wartość kilku szylingów.

Konsul Generalny Pisko znał Peschę z dawnej służby w Turcji, gdzie Pescha przebywał przez 30 lat.

„Gdy przebywał kilka miesięcy w jakimś wilajecie“ — opowiadał Pisko — „wysyłał do Wali, t. j. do gubernatora wilajetu pismo, w którym bez powodu i przyczyny nazywał tureckiego baszę: świnia, durniem. Turek niewinny i nie znając przyczyny obrazy, sądził, że Pescha ma bzika. Odsyłał więc pismo do Wysokiej Porty w Konstantynopolu, a ta kierowała skargę do Ambasady austriacko-węgierskiej. Skutek był taki, że Peschę przenoszono do innego wilajetu, ze Smyrny do Bagdadu, z Jerozolimy do Sandzaku i t. d. Dostawał przy tym suty partykularz, wysokie diety za siebie i za służbę, której nie trzymał, za

wozy, konie, wyimaginowane wielbłądy oraz za straż osobistą, a ponadto odszkodowanie w wysokości sześciomiesięcznej gaży. O to mu właśnie chodziło. W przeciągu trzydziestu lat zebrał w ten sposób ponad milion koron, który ulokował w nieruchomościach“.

Podczas wojny widziałem Peschę we Wiedniu w podartych butach i wystrzępionych spodniach. Po wojnie, gdy mu Austria przestała płacić emeryturę (był Serbem), a domy nie dawały dochodów z powodu ochrony lokatorów, przymierał głodem, jak mi opowiadali jego przyjaciele.

XIV.

Znowu w New Jorku.

Z końcem roku 1908 New Jork jako miasto samo, liczy już daleko ponad sześć milionów mieszkańców, lecz mieści codziennie w swych murach siedem do ośmiu milionów ludzi (dziś około 12,000.000). Zajeżdżają codziennie kolejami, okrętami i tramwajami do pracy w New Jorku mieszkańcy tak bliskiego stanu New Jersey, przybywają en masse mieszkańcy Connecticut z różnymi interesami z całej Ameryki. New Jork nie jest sercem, lecz głową Stanów Zjednoczonych. Najbardziej kosmopolityczne miasto na świecie. Liczył już wówczas ponad 2 i pół miliona Żydów, około milion Włochów, tyłuż Irlandczyków, Greków, Hiszpanów, Chińczyków i innych. W wielkim New Jorku, t. j. po wcieleniu olbrzymiego miasta Brooklyn, osady Queens, Staaten Island i innych, gdzie głównie i Polacy mieszkają, znajdujemy w tym mieście ponad sto tysięcy Polaków i z 50 tysięcy Rusinów. Ponieważ kompetencja konsularna Austro-Węgier rozciągała się na całe stany New Jorku, New Jersey, Connecticut, Massachusetts, Rood Island, New Hamshire i Vermont, należało przyjąć, że liczba wszystkich Polaków i Rusinów na wymienionych

obszarach wynosi ponad milion. Najstarsze wychodźstwo polskie, rekrutujące się z Wielkopolski, rozprószone w Stanach Środkowych, t. j. w Stanach Illinois (Chicago), Michigan (Detroit), Pensylwanji, West-Virginji, Wisconsin etc. a późniejsza emigracja, pochodząca głównie z Małopolski, osiedliła się w stanach New Jork, New Jersey, w Pensylwanji, w Nowej Anglii, zatem Austrii przypadła rola opiekunki Polaków. Jak się nimi zaopiekowała, zabaczmy później.

W doręczonym mi dekrete przeniesienia z grudnia 1908 było powiedziane, że mam bezwzględnie udać się do New Jorku i stawić się do dyspozycji p. Generalnego Konsula barona Hoenninga O'Carroll (podczas wojny był adlatusem Generała Szeptyckiego w Lublinie). Gdy przybyłem do New Jorku, barona Hoenninga już nie zastałem. Zamianowano go posłem nadzwyczajnym gdzieś w Południowej Ameryce. Natomiast jako gerenta Konsulatu zastałem wspomnianego już konsula Grivičica, człowieka o bardzo ograniczonym horyzoncie, osobnika bardzo zarozumiałego. Do pomocy miał wicekonsula Feitschera, wspomnianego już przedtem radcę Sterna, Sekretarzy von Nyrv'ego, Vaczeka i kilku innych. Sami Węgrzy. W protokole podawczym, przy rejestrowaniu bieżącego wpływu, zatrudniony był wicekonsul Dr. Ferdinand Souvan, Słoweniec.

Pociągnięcia austriacko-węgierskiej dyplomacji były z reguły dziwne i nie przemyślane, lecz nie mogłem nigdy dowiedzieć się, dlaczego konsul Grivičic przydzielił wicekonsula, Dra praw, człowieka z daleko wyższym wykształceniem, niż sam posiadał, do protokołu podawczego, aby zapisywać nazwiska. Może stało się to w celach dyscyplinowania, ponieważ ten sam los i mnie spotkał przez pewien czas z takich właśnie powodów.

Referentem dla spraw polskich był Węgier, Sekretarz Vaczek, który dawniej jako oficer służył w Przemysłu i który mówił i pisał dziwnym słowacko-polsko-ruskim żar-

gonem, wychodząc widocznie, jak konsul, z założenia, że tym „chamom“ z Galicji musi to wystarczyć. Zresztą w wojsku również nie mówiono do nich innym językiem.

Ja dostałem referat wojskowy, tj. ewidencję zapasowych wojskowych, żyjących czasowo w Stanach Zjednoczonych, badania lekarskie poborowych i sprawy, dotyczące odraczania ćwiczeń wojskowych etc.

W 1908 konsulat generalny nie mieścił się już pod l. 33 Broodway, przy boku różnych oszustów, lecz w odrębnym budynku przy ul. 17-tej East, blisko Union Square. Dom był starą rudera, składającą się z 12 pokoi i z suterennym mieszkaniem dla woźnego. Aby się zabezpieczyć przed utratą mieszkania, konsul Hoening robi odrazu kontrakt najmu na 10 lat. Chodzi mu widocznie o odseparowanie się od siedziby pokątnych pisarzy i oszukańczych bankierów. Złe języki opowiadały, że radca Stern do tego go namawiał i że zarobił ładną prowizję, gdyż czynsz roczny wynosił 4.000 dolarów.

Będąc zaledwie tydzień w New Jorku, dostaję list od „adwokata krajowego“ Józefa Ueberalla, urzędującego pod l. 33 przy ul. Broodway, tj. w biurze, zajmowanym poprzednio przez konsul, w którym to liście Ueberall zaprasza mnie na ważną konferencję.

Pokazałem list konsulowi.

— „Niech pana Pan Bóg broni“ — zawołał konsul. — „To jest oszust“.

Zajęcie moje jest nudne i monotonne, lecz pozostawia mi dosyć czasu do studiowania stosunków i warunków pracy życia polskiego i ruskiego wychodźstwa. Wszak każdy okręt, który odbija od brzegów Europy, każdy parowiec Niemieckiego Lloyd, Hamburskiego, Holenderskiego, Belgijskiego lub Angielskiego Towarzystwa Okrętowego, idący do portów Ameryki Północnej wiezie na swym pokładzie setki i tysiące polskich i ruskich wychodźców; wszystkim uśmiecha się zdala jakaś nadzieja lepszej doli i zno-

śniejszej przyszłości. Włóczą się ci emigranci najpierw tygodniami po barakach i obozach różnych Towarzystw okrętowych, jeżdżą tygodniami w „zwischendekach” skrzypiących ze starości okrętów, a na wyspie Ellis Island, gdzie ich różne komisje badają, egzaminują, rozpytują i męczą, rozgrywają się ciche tragedie tych nieszczęśliwców, których inkwizycja nowoczesna nie wpuszcza do raju, którzy mimo dłuższego pobytu w amerykańskim „purgatorium” zostają oddaleni i na powrót do Europy zasądzeni.

Dawno jeszcze przed moim wyjazdem do Ameryki czytałem świetne opisy Uptona Sinclaira o oburzających i na pozór niewiarygodnych stosunkach w rzeźniach chicagowskich, stosunkach, które niestety okazały się prawdziwe. Zacząłem zatem w wolnych od zajęcia biurowego chwilach odwiedzać dzielnice, zamieszkałe głównie przez Polaków i Rusinów, bo ci mnie najwięcej interesowali. Kręciłem się po „East-Side” (po stronie wschodniej) Nowego Jorku, po norach międzynarodowej nędzy, po fabrykach w New Jersey, gdzie panują hańbiące i urągające wszelkiej kulturze stosunki, czytałem intenzywnie artykuły, ulotki dziennikarskie, raportujące o katastrofach kolejowych, o eksplozjach w fabrykach, w kopalniach, przy budowie dróg kolejowych i tuneli. Dowiaduję się, że w Ameryce jest przeciętnie każdego dnia więcej nieszczęśliwych wypadków, aniżeli w Małopolsce w ciągu całego roku, że rocznie statystyka rejestruje około 50.000 nieszczęśliwych wypadków śmiertelnych, że koleje żelazne zabijają rocznie przeciętnie 10.000 ludzi i kaleczą przeciętnie 80.000. Automobile nie były jeszcze wówczas rozpowszechnione, a w awiatyce eksperymentowali dopiero bracia Wright. Okazuje się, że stosunki były jeszcze idealne, gdyż dziś auta zabijają w Ameryce ponad 100.000 ludzi, a liczba nieszczęśliwych wypadków wynosi ponad milion rocznie.

Istniały już wówczas fabryki, pochłaniające rok rocznie po kilkaset robotników, ginących wskutek nieudolnego

obchodzenia się z maszynami, a ofiarami tego molocha fabrycznego byli przeważnie Polacy, Rusini, Słowacy i Chorwaci, ludzie, wychowani na roli, którzy nigdy przedtem maszyny, turbiny ani lokomotywy nie widzieli i których amerykański „kategoryczny tryb rozkazujący“ lub „do or die“ (rób lub giń) do tak niebezpiecznej i ryzykownej pracy zmuszało. Cóż miał robić taki Polak, przyjeżdżający do Ameryki, nie znający ani języka, ani stosunków, nie mający nikogo, aby się poradzić? Chwyta się jak tonący brzytwy, ponieważ w razie bezczynności widmo głodowej śmierci staje przed oczyma. Idzie zatem do fabryki o skomplikowanej maszynerii, idzie rozbijać dynamitem skały i kamienie, ostrzeżeń fabrycznych przed różnego rodzaju niebezpieczeństwami, związanymi z robotą, ani przeczytać nie umie, bo go w kraju czytać nie uczono, ani nie rozumie, zatem śmierć lub kalectwo czatuje nań na każdym kroku.

Nie chcę jednak być jednostronnym. Nie widzę, jakoby emigracja była dla Austrii w ogólności i dla Polski w szczególności nieszczęściem. Dowiaduję się, że wiele tysięcy, ba, setki tysięcy emigrantów doszło w Ameryce do dobrobytu i bogactwa. Liczba jednak nieszczęśliwych wypadków nie stoi w żadnym normalnym stosunku do ogólnej liczby przybyszów. Znajduję, że liczba nieszczęść tak wielka jest hańbą i ironią tej tak zwanej cywilizacji i kultury i że cała wina za to spada na nas, polską inteligencję, ówczesnych kierowników spraw narodowych w Parlamencie i w Sejmie.

Mam — zdaje się — bardzo czułe i słabe nerwy. Jakiś nervus lacrimae ścisną gardło, płacę na widok tyłu nieszczęść, lecz jestem bezsilny. Gdy opowiadałam o tym konsulowi Grivićić'owi, ten słucha z obojętnością, potem mówi:

„Panie, idź Pan do swojej pracy i nie baw się Pan w politykę. Pan musi **nam** to zostawić. Pan nie jesteś po-

litycznym referentem u nas, a referentem emigracyjnym u nas jest pan sekretarz von Nyiri“.

Od czasu do czasu przyjeżdża ktoś ze starego kraju, z którym można o tych sprawach porozmawiać.

Razu pewnego przyjechał do Ameryki były poseł do austriackiej Rady Państwa i Sejmu ś. p. Dr. Witold Lewicki. Przyjechał jako delegat z Galicji na odsłonięcie pomników, postawionych Pułaskiemu i Kościuszce w Waszyngtonie. Spotkałem się z nim w polskiej księgarni Dra Vorzimera, lwowianina, u którego schodziła się polska inteligencja tak trochę na politykę. Mówimy o potrzebach i bolączkach Polonii amerykańskiej i dochodzimy do uzgodnionego wniosku, że polskie wychodźstwo w Ameryce Północnej zdobywa powoli te urządzenia własne, które pozwolą mu żyć i rozwijać się bez zatury narodowości polskiej. Ma już swe kościoły bogato wyposażone za wdowi grosz polskiego robotnika, ma już swe szkoły polskie, niestety w słabe i niekwalifikowane siły nauczycielskie zaopatrzone nawet w największych miastach ma swe stowarzyszenia, swe związki, towarzystwa brackie, asekuracyjne, oświatowe, powstaje nawet tu i ówdzie szpital polski, biblioteka, powstają domy ludowe, teatry, sale do wykładów i zabawy, ma polskie dzienniki — słowem, powstawać zaczyna polskie życie zbiorowe. Lecz czego mu brakuje, to należytej spoistej organizacji jednolitej, organizacji szkolnictwa średniego, a nade wszystko brak mu organizacji opiekuńczej, porady prawnej i pośrednictwa w sprawach prawnych (czym miały być po części konsulaty państw zaborczych i czym nie były), brakuje świadomej celu organizacji tak w kraju, jak i na obczyźnie, brak węzła, łączącego podaż polskich rąk do pracy z zapotrzebowaniem ich i popytem na nie nietylko w centrach fabrycznych, lecz i na farmach rolniczych w Ameryce, brak skupiającej instytucji dla tych wychodźców, którzy na stałe chcą się osiedlić w Ameryce a nie wiedzą, dokąd się wybrać i gdzie się

osiedlić, ani w jakich warunkach przyjdzie im prowadzić gospodarkę rolną, brak wszelkiego uregulowania pośrednictwa pracy i kupna gruntów, a już katastrofalny brak polskiej instytucji finansowej, która skupiałaby w sobie wszystkie polskie towarzystwa i byłaby widomym łącznikiem w przesyłaniu oszczędności zarobionych do kraju.

Wszystkie te braki konstatuje poseł Dr. Lewicki, są one znane Drowi Vorzimerowi, były znane śp. Ignacemu Daszyńskiemu, który odwiedzał Amerykę i na jednym ze swoich odczytów mówił właśnie o gwałtownej potrzebie emigracji, ponieważ nędza w Galicji jest straszna.

„Gdyby w Galicji lub w Królestwie Polskim wybuchła straszna epidemia i tak w jednym, jak w drugim zaborze po milionie ludu wymarło, toby to wcale na stosunki ekonomiczne tych krajów wpływu nie wywarło“ — twierdził ś. p. Daszyński.

Widzę zatem wraz z innymi, że emigracja jest zjawiskiem normalnym, fizjologicznym, że chodzi o straszną walkę o byt i że z konieczności na emigrację się zgodzić musimy, lecz nikt nie widzi ani odczuwa nieszczęścia tych którzy idą na marne, którzy są ofiarami losu, nieuświadomienia, braku ochrony ze strony własnego społeczeństwa.

Siedzę w konsulacie i załatwiam kawałki. A ponieważ dzwonią mi w uszy szlochy emigrantów, których obrabowano, którzy zostali okaleczeni przy pracy i wyrzuceni na bruk bez grosza odszkodowania, gdy widzę lzy tych, którzy stracili z powodu nieszczęśliwych wypadków swych żywicieli, zaczynam zaniedbywać się w tej monotonnej pracy.

Wicekonsul von Mikloś — zbereźnik, wyprawiający w swoim mieszkaniu istne orgie, wykonywa nadzór nad moim referatem; i zamiast przeoczenie moje poprawić lub uzupełnić, przekreśla mi tegoż dnia wszystkie akta, przeze mnie zreferowane i każe mi je na nowo „załatwiać“.

Moja afera z Peschą jest jemu i Grivićić'owi znana, ucho-
dzą więc za „prepotent“ i należy mnie zdyscyplinować.

Lecz jestem niepoprawny! Mylę się dalej; tu zapomina-
mam dodać, że załączam 50 halerzy na odwrotne porto,
gdzieindziej nie umieszczam daty, lub datuję poprzedni
dzień, a gdy Wicekonsul Dr. Souvan zostaje przeniesiony
do Hamburga, czy Bremen, odbierają mi referat wojsko-
wy i dają mi protokół podawczy.

Tu wypada mi codziennie rejestrować około dwieście
listów, podań, reskryptów, odezów etc., wyszukiwać priory,
rozdzielać wpływ pomiędzy referentów, zapisywać do ksią-
żek doręczeń i t. d.

Do pomocy przy prowadzeniu indeksu mam młodą,
lecz niestety brzydką Węgierkę, ciche, niewinne, lecz głu-
pie stworzenie, które wywała na mnie oczy, napelnione
łzami, gdy czasami nie jestem wobec niej bardzo uprzej-
my. Biedne „kiszasony“ nie wie, co w mej duszy się dzieje,
nie wie, że jestem śmiertelnie urażony, że tracę otuchę
i chęci nie tylko do pracy, lecz do... flirtu z nią, jednym
słowem — do życia.

Wiem, że moja tajna kwalifikacja jest już jednym
czarnym arkušem i że gdybym był przydzielony jeszcze
provisorycznie, na próbę (provisorisch und probeweise),
jak to było w Warszawie i z początku w Montrealu, nigdy,
przenigdy, nie zostałbym przyjęty na etat Ministerstwa
Spraw Zagranicznych. Lecz mimo to, chodzę i szperam,
aż wpada mi w ręce coś bardzo ciekawego. Nim jednak
o moim odkryciu mówić będę, muszę wspomnieć o innym
wypadku, o nie mniej oplakanych skutkach.

Otóż moim następcą w referacie wojskowym był pe-
wien rotmistrz huzarów, nazwiskiem Csiszar (Cesarz!).
Ten dostaje pewnego dnia podanie jakiegoś ziomka na
pozór z prośbą o uwolnienie od ćwiczeń wojskowych. Po-
danie zaczyna się słowami: „Kérem balasom“, — jak każ-
dy porządny Węgier by pisał, a że do podania załączona

była książka wojskowa i karta powołania (Einberufungskarte) Ciszar już dalej nie czytał, daje pieczętkę: „Wird wärmstens befürwortet“ (poleca się gorąco) i adresuje podanie do Ministerstwa Wojny. Ministerstwo odsyła podanie do Dowództwa Korpusu, potem dalej do odnośnego pułku, aż prośba dostaje się do ostatniej, decydującej instancji, tj. do feldwebla manipulacyjnego dotyczącej kompanii. Ta bardzo ważna osobistość robi wszystko gruntownie i sumiennie. Przede wszystkim czyta każde słowo penta. I tu — o zgrozo — stała się rzecz straszna. Rezerwista pisze nie mniej, nie więcej: „Proszę uprzejmie przyjąć z powrotem doręczoną mi za pośrednictwem wysokiego Generalnego Konsulatu kartę powołującą oraz moją książeczkę wojskową i najuniżeniej prosić Jego Cesarską i Królewską Mość Franciszka Józefa, aby mnie pociąwał w....“.

Skandal. Obraza majestatu. Ameryka politycznych zbrodniarzy nie wydaje, feldwebel musi jednak zaraportować. Kapitan, Pułkownik, Generał brygady, Komendant korpusu, Minister wojny, każdy en pleine parade, musi następnemu zaraportować, lecz na szczęście wszyscy wiedzą, że konsul, który tę propozycję „gorąco polecił“, składa się z Węgrów, którzy byli nietykalni „noli me tangere“, więc cała sprawa kończy się naganą dla konsula. Obawialiśmy się, że rotmistrz Csiszar popełni samobójstwo, lecz nic podobnego. „Joj istenem, Hab ich nix gelesen, kérem szepen“, płacze Csiszar.

XV.

Akcja św. Synodu przeciw Austrii.

Nielicznej garstce badaczy historii Rosji wiadome było, że z jednej skały składająca się grecka wysepka Athos była aż do przewrotu w 1917 pod suwerennością Carów. Na tej skałce znajduje się starodawny klasztor, w którym

wychowywali się prawosławni misjonarze, popi i mnisi. Między wychowankami byli oficerowie generalnego sztabu z ukończoną akademią wojenną, byli i tędzy urzędnicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, byli i funkcjonariusze policji, względnie dobrze znanej ochrony, jednym słowem: wybrana elita, przeznaczona do oddawania ojczyźnie cennych usług w kierunku nienasyconej ekspansji Rosji, mającej się dokonać „historycznej misji“.

Byłem już z rok w New Jorku, zaaferowany różnymi błahymi urzędowymi sprawami, w atmosferze ogólnej i wzajemnej nienawiści między urzędnikami konsulatu, gdy pewnego dnia, przechodząc ulicą 19-tą East w kierunku do Stuyvesant Square, w oddaleniu tylko 3 minut od konsularnego budynku, gdy zauważyłem piękny dwupiętrowy dom w gotyckim stylu, wyróżniający się od innych domów sąsiednich.

Zdawało mi się z daleka, że ten dom był siedzibą jakiejś bogatej, patriarchalnej rodziny amerykańskiej, lub też domowym ogniskiem protestanckich pielęgniarek, cieszących się wielkim poważaniem amerykańskich milionerów. Z bliska jednak zauważyłem u boku bramy elegancką tablicę z rosyjskim napisem w złotych literach. Nie pamiętam dziś dokładnie treści napisu. W każdym razie coś w rodzaju „Cerkiewnyje Izdanja“, czy jakieś „Uczreżdjenje“.

Więc wchodzę. Na stołach i pulpach różne gazety i druki. Widzę że jest: „Russko-Amerykański Prawosławny Wiestnik“; leży świeży nakład gazety „Swjet“ w małopolskim języku, jednym słowem: kopalnia ciekawych wiadomości. Zaczyna się indagacja. Czego sobie życzę? Czy jestem „Russkij“.

Odpowiadam, że chciałbym się zapoznać z pismami wydawnictwa, że nie jestem „Russkij“, nie przyznaję się też do polskości, bo nie dostałbym ani jednego świstka. Propagandyści Św. Synodu wiedzą, że Polaka przekonywać

nie potrafią ani politycznie ani wiarą. Mówię, że jestem z „Prykarpackojsi Rusi“ a zatem mile widziany gość, najbardziej przystępny. Zamawiam abonament, podając adres pocztową skrzynkę, dla właściciela „Szarskiego“ — „Aleksander Osypowicz Szarski“.

Obsypują mnie literaturą, która mnie przeraża. Z prawosławnego „Gońca“ dowiaduję się, że kościół prawosławny w Ameryce ma już sto pięćdziesiąt kilka cerkwi pod kierownictwem arcybiskupa Platona (Rozdziestwienski) i dwóch biskupów, co mi się dziwnym wydaje, gdyż mi wiadomo, że w Ameryce żyje zaledwie kilka tysięcy Rosjan, a to przeważnie rewolucjoniści i tacy, co z kościołem nie wspólnego nie mają. W redakcji liberalnej rosyjskiej gazety „Russkoje Słowo“ dowiaduję się, że te prawosławne cerkwie nie są dla Rosjan, lecz dla austriackich Rusinów, węgierskich Rusinów, dla Słowaków, Słoweńców i Dalmatyńców. Z urzędowych publikacyj rosyjskich dowiaduję się, że do budżetu państwowego Rosji wstawia się rok rocznie około 60,000.000 rubli na cele misyjne, z innych zaś źródeł informuję się, że większa część popów i misjonarzy rosyjskich w Ameryce rekrutuje się z byłych oficerów rosyjskiego Generalnego sztabu. Ponieważ każdy kościół w Ameryce jest korporacją, tj. osobną jednostką prawną i wedle ustawy musi mieć zarząd, składający się z prezydenta, sekretarza, skarbnika etc., przeto przy założeniu wielkiego prawosławnego Soboru w Chicago, dla braku „istynno russkich ludiej“, skarbnikiem Soboru zamianowano węgierskiego żyda nazwiskiem Singer.

Istniejące już grecko-katolickie cerkwie zdobyto dla prawosławia w sposób następujący:

Jak się już rzekło — każdy kościół w Ameryce jest korporacją, składającą się z wyznawców tegoż kościoła, coś w rodzaju towarzystwa akcyjnego; grecko-katolickie cerkwie zostały zaraz po ich powstaniu przez księży oddane katolickim biskupom. Otóż agenci prawosławia,

względnie rządu rosyjskiego znajdowali się zawsze w gminie, którą zamierzali zagarnąć, kilku członków Przeważnie diaka, lub „pałamara“ — gotowych za złoto do zdrady. Wówczas ci „odszczepieńcy“ zaskarżali Zarząd korporacji do sądu o bezprawne oddanie majątku kościołowi katolickiemu, którego nie uznawali i uznawać nie chcieli. Procesy trwały czasami lata i kosztowały ogromne sumy, a że św. Synod w Petersburgu miał więcej pieniędzy od małej „cerkiewnej hromady“ naszych galicyjskich braci, więc Rosja zawsze wygrywała. Czasami się jednak zdarzało, że całe gminy za namową swego duszpasterza przechodziły na prawosławie. Tak gr.-kat. kościół w Minneapolis, (10.000 dusz) wraz z ks. Toth'em; w Pittsburgu, cała gmina z ks. Dzubajem na czele, również obywatelem węgierskim, którego Synod zamianował prawosławnym biskupem. Rozumie się, że i takie dobrowolne przejście drogo kosztowało rząd rosyjski, lecz zasada była: „Bist du nich willig, co gebrauche ich Gewalt“.

Że tu nie wchodziła w grę li tylko wiara, można łatwo zrozumieć. Chodziło o to, aby galicyjskich i węgierskich prozelitów, po powrocie do starego kraju, mieć jako szpiegów, lub conajmniej za sympatyków i w razie wojny jako skautów i znawców terenów, o czym zresztą uczestnicy ostatniej światowej wojny, walczący w Karpatach, mieli dosyć sposobności się przekonać. Plany, topograficzne zdjęcia, mobilizacyjne sprawy szły do Rosji określonymi drogami via Ameryka. Kosztowało to Austrię bardzo drogo w ludziach i mieniu, a niestety i nas Polaków, gdyż na wojnie wiele tysięcy naszych ojców i braci straciło życie z powodu zdrady rosyjskich szpiegów i sympatyków, zamieszkałych po jednej lub drugiej stronie Karpat.

I dopiero po zapoznaniu się z tą kolosalną rosyjską organizacją szpiegostwa i panslawistycznej propagandy, zrozumiałem, poco przyjeżdżali do Kanady popi, by odwiedzać mego przyjaciela, konsula Struwego.

Epigoni sławnych panslawistów, Katków, Aksaków i Pogodinów mieli wyższe cele i zadania do spełnienia. Podczas wojny i rosyjskiej okupacji Lwowa, był przydzielony Generał-Gubernatorowi Bobryńskiemu popczyk, nazwiskiem Kłopotowski (galicyjski rusin), który pisywał ze Lwowa korespondencje do „Prawosławnego Wiestnika“.

— „Nie jestem w stanie, kochani bracia, opisywać Wam naszego wielkiego szczęścia, naszych triumfów, naszej dumy. A gdy przypominamy sobie, że my to zrobili, że to jest nasza wojna i że my zwyciężyli, to serce nam skacze z radości“ — pisał Kłopotowski w marcu 1915 roku.

Kłopotowski konkurował zatem z b. ambasadorem w Paryżu Izwolskim, który się chełpił, że to jego była wojna, który wołał: „c'est ma guerre“. Kłopotowski należał do organizacji szpiegowskiej, w której sam hr. Bobryński również brał udział, gdyż był przed wojną nawet na Węgrzech świadkiem po stronie odwodowej skazanego za szpiegostwo na pięć lat reemigranta z „Prykarpackoi Rossji“.

O tych tak ważnych dla Państwa sprawach nikt w Konsulacie Generalnym ani w ambasadzie w Waszyngtonie nie wiedział. Sądziłem, że było moim obowiązkiem w jakiś sposób przelożoną władzę o tym powiadomić, lecz pouczony już przez konsula Grivićić'a, że nie jestem „politycznym referentem“, postanowiłem na razie milczeć.

XVI.

Aleksander Nuber von Perked.

Z początkiem 1910 r. zamianowany został Generalnym Konsulem w Nowym Jorku p. Aleksander Nuber von Perked, przedtem Gen. Konsul w Chicago. Konsul Nuber pochodził z Eperjes, na Węgrzech, był synem dyrektora gimnazjum, wychowankiem wiedeńskiego Teresianum,

człowiekiem dobrym, lecz średniej inteligencji, przekonana antysemitką i bardzo zawistnym. Fakt, że jego poprzednik przeszedł do dyplomacji i został Ministrem Pełnomocnym, podkopał wprost — jak się zdaje — jego zdrowie. Był chory na wątrobę. Począł więc szukać sposobów, aby tego „karierowicza“ — jak go nazwał — skompromitować.

Otóż przede wszystkim znalazł pretekst ze starym domem i dziesięcioletnim kontraktem. Nuber widział w tym wszystkim drugą „Panamę“. Nie miał wprawdzie żadnych na to dowodów, że jego poprzednik, baron Hoenning, był finansowo interesowany w tym kontrakcie, lub że działał w złej wierze, lecz dla braku na razie innych podstaw do rekryminacji, napisał na dwudziestu kilku arkuszach sprawozdanie o niesamowitym kontrakcie najmu i prosił o zezwolenie zerwania umowy, gdyż — według jego zdania — pomieszczenie konsulatu w tym domu uchybiało prestiżowi Monarchii. Ministerstwo zwróciło sprawozdanie do Ambasady w Waszyngtonie do zaopiniowania, a Ambasador, baron Hengelmüller z początku nie widział potrzeby zerwania kontraktu najmu, gdyż pociągnęłoby to za sobą stratę do 30.000 dolarów; „de gustibus non disputandum“ — mówił, czyli, że „jedni lubią zieloną kratkę, a inni czerwoną“. Dopiero później, gdy się bliżej zapoznał z Nuberem i gdy ten mu oddawał usługi, nie licujące wprawdzie z poważnym stanowiskiem Generalnego Konsula, lecz dla Ambasadora pojętne, wtedy dopiero dał się przekonać. Po całorocznych pisaninach i zachodach, Ministerstwo zezwoliło nareszcie na wyprowadzkę i na zapłacenie czynszu za wszystkie lata, co razem wynosiło 150.000 koron. Tyle rząd zapłacił za kaprys jednego urzędnika i to w tym samym czasie, w którym poseł Daszyński twierdził, że w Galicji umiera rocznie 50.000 osób z głodu, lub wskutek braku zabiegów medycznych.

W międzyczasie jednak zaszły i inne różne zmiany i mnie osobiście dotyczące. Sprawa panslawistycznej akcji

ze strony Rosji nie dała mi spokoju. Chciałem koniecznie, aby ona doszła do wiadomości we Wiedniu. Wpadłem na pomysł. Wysłałem najpierw do bardzo poważnego pisma „Oesterreichische Rundschau“ we Wiedniu zapytanie, czy wezmą artykuł „Ueber die russischen Umtriebe unter den Slaven der Monarchie in den Ver. Staaten“, a gdy dostałem zachęcającą odpowiedź, napisałem starannie całą historię tej nikczemnej pracy rosyjskich satrapów i przedłożyłem ją za pośrednictwem mego szefa, Ministerstwu, z prośbą o pozwolenie ogłoszenia. Czy Nuber ten artykuł czytał, nie wiem. Zdaje się, że nie. Był niezadowolony, gdy go przedłożyłem, lecz nie miał prawa nie przedkładać. Nim jednak miesiąc minął, nadszedł z Ministerstwa reskrypt mniejwięcej tej treści:

„Ministerstwo Cesarskiego i Królewskiego Domu i Spraw Zagranicznych zdecydowało (hat sich bestimmt befunden) nie udzielić pozwolenia urzędnikowi tamtejszego Generalnego Konsulatu, panu Grau-Wandmayerowi na ogłoszenie artykułu o panslawistycznej robocie Rosji w Stanach Zjednoczonych. Natomiast uprasza się Jaśnie Wielmożnego Pana, aby wspomnianego funkcjonariusza na przyszłość pouczył, że tak bardzo ważne informacje należy w formie tajnego sprawozdania opracować i Ministerstwu przedłożyć“.

Konsul Nuber, dając mi ten reskrypt do przeczytania, długo na mnie patrzył jak na człowieka z innej hemosfery i zdaje się, że zapamiętał moje nazwiisko.

Już wkrótce po tym incydencie miał p. Nuber sposobność posługiwania się mną w pracy politycznej. Wezwawszy mnie pewnego dnia do swego biura, wręczył mi coś w rodzaju prospektu, czy ulotki o nowo utworzonym biurze „Jugosłowiańskim“ (pierwszy raz słyszałem ten wyraz) w Nowym Jorku, w której to ulotce dyrektor tego biura zapewniał, że załatwia bezpłatnie wszelkie sprawy

wychodźstwa Kroatów, Słoweńców, Dalmatyfów, Bośniaków i Serbów tak w Ameryce, jak w starym kraju.

Znając język kroacki, łatwo znalazłem przystęp do Dyrektora tegoż biura, którym był niejaki p. Kukiel, czeski działacz i publicysta. Mówił mi, że biuro zostało założone i jest utrzymywane kapitałem niejakiej Miss Jenkins, Pittsburgskiej milionerki, która się szczególnie interesuje losem tych ludzi, pozbawionych opieki konsularnej. Pan Kukiel dał mi kilka czasopism amerykańskich z jego artykułami na temat badania pożycia południowych Słowian w Ameryce. Prace bardzo ciekawe i sumienne i zasługujące w każdym razie na szczególną uwagę.

Po powrocie do biura, zaciągnąłem do protokołu pozostałą korespondencję wpływu tegoż dnia i dopiero wieczorem mogłem napisać sprawozdanie o mojej misji do „Biura Jugosłowian“.

Nazajutrz rano położyłem mu mój raport na biurku, po czym udałem się do mego biura, aby dalej się zająć monotonną i bezduszną pracą.

Około jedenastej przedpołudniem rozległ się po całym domu krzyk szefa. Krzyczał, jakgdyby go kto chciał mordować. „Łajdacy, zbrodniarze, idioci. Czytajcie i uczcie się. Takiego człowieka trzymając w protokole podawczym ci, którzy niegodni mu buty czyścić“.

Obelgą ta była skierowana pod adresem przydzielonego od niejakiemu czasowi konsula Manojłowicza i dwóch wicekonsulów (Feitschera i Mikloś'a), którzy aż do przybycia Nubera wraz z Grivićiem zarządzili konsulatem.

Jeszcze w ten sam dzień Nuber kazał opróżnić pokój, zajmowany przez innego urzędnika dla mnie, do protokołu podawczego zaś przydzielono innego urzędnika. Mnie zamianował jakby osobistym sekretarzem i urzędnikiem dla spraw szczególnej wagi. Wszyscy interesanci, żądający audiencji u gen. Konsula, musieli wpięrw przechodzić przez moje biuro. Otworzył dla mnie tajne archiwum, tj. schowki z aktami rezerwatów. Polecił mi przystąpić do

Dyrektoriatu Austriackiego Towarzystwa, (mającego na celu ochronę emigracji, na co dostawało subwencję rządu w wysokości 50.000 koron rocznie), jednym słowem zrobił ze mnie ważną, lecz bardziej jeszcze przez kolegów znienawidzoną figurę.

XVII.

Józef Ueberall.

Dopóki miałem referat wojskowy, a później protokół podawczy, musiałem być niemyym świadkiem faktu, jak dwa razy w tygodniu przychodziła do konsulatu młoda żydóweczka, pochodząca ze Stanisławowa, niejaka panna Rosenblumówna, sekretarka p. Ueberalla, „advokata ze starego kraju“, ogłaszającego się intensywnie w polsko-amerykańskiej prasie. Panna Rosenblumówna sama była również „notariuszem publicznym“, zarejestrowanym w konsulacie i przynosiła za każdym razem kilkadziesiąt dokumentów do legalizowania.

Wiedziałem, że Ueberall tymi dokumentami popełnia codziennie horendalne oszustwa, lecz nic nie mogłem zrobić. Nie pytano mnie, bo przecież nie byłem „politycznym referentem“. Wręcz przeciwnie, panna Rosenblumówna była zawsze przyjmowana przez urzędnika referatu notarialnego ucałowaniem rączek. Na moje zarzuty, że konsulat przecież świadomie przyczynia się do oszukańczych manipulacyj pokątnego pisarza, odpowiadano, że konsulat ma obowiązek potwierdzać podpisy zarejestrowanych notariuszy publicznych, lub pisarzy powiatowych, a sama treść dokumentów konsulatu nie obchodzi. Takie były instrukcje ambasady.

Nie trwało jednak długo, gdy zaczęły się sypać skargi, przychodzili emigranci, ze złami w oczach opowiadając, że zostali wyczuci zupełnie ze swej ojcowizny przez Ueberalla i jego pomocników. Stwierdzono nareszcie urzę-

downie, że Ueberall w około siedemdziesięciu wypadkach obrabował ludzi przeważnie w następujący sposób:

Jak już wspomniałem, ogłaszał w polsko-amerykańskiej prasie, że załatwia wszelkie prawne sprawy w starym kraju. Bardzo wielu wychodźców, chcąc z kraju wyjechać, zadłużało hipotecznie swoje zagrody i pola w nadziei, że się w Ameryce czegoś dorobią i spłacą długi. Po przybyciu do Ameryki rzucali się — jak się rzekło — na wszystko, z rozpaczliwą energią, pracowali we fabrykach na dwie zmiany dziennie, nie jadali i nie dosypiali, aby zaoszczędzić, ciulać i długi w starym kraju płacić. Pouczono ich przed opuszczeniem kraju, że gdy przyślą z Ameryki pieniądze, długi zostaną umorzone, po czym dostaną t. zw. kwity ekstabilacyjne. Wychodźcy chodzili zatem do pana „Adwokata“ Ueberalla, aby im załatwiał te tak ważne sprawy. Inni zaś, nie zważając na ogłoszenia Ueberalla, jeździli do konsulatu, mieszczącego się — jak mi wiadome było — przez długie lata pod numerem 33 Broodway. Gdy przybywali do tego domu, chcąc dostać się do konsulatu, obsługujący windę skierowywał ich do biura Ueberalla. „Wiek Nowy“ we Lwowie w roku 1911 donosząc o oszustwach, popełnianych na polskich wychodźcach, tak opisał wygląd biura adwokata Ueberalla:

„Na ścianie frontowej wisi wielki obraz cesarza austriackiego, a pod nim stoi krzyż (krucyfiks) i świece (do zaprzysięgania świadków). Na ścianie wisi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, jakkolwiek „pan adwokat“ jest żydem, który odsiedział już w Austrii dwuletnią karę ciężkiego więzienia i który cynicznie opowiada, że „polski chłop musi być oszukany, bo sam tego chce“ i nazywa swoją kancelarię „adwokacko-notarialną pułapką na dolary chamów“.

Otóż Ueberall brał u zadłużonych wychodźców pieniądze na umorzenie długów, brał od nich pełnomocnictwa, kazał sobie suto za czynności płacić, poczem sprzeniewie-

rzał złożone u niego sumy, a na zasadzie otrzymanych pełnomocnictw polecał adwokatom lub notariuszom w Galicji sprzedawać grunta chłopów, spłacać długi i resztę jemu — Ueberallowi przekazywać. Przesyłane sumy również sprzeniewierzał, Te chłopskie majątki były niekiedy warte do 10.000 koron.

Zaczęła się bieganina po sądach i prokuraturach, aby usłyszeć z ust uśmiechniętych pomocników prokuratorów, że o ile mi się uda sprowadzić świadków z Europy, tj. tych wszystkich adwokatów i notariuszów w Galicji, mogących świadczyć, że to oni właśnie otrzymywali od Ueberalla dane pełnomocnictwa i że oni sprzedawali grunta i przekazywali pieniądze Ueberallowi, to tylko wówczas można będzie przystąpić do wygotowania aktu oskarżenia. Mówiono mi coś, co już niezliczone razy przedtem słyszałem, że anglo-saksońska procedura karna nakłada na oskarżyciela cały ciężar dowodowy, że wszystko zbudowane jest na zasadach wywalczonej wolności, na „Magna Charta“ i „Bill of Rights“, tj. na gwarancjach, wymuszonych przed wiekami na angielskich królach dla ochrony rzekomo niesłusznie uciskanych baronów.

Ueberall, mając czym opłacać adwokatów, dokładnie pouczających go, jak dalece bezpiecznie może grasować, hojnie korzystał z tych „gwarancji wolności“ i w przeciągu jednego roku „zarobił“ kilkaset tysięcy koron.

Aby na razie zapobiec tej überallowskiej ekspropriacji chłopskich gruntów, wysłałem obszerne sprawozdanie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i do austriackiego Ministerstwa Sprawiedliwości z takim skutkiem, że były Prezydya Sądów Krajowych Wyższych we Lwowie i w Krakowie poleciły sądom, adwokatom i notariuszom, aby co do wszystkich w ogóle pełnomocnictw, wystawionych w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Kanadzie, zwłaszcza pełnomocnictw, odnoszących się do przejmowania funduszów sierocińskich lub sprzedaży nieru-

chomości postępować z największą ostrożnością, a przede wszystkim, aby sądy żądały za pośrednictwem właściwych władz konsularnych przesłuchania odnośnych mocodawców, czy nadesłany dokument istotnie podpisali i czy pragną, aby kwoty pieniężne wypłacane były agentom lub w ich imieniu występującym pisarzom pokątnym.

Równocześnie odniosłem się do wszystkich austriackich władz policyjnych z żądaniem wywiadu co do osoby Józefa Ueberalla.

Po jakimś czasie nadeszła z Dyrekcji policji we Wiedniu wiadomość, że Józef Ueberall, urodzony w Rohatynie, był diurnista notarialny w Lubaczowie, zasądzony był przez Sąd okręgowy w Chebie (Czechy) za fałszowanie przekazów pocztowych na dwa lata więzienia i że po odciernieniu kary wyjechał do Ameryki. Wystosowałem natychmiast pismo do Sądu okręgowego w Chebie, prosząc o odpis wyroku i o fotografię byłego więźnia, które też odwrotną pocztą nadeszły. Dokumenty miały mi służyć do rozpoczęcia starań u amerykańskich władz federalnych o deportację Ueberalla, nie przebywającego jeszcze przez trzy lata w Ameryce, a że miał już za sobą rekord kryminalny, powinien był podlegać deportacji. W oczekiwaniu, że to z pewnością nastąpi, Konsulat Generalny zawiadomił o tym Sąd Krajowy Wyższy w Krakowie, celem wyznaczenia Sądu dla spraw Ueberalla, a że jego liczne oszustwa popełnione zostały głównie na szkodę wychodźców, pochodzących z powiatów Zachodniej Galicji, Sąd Krajowy Wyższy w Krakowie delegował dla tej sprawy Sąd Okręgowy w Tarnowie. Dochodzenia prowadził sędzia śledczy Dr. Flattau w Tarnowie, oczekując deportacji Ueberalla.

Niestety Ueberall dowiedział się przez zaufanego w konsulacie o poczynionych krokach, sprzedał prędko kancelarię niejakiemu Aleksandrowi Borysowi, a sam rozpuścił wieść, że wyjechał do Europy. Przysłał nawet

w związku z tym pocztówkę ze Stanisławowa. Lecz była to finta. W rzeczywistości ukrył się w Stanach Zjednoczonych, skąd tylko raz wyjechał na jeden dzień do Niagary. W międzyczasie minął trzyletni okres jego pobytu w Ameryce tak, że jego deportacja stała się nieaktualną. Pojechałem wprawdzie do Niagary i z kanadyjskiej strony sprowadziłem do komisarza imigracyjnego — który bardzo chciał zbrodniarza deportować — świadków, widujących się tam z Ueberallem, lecz usiłowania były daremne. Ueberall, mając dosyć kradzionych pieniędzy, zaangażował adwokata, niejakiego Snitkina, członka osławionej politycznej organizacji „Tammany Hall“, który rozpoczął kampanię przeciw konsulatowi oraz przeciw mnie osobiście, oskarżając Nubera i mnie o szerzenie antysemityzmu, o prześladowanie „niewinnego“ żyda tylko dlatego, że jest żydem. Ten proceder — niestety, tak często stosowany, gdy chodzi o obronę żydowskiego zbrodniarza — miał ten skutek, że zaniechano na razie postępowania deportacyjnego przeciw Ueberallowi.

Jednak Nemesis sprawiedliwości w końcu zatriumfowała.

Otóż wspomniałem już, że Ueberall, uciekając z Nowego Jorku (dokąd zresztą wkrótce powrócił) sprzedał swoją kancelarię niejakiemu Borysowi. Ten również zdefraudował kilka tysięcy dolarów chłopskich oszczędności i uciekł do Winnipeg w Kanadzie, skąd na telegraficzne żądanie konsulatu aresztowany, odstawiony został do Nowego Jorku. Borys (Rusin) miał słabe nerwy i był już bez pieniędzy. Prokuratura w Nowym Jorku weszła z nim w kompromis. Obiecała mu, że gdy się przyzna i wyda spółników, t. j. przede wszystkim oszustwa Ueberalla, otrzyma mniejszą karę. Inaczej może liczyć na 5—10 lat. Borys przyznał się do wszystkiego i dostał 3 i pół roku w Sing-Sing. Świadczył przeciw Ueberallowi, który po czterodniowej rozprawie pomimo świetnej obrony znanego

luminarza nowojorskiej palestry, p. Levy'ego wreszcie się przyznał do winy i dostał 5 lat również w Sing - Sing.

Gdy udało mi się w końcu i kilku mniejszych łajdaków unieszkodliwić, głównie dzięki pomocy zaprzyjaźnionego ze mną prokuratora i późniejszego sędziego Mr. Delehanty'ego, oszustwa na szkodę naszego wychodźstwa w Nowym Jorku na jakiś czas ustały. Pomogła mi również w tym względzie amerykańska poczta, przy pomocy której udowodniłem, że Ueberall i inni otrzymali z Galicji przekazane im sumy, uzyskane ze sprzedaży chłopskich gruntów.

Za moje trudy dostałem z polecenia Ministerstwa list dziękczynny, lecz cała sprawa kosztowała mnie dużo zdrowia.

Do obrońców Ueberalla należały także dwie „wiedeńskie osobistości“, niejaki Dr. Weiss i Dr. Briggs (Brix).

Kim i czym byli Dr. Karol Weiss i Dr. Briggs?

Karol Weiss — według listu gończego Dyrekcji Policji we Wiedniu z roku 1898, — urodził się na Węgrzech, ukończył w Budapeszcie trzy klasy niższej szkoły handlowej i otrzymał posadę w jednym z tych małych domów komisowych stolicy węgierskiej, które zajmowały się wysyłaniem towarów na zlecenie pocztowe. Ojciec jego był z zawodu melnerem i pracował w New Jorku w małych restauracjach, patronizowanych głównie przez węgierskich i czeskich wychodźców.

Karol był wysokiego wzrostu i miał czarne, kędzierzawe włosy i czarne wypukłe oczy. Był ożeniony z Wiedenką, która odnajmywała kawalerskie pokoje i głównie z tego utrzymywała siebie, męża i córeczkę. Weiss twierdził, że jest z zawodu chemikiem, co nie odpowiadało prawdzie. Zaarogował sobie ten tytuł dlatego, ponieważ przez czas jakiś pracował w fabryczce atramentu. Żył przeważnie z oszustwa i szantażu.

Dr. Briggs (Brix) natomiast był w swoim czasie we

Wiedniu rzeczywistym adwokatem, lecz po zdefraudowaniu funduszów, przez klientów mu powierzonych, uciekł do Ameryki, gdzie wraz z Weissem za pieniądze Ueberalla wydawał w niemieckim języku tygodnik p. t. „Austria“. Briggs został we Wiedniu zaocznie zasądzony na karę więzienia. Można sobie przedstawić, jaką szkołę ci dwaj oszuści dali mi na „wolnej ziemi Waszyngtona“. Co tydzień był nowy i coraz silniejszy atak na konsulat i na mnie, a gdy nie mogli spowodować upadku ani konsulatu generalnego ani mojego, zwołali na żydowski Nowy Rok do restauracji Grafa (lwowianina) zebranie protestacyjne przeciw „antysemickiej“ Akcji Konsulatu, a głównie przeciw mnie, powzięte zaś rezolucje wysłano do Ambasady w Waszyngtonie, do M. S. Z., do Cesarza Franciszka Józefa i do Prezydenta Stanów Zjednoczonych Teodora Roosevelta. Z tego powodu nastąpiła nawet wymiana not dyplomatycznych, a że fakty były aż nadto znane tak wyższym władzom austro-węgierskim, jak i amerykańskim, wszystkie te zażalenia, skargi, rezolucje i t. p. poszły ad acta.

Po przedłożeniu na posiedzeniu dyrektoriatu Austriackiego Towarzystwa Imigracyjnego listów gończych za Weissem i Drem Briggsem, obaj zostali wykluczeni z Towarzystwa mimo, że Briggs był szwagrem prezydenta tej organizacji, dyrektora Niemieckiego Teatru w New-Yorku, Baumfelda, również nieprawnie noszącego tytuł doktora.

XVIII.

Sprawa hrabiego Auersperga.

Mniej wesoło przedstawiała się dla mnie sprawa niejakiego hrabiego Auersperga. Weiss i Dr. Briggs ogłosili w roku 1911 w wiedeńskim organie M. S. Z. „Fremdenblatt“, że amerykańska milionerka chętnie wyszłaby za

mąż za austriackiego arystokratę i że oferty należy kierować do biura adwokata X. 39 Broodway New-York.

Na to ogłoszenie reagował niejaki hr. Auersperg, członek zubożałej rodziny Auerspergów, pochodzącej z Karyntii, człowiek umysłowo upośledzony.

Stosownie do ogłoszenia napisał do adwokata w New-Yorku, który mu telegraficznie potwierdził, że ta milionerka istnieje, i że o ile kandydat posiada sam dostateczne środki, aby przez pewien czas występować „standesgemäß“ (jak to w swoim czasie czynił hr. Castiglani z córką amerykańskiego milionera Goulda), wszystko będzie „O. K.“ (w porządku).

Auersperg przyjechał i to z pieniędzmi. Z początku zamieszkał u swego protektora „Dra“ Weissa, a gdy mu zwrócono uwagę, że z mieszkania w murzyńskiej dzielnicy miasta milionowej spadkobierczyni nie dostanie, wyprawał się do bardzo drogiego hotelu „Plaza“, gdzie w asystencji Weissa i Briggsa rozpoczął na serio akcję łowienia bogatej żony. Wprawdzie nie miał jeszcze dostępu do wyższego amerykańskiego towarzystwa, lecz za to dawał w hotelu „Plaza“ obiady na cześć różnych adwokatów, dziennikarzy i kupców wątpliwej reputacji. Chodziło bowiem o reklamę i o artykuły o nim w gazetach, o historię znakomitej rodziny Auerspergów, co dość dużo kosztowało, a lwia część tych wydatków szła do kieszeni Weissa i Briggs'a.

Złożyło się tak, że w tym samym czasie przyjechali do Ameryki Opat z Marienbadu i ks. Windischgrätz, delegat austr. Ministerstwa Handlu. Austriackie Towarzystwo uchwaliło dać na cześć tych osobistości przyjęcie w hotelu „Plaza“, a mnie, jako jednemu z dyrektorów przypadł zaszczyt organizowania przyjęcia (co nie było bez kosztów dla mnie, bo obiad kosztował 18—20 dolarów od osoby). Ponieważ kierownictwo Niemieckiego Teatru w Nowym Jorku po zbankrutowanym „Doktorze“ Baumfeldzie objął

nowy „austriak“ niejaki pan Stein (dawniej Rosenstein), który przyszedł do konsulatu z prośbą, aby go poprzec i zaznajomić ze „śmietanką“ austriackiego wychodźstwa, pamiętałem o nim przy tej właśnie okazji i telefonicznie zapytałem go, czy chciałby być moim gościem na obiedzie na cześć wymienionych osobistości.

Pan Stein, u którego codziennie bywał hr. Auersperg, pytał się, czy i hrabia również będzie na tym przyjęciu, co zaprzeczyłem, dodając, że „Austr. Tow. Emigracyjne“ nie miało dotychczas zaszczytu hrabiego Auersperga poznać.

Panowie Weiss i Briggs, którzy byli właśnie obecni u Steina podczas jego telefonicznej rozmowy ze mną, zdecydowali się nareszcie ze mną skończyć. Taki afront wobec członka starej historycznej rodziny austriackiej, który przyjechał zdobyć bogatą żonę dla „ojczyzny“, to się już równało „zdradzie stanu“ z mej strony. To miało mnie kosztować stanowisko. Skończyło się jednak na szczęście na bezsennych nocach i na nadwyrężeniu nerwów.

Ambasador baron Hengelmüller został przedtem odwołany, Nuber zaraz po tym przyjęciu wyjechał do Europy na urlop, kierownictwo Ambasady objął baron Loewenthal, najgłupszy dyplomata Monarchii, a gerentem Generalnego Konsulatu został Konsul Manojlovitch (syn bośniackiego sędziego), któremu kwestia obrony interesów wychodźstwa była obojętna. „Poco oni tutaj przyjeżdżają?“ — pytał. „Malfatti w swojej książce o obowiązkach konsułów nie przewiduje ochrony emigrantów“.

Miał słuszość. Malfatti, austriacki dyplomata napisał tę książkę przed 100 laty, kiedy jeszcze emigracji nie było.

Mamojlovitch nosił podarte spodnie, łatanе buty, nie używał mydła, aby nie wydawać na golenie, nosił brodę — jednym słowem — pod względem charakteru podobny był do Peschy jak dwie krople wody.

Manojlowitch, gdy otrzymał od Ambasady doniesienie Weissa i Briggs'a, względnie hr. Auersperga, jakoby powiedział, że ten arystokrata nie jest znany, chciał od razu zabić dwie muchy jednym uderzeniem — Nubera i mnie. Napisał, że popełniono niesłychany afront wobec tak ważnej osobistości, jak Auersperg, że jego w ogóle nie zaproszono na przyjęcie Austr. Towarzystwa i że ja osobiście moim postępowaniem również popełniłem karygodny faut pas.

Zaczęła się maltretująca pisanina. Co dwa dni, w ciągu jakich 6 tygodni, musiałem się tłumaczyć, dlaczego telefonowałem do Steina, jakiego używałem telefonu, czy kto był obecny, gdy telefonowałem i tysiące innych pytań, na które trudno mi było odpowiadać.

Niebo się jednak ulitowało nade mną. Gdy uciężnienie było największe, nadezła nadspodziewanie pomoc. Pewnej soboty popołudniu, gdy urzędowałem jeszcze w konsulacie, przyniósł mi woźny konsulatu europejską pocztę. Otwieram i czytam. Sąd Okręgowy w Lublanie przesyła nakazy płatnicze zaprotestowanych weksli hrabiego Auersperga na 20.000 koron dla doręczenia pozwannemu, powód zaś, pastor ewangelickiego kościoła, pan Heinemann, pisze do konsulatu rozpaczliwy list, że Auersperg w oszukańczy sposób wyłudził od niego tę sumę i prosi o interwencję.

Zirytowany do ostateczności atakami zorganizowanej bandy złodziei à la Weiss et consortes i w szczerym zamiarze rehabilitowania mego szefa, o którym już pisano, że został z powodu Auersperga odwołany ze swego stanowiska, zaprosiłem do konsulatu zaprzyjaźnionego ze mną dziennikarza i pokazałem mu akta. Jeszcze tego samego dnia dostał korespondent koncernu Hearsta we Wiedniu polecenie udania się natychmiast do Lublany i zbadania na miejscu szczegółów sprawy. Bomba pękła. Auersperg wrócił — jak obłany pomyjami pies — do Austrii, lecz

Weiss i Briggs pozostali. Byli jednak już zupełnie zdyskredytowani. Miałem nareszcie spokój.

W roku 1911 otrzymałem trzymiesięczny urlop i wyjechałem do Europy. Byłem przez tydzień we Włoszech, tydzień we Wiedniu, ostatecznie przyjechałem do Lwowa w zamiarze spędzenia urlopu w Krynicy lub w Zakopanem. Lecz nie. Nie dano mi spokoju. Pewnego wieczora w domu rodziców zauważyłem przez okno roznosiciela telegramów. Miałem przecucie, że miał coś dla mnie. Nie omyliłem się. Już sam tytuł telegramu był poważny. Zaczynał się słowami: Seiner Hochwohlgeboren dem Herrn k. u. k. itd. Więc Ministerstwo! Hr. Aehrenthal ówczesny Minister Spraw Zagranicznych był chory i zastępował go były Ambasador w Turcji hr. Palavicini. Telegrafował mi, że z powodu zaszyłych zmian personalnych w służbie konsularnej w Stanach Zjednoczonych mam przerwać urlop i natychmiast wrócić na moje stanowisko. Wróciłem, lecz już na okręcie dostałem od szefa telegram, że zostałem „poza kolejką” zamianowany sekretarzem Gen. Konsulatu. W rok później Cesarz nadał mi order Złotego Krzyża z Koroną.

XIX.

Wizyta politycznych osobistości.

Po wybuchu wojny światowej przypisywano Austrii wielką winę, największą zbrodnię, t. j., że w XX wieku, dzięki wysoko rozwiniętej technice uzbrojenia spowodowała największą wojnę w historii świata. Trzeba pamiętać, że w tej wojnie wyginęło nie tylko 12,000.000 żołnierza, t. j. więcej aniżeli Czechosłowacja ma ludności, ale że zginęło wskutek tej wojny oprócz 12,000.000 żołnierza jeszcze 60,000.000 ludności cywilnej wskutek chorób wojennych, głodu, z wycieńczenia i braku sił do przetrzymania. Powymierali masami przedwcześnie ludzie starsi i dzieci z braku żywności, pomocy lekarskiej oraz środków medycz-

nych, ginęli masami ludzie w średnim wieku, ludzie silni i wytrwali wskutek chorób epidemicznych, jak cholera, „hiszpanka“, która właściwie była lżejszą formą dżumy i innych. O tym wszystkim mówiono przy obrachunku w Versailles i w St. Germain, że to planowały Austria i Niemcy. Czy to tak w istocie było? Tak i nie.

Gdy na kongresie berlińskim w roku 1878 angielski mąż stanu zaproponował, aby Austro-Węgry wzięły na siebie pacyfikację Bośni i Hercegowiny, t. zn. okupację tych krajów, a hr. Andrassy tę propozycję przyjął, wówczas delegat Rosji, generał Gorczakow miał powiedzieć Andrassy'emu: „To będzie grób Austro-Węgier“. Roztrząsanie kwestii, czy ta misja była dla Austrii koniecznością historyczną, zostawimy historykom. Ograniczymy się do faktów:

Austria objęła administrację Bośni i Hercegowiny i rządziła tymi krajami od 1878 roku a w 30 lat później, tj. w roku 1908 uznała za stosowne zaanektować je. Nie będąc pewną, czy to jej się uda bez wojny, zarządziła przy tym częściową mobilizację. Rosja, pozornie z początku się zgodziła z tą grabieżą, nie będąc jeszcze do wojny przygotowaną, a raczej z powodu przegranej wojny na Dalekim Wschodzie oraz wycieńczona wewnętrzną rewolucją, zaś Francja robiła „bonne mine au mauvais jeu“, zacisnęła zęby i przyjęła zawiadomienie do wiadomości. Tylko Serbia i Turcja rozgniewały się, a Austria zaczęła szukać sposobów, aby w jakiś sposób te dwa kraje udobruchać. Atoli gdy to się nie udało, szczególnie w Serbii, zaś w Rosji zaczęto myśleć o uratowaniu prestiżu i o misji panslawistycznej — Austria się przestraszyła, szczególnie, gdy po spotkaniu króla Anglii z Carem, gdzie przyszło do porozumienia pomiędzy obu krajami i gdy izolacja Niemiec stała się faktem dokonany, zaczęto na nowo myśleć o możliwości wojny.

Austria w roku 1911 zarządziła po raz drugi częściową

mobilizację i aby pokazać Anglii swoją siłę, zaczęła przewozić wojska nocami na kolejowy dworzec południowy we Wiedniu, ulicą, gdzie mieściła się angielska ambasada. Tygodniami słyszeli angielscy dyplomaci co nocy tupanie piechoty i stuk ciężkich dział na brukowanej kamieniami ulicy.

Równocześnie Cesarz Franciszek Józef, który, jak wiadomo, wojny nie chciał, słał listy odręczne do swego „kuzyna“ Cara - Imperatora, szukając drogi pokojowego załatwienia sprawy. Trzy razy jeździł ksiączę Gottfried Hohenlohe - Schillingsfürst w specjalnej misji do Cara i trzy razy zdawało się już, że burza przejdzie, aż niefortunna podróż następcy tronu Franciszka Ferdynanda z żoną do Bośni przyniosła im gwałtowną śmierć.

Zdaje się jednak, że Austria i Niemcy już w roku 1911 doszły do przekonania, że wojna jest nieunikniona. Dlatego Niemcy uchwaliły nadzwyczajną daninę na uzbrojenie w kwocie 1.000.000.000 marek, Austria zaś zaczęła również się zbroić, rozsyłając równocześnie różnych emisariuszy pokojowych po świecie, aby zapewnić o swoich pokojowych intencjach.

Jednym z tych białych gołębi był hr. Wojciech Apponyi, ojciec obecnej królowej Albanii. Przyjechał on do Ameryki z odczytami jako członek międzynarodowej Ligi Pokoju i przy tej okazji odwiedził kilkakrotnie konsulat. Węgierskie Towarzystwo Imigracyjne wydało na jego cześć wielkie przyjęcie.

Dowiedziawszy się od sekretarza Vaczeka, referenta dla spraw imigracyjnych, że konsulat generalny dysponuje rocznie 2000 biletów okrętowych po 10 dolarów sztuka, przeznaczonych dla repatriantów, wracających na koszt rządu do kraju, polecił hr. Apponyi temuż funkcyjnariuszowi uwzględniać wyłącznie Węgrów, a nie Słowian przy powrocie do kraju. A korzystali z tego dobrodziejstwa

masami Węgrzy, wracający z bardzo znacznymi oszczędnościami.

Przyjeżdżali do Ameryki i delegaci austriackiego Ministerstwa wojny w sprawie mobilizacyjnej — między innymi podpułkownik Dr. Steiner, aby omówić sposoby lekarskiego badania w razie mobilizacji, a po jego powrocie do Wiednia nadszedł tajny i bardzo ważny elaborat, do którego miał przystęp tylko szef a w razie tegoż nieobecności przez Ministerstwo przeznaczony zastępca. Dokumenty te musiały być przechowywane w żelaznej skrzyni.

Przyjeżdżali i Polacy, przewidujący już wojnę, których misją było urabianie orientacji. Przyjechał Pan Biega z lwowskiego Słowa Polskiego, przyjechał ś. p. pan Tadeusz Cieński, prezes Rady Narodowej Centralnego Komitetu wyborczego w Galicji, przybywali emisariusze czescy, chorwaccy i inni, o których jeszcze będzie mowa i przyjechał mecenas Bronisław Kułakowski z Warszawy, obrońca bojowców, o którym jeden ze świadków ochrony wyraził się na rozprawie, że poznaje także w nim jednego z bojowców. Kułakowski wyszedł ze sali rozpraw i już tam więcej nie wrócił. Nazajutrz był już w Krakowie.

Trzeba było się nim zająć. Był to człowiek, przyzwyczajony do dobrego życia, a tu nie miał grosza i z niczyjej strony pomocy. Trzeba było stworzyć dla niego jakiś warsztat pracy, pole działania. Był to przecież mąż wielkiej erudycji, gorący patriota; mówił mi o nim ś. p. Dr. Lewicki, że zostawił w Warszawie bibliotekę wartości 50.000 rubli a tu w Nowym Jorku nie miał dwu dolarów, aby za skromny pokój w dzielnicy wychodźców zapłacić za tydzień z góry. Wprowadziłem go do Towarzystwa „Oświata Biały Orzeł“ (które w 1912 r. wydało moją broszurę „O konsulatach i emigracji“). Założyliśmy Uniwersytet Ludowy, aby inteligentnych uchodźców polskich przygotowywać do szkół przemysłowych, Kułakowskiego zaś wy-

braliśmy dyrektorem do czasu założenia polskiego dziennika, którego naczelnym redaktorem on właśnie został.

Ponieważ mnie uważali za „firmę“, więc przyjąłem godność skarbnika Uniwersytetu i udało mi się zebrać na Uniwersytet aż 1600 dolarów. Ci, co mogli płacić, musieli za naukę płacić. Uczono wieczorami (w szkole parafialnej na 8-mej ulicy) języka angielskiego, matematyki, rysunków, historii polskiej i amerykańskiej, a mecenas Kułakowski co tydzień dostawał po 25 dolarów. Mógł się do syta najeść za zarobione pieniądze i nie czekać na czyjeś zaproszenie. Kułakowski nawet wtedy, gdy głód cierpiał, nie szedł do ludzi z przeciwnego obozu. Był i pozostał aż do śmierci socjalistą i rewolucjonistą, który po przystąpieniu Ameryki w 1917 roku do wojny, o mało nie dostał się do obozu koncentracyjnego.

Przyjeżdżali do Ameryki i inni działacze polityczni, jak prof. Siemiradzki, wybitny historyk, inż. Mazurkiewicz, który po kilkumiesięcznej poniewierce wyjechał do Ameryki południowej, red. Tadeusz Wieniawa-Długoszowski i inni. Przesiadaliśmy w księgarni Dra Vorzimmerra II Aveniu i zajmowaliśmy się przede wszystkim polityką polską i potem polityką austriacko-węgierską, jednym słowem: nastaly ciekawe czasy. W tym roku, t. j. w 1911 ożeniłem się z Amerykanką Irlandzkiego pochodzenia, p. Anną Mitchel-Rodgers.

Odtąd mogłem się jako tako „standesgemäss“ urządzić i przyjmować w moim domu tych wszystkich, których zaliczałem do najlepszych Polaków.

XX.

**Wielkie zmiany w dyplomacji
Austro-Węgier.**

Po śmierci hr. Aehrenthala dziedzictwo w postaci odpowiedzialności za losy ludów b. Monarchii Austriacko-Węgierskiej spadło na hr. Leopolda Berchtolda von und zu Ungarschitz, który kilka lat później tak smutno zapisał się w kartach historii świata. Berchtold chciał iść w ślady Prusaków, chciał robić „eine draufgängerische Politik“ i nawet na wewnętrzne stosunki Austrii rozciągał swoje wpływy.

O ile jedne posunięcia jego były trafne, zdrowe, to inne znowu były wprost zabójcze.

Do pomocy wziął sobie Berchtold dwa filary: Excelencję Dra Gustawa Gratza (Węgra) i Dra Roesslera z austr. Ministerstwa Handlu, mianując ich Szefami (ad personam II rangi).

Hr. Berchtolda osobiście nigdy nie widziałem, ani też Dra Gratza. Nie będę się również zajmował ich polityką, ponieważ już miarodajniejsi pisarze to zrobili i niezawodnie jeszcze zrobią, natomiast poznałem szefa sekcji Roesslera, który powołał mnie na audiencję, gdy bawiłem w r. 1911 na urlopie w Europie. Trzymał mnie u siebie przez dłuższy czas, wypytywał szczegółowo o naszą emigrację i o sposoby jej ochrony. Czy to uczynił w związku z moimi sprawozdaniami, czy też z polecenia ś. p. Wacława Zaleskiego, ówczesnego Ministra dla Galicji, któremu również przedłożyłem sprawozdanie o wychodźctwie — nie wiem. Miarodajnym było, że się tym zainteresował. Wysłał też jeszcze w czasie mego pobytu na urlopie komisję do Ameryki, pod kierownictwem inspektora konsularnego Aleksandra Günther v. Ollenburga.

Po powrocie z urlopu zastałem wielkie zmiany. Po-

szedł na emeryturę przede wszystkim Ambasador baron Hengelmüller, zostali przeniesieni z Nowego Jorku konsulowie Grivičić, Manojlavić, Feitscher, Mikloš i t. p., inni zostali wprost ze służby wydalenii za zwykłe kradzieże publicznych funduszków, pomiędzy innymi sekretarz Generalnego Konsulatu w Chicago Kominek i młodszy sekretarz Christein w Nowym Jorku. Na ich miejsce przyszli inni, lepsi, czasami i gorsi. Przydzielono konsula Dra Grafa, (Niemca), Wicekonsula Dra Hoffmanna (Węgra), syna smutnej pamięci generała Hoffmanna, wicekonsula Eugeniusza Rozwadowskiego (Polaka) wszyscy zacni i rozumni ludzie, lecz przysłano już przed tym ludzi niepożądanych, w rodzaju niejakiego Dra Fischauera, który znajdował w nędzy i nieszczęściu naszego wychodźstwa wydajne źródło eksploatacji i do którego jeszcze wrócę, bo był to wielki szkodnik. Przydzielono konsula Kirchknopfa (Węgra), o którym jeszcze będzie mowa.

Odejście ambasadora, bar. Hengelmüllera z posady, którą zajmował przez lat z górą 25, wywarło w sferach dyplomatycznych, oraz inteligentnym wychodźctwie bardzo dodatnie wrażenie. Był to powszechnie nielubiany a nawet zniechęcony dyplomata — na punkcie zbierania majątku, wprost patologiczny. Jego chciwość nie znała granic. Gdy w latach 1917/18 pracowałem w austro-węgierskiej Ambasadzie w Berlinie, opowiadał mi pewien niemiecki adwokat (Justizrat), który prowadził przeciw niemu osobistą egzekucję po przyjeździe z Ameryki do Hamburga, że gdyby to nie był austriacko-węgierski ambasador, lecz prywatny człowiek, dostałby się już dawno do więzienia. Hengemüller, ożeniony był z Polką, panią Taczanowską, wdową po ziemianinie z Poznańskiego, której nie tylko zabrał majątek po pierwszym mężu, lecz zagarnął w nielegalny i nie bardzo uczciwy sposób majątek, pozostawiony przez Taczanowskiego swoim dwóm nieletnim synom.

Ten właśnie „Justizrat“, wyrażający się tak niepo-
chlebnie o austriacko-węgierskim ambasadorze, ustano-
wiony był przez pruski sąd kuratorem nieletnich Tacza-
nowskich.

Lecz to nie były jedyne grzechy pana ambasadora.
Zapamiętała go emigracja austro-węgierska z zupełnie
innego zdarzenia:

Oto z końcem lat dziewięćdziesiątych wybuchł w Pitt-
sburgu i okolicy wielki strajk. Pittsburg zamieszkały był
w 80% przez Słowian z monarchii austriacko-węgierskiej.
„Sheryfem“ hrabstwa (powiatu) t. j. wybranym urzędni-
kiem egzekutywy powiatowej był Irlandczyk nazwiskiem
Latimer, sam właściciel kilku kopalni węgla. Latimer po-
stanowił dać „Hunkom“ (tak nazwano wychodźców) na-
uczki, aby raz na zawsze zapamiętali, że są tylko niewol-
nikami. Zaangażował cały szereg specjalnych policjantów
oraz „vice-sheriffów“ między innymi własnych krewnych,
uzbroił ich porządnie w „Winchestry“ i polecił im strzelać
do strejkujących. Poległo wówczas kilkudziesięciu wy-
chodźców, z tych większa część otrzymała strzały w plecy.

Gdyby tę zbrodnię popełniono na Włochach lub Niem-
cach, odszkodowanie ze strony bogatego hrabstwa wyno-
siłoby krocie tysięcy dolarów, a mordercy ponieśliby za-
służoną karę na elektrycznym krześle. Inaczej się stało
z naszymi. Baron Hengelmüller, któremu hr. Gołuchowski
poleciał sprawę zbadać, nadał tej aferze zupełnie inny kie-
runek. Konsulem w Pittsburgu był wówczas również Wę-
gier nazwiskiem Wein. Tenże konsul zatrudniał z polece-
nia ambasadora, byłego vice-Żupana w Kroacji, niejakiego
Teodorowicha w charakterze urzędnika kontraktowego,
któremu też poruczył śledztwo w tej sprawie strajkowej.
Pan Teodorowich w porozumieniu z Hengelmüllerem
uznał, że winą leżała po stronie emigrantów, że Latimero-
wie, strzelając na oślep, działali z konieczności obrony
własnej.

Teodorowich na przedstawienie ambasadora został honorowym konsulem w Filadelfii (z poborami rzeczywistego konsula) — później popełnił samobójstwo, sprzeniewierzwszy fundusze publiczne.

Hengelmüller miał widocznie osobisty interes w tym, aby zwalić winę za tę zbrodnię na biednych Polaków, Kroatów i Słowaków. Jedni mówili, że stał przed zamianą poselstwa na ambasadę i szukając poparcia rządu amerykańskiego, chciał uchodzić za persona grata Białego Domu, drudzy imputowali mu inne motywy. Odszedł jako człowiek bardzo bogaty. Kupił sobie potem zamek w Meranie.

Filozofii politycznej „enrichissons nous“ holdowali także inni dyplomaci monarchii. Słyszałem bajeczne na ten temat historie, lecz skoro osobiście nie znałem tych epigonów dworzan Ludwika XIV, ani ich wyczynów, nie będę o nich pisał; byłoby to plotkarstwem. Natomiast zajmę się trzema osobistościami, które pozostawiły po sobie brudne ślady. Pierwszą z nich był konsul Kirchknopf. Przybył do Nowego Jorku na wiosnę 1911 r. w czasie mego urlopu. W budynku konsularnym, w parterze, znajdował się duży, ciemny pokój, pełniący dawniej usługi salonu. Urzędnikom konsularnym służył potem za magazyn do przechowywania waliz i kufrów, szczególnie tym, którzy zaraz po przyjeździe nie mieli jeszcze stałego locum. Otóż p. Kirchknopf przyjechawszy do Ameryki, przywiózł ze sobą kilkadziesiąt skrzyń z „meblami“, których dzięki kurtuazji amerykańskich władz, urzędnicy celni nie otwierali, lecz odesłali wprost do konsulatu. Pan K. będąc kawalerem, zamieszkał w jednym z eleganckich hoteli na V Avenue, a skrzynie pozostały w konsulacie. Dopiero po kilku tygodniach kazał owe skrzynie przetransportować z konsulatu na jeden z dworców kolejowych celem wysłania do Chicago i St. Louis. Jedna ze skrzyń przypadkowo się rozbiła i wypadło z niej kilkadziesiąt tuzinów białych rękawiczek. Innymi słowami p. K. uprawiał — jak mu zarzucili

gen. konsul Nuber — zwyczajny przemysł. Były kolega p. K. z Akademii Konsularnej we Wiedniu, pan Tadeusz Płaźniński, syn b. starosty w Tarnowie, określił mi pana K. jako człowieka zdolnego do każdego przestępstwa. Czy taka charakterystyka była słuszna, czytelnik będzie miał sposobność później sam osądzić.

W roku 1913 poszedł na urlop kierownik Ekspozytury Generalnego Konsulatu w Buffalo, Radca Konsularny Jan de Nyiry, brat byłego premiera Węgier, generała de Nyiry. Konsul generalny polecił na zastępców do wyboru starszego sekretarza, p. Patakiego oraz mnie. Otóż Ministerstwo mnie zaszczyliło tą misją. Już w marcu 1913 r. objąłem protokolarnie Urząd, t. j. inwentarz konsularny, dom z przynależnościami, akta i kasę. Wedle sporządzonego przez Nyirego wykazu, pozostało tam w zawieszeniu kilka spraw spadkowych po zmarłych Polakach (Buffalo liczyło wówczas około 500.000 mieszkańców z czego 100.000 Polaków a w Okręgu Buffalowskim żyło również z pół miliona naszych rodaków). Gotówka spadkowa wynosiła kilkaset dolarów i była zdeponowaną w banku.

W kilka dni po odjeździe p. Nyirego do Europy przyszło do Konsulatu pismo Starostwa w Złoczowie, o niezwykle wzruszającej treści. Starostwo pisało mniej więcej:

„W sprawie spadkowej po zmarłym w roku 1911 w Niagary-Falls obywatelu austriackim XX. Starostwo poraz czwarty najusilniej uprasza o sfinalizowanie postępowania, gdyż wdowa z pięciorgiem dzieci literalnie z głodu umiera, podczas gdy w Banku w Niagary Falls zdeponowanym jest po zmarłym kilkaset dolarów w gotówce“.

Pan radca de Nyiry takiego spadku przy oddaniu urzędu mi nie przekazał. Zacząłem szukać. W rejestrze, w protokole podawczym znalazłem zapiski, dotyczące tej sprawy, lecz aktu nie było. Siedziałem do świtu w biurze, przyszukszałem wszystkie akta, aż znalazłem.

Okazało się, że Nyiry jeszcze w r. 1911 zamianowany

został kuratorem owego spadku — że natychmiast — według aktu — zażądał od Banku w Niagary Falls przekazania mu oszczędności po zmarłym. Lecz na tej informacji akt się kończył.

Telefonowałem nazajutrz do Banku, aby się dowiedzieć, że w ten sam dzień, t. j. po otrzymaniu listu kierownika konsulatu Bank wysłał na jego imię czek na 260 dolarów i że tenże czek został zdyskontowany w banku w Buffalo przez p. N....

Pan konsul zatem tę sumę zwyczajnie zdefraudował, czy też — jak się później tłumaczył — „sobie pożyczyl“.

Nosiłem się przez kilka dni z zamiarem pokrycia na razie tej sumy z własnych funduszków, aby uchronić kolegę od konsekwencji, lecz inna jeszcze smutniejsza sprawa zmusiła mnie do wystąpienia przeciw p. konsulowi. Zetknąłem się z tak podłymi i łajdackimi sprawkami p. N., że trudno było własnym oczom uwierzyć. Chodziło o ciężką krzywdę, wyrządzoną polskiemu chłopcu. Sprawa była następująca:

Jakiś mieszczanin z Jarosławia wysłał do krewnych w Buffalo swego czternastoletniego syna. Krewni zamiast posłać chłopca do szkoły — jak tego ustawa amerykańska wymagała — oddali go do pracy. Dzieciak pracował w jakiejś małej rozpadającej się żydowskiej fabryczce. Robotnicy zwracali na tę anomalię uwagę właściciela fabryki, lecz bez skutku.

Pewnego dnia urwał się strop budynku i spadł chłopcu na nogę tak fatalnie, że musiano ją amputować.

W Ameryce rozstrzygają także w sprawach cywilnych sądy przysięgłych. Wiedziałem z praktyki i słyszałem opinie sędziów i adwokatów, że w tym specjalnym wypadku każdy Sąd byłby przyznał chłopcu odszkodowanie w wysokości co najmniej 5000 dolarów. Pan de Nyiry miał jednak inny interes w tej sprawie. Pozwany był ubezpieczony przeciw pretensjom cywilnym, a de Nyiry był w poro-

zumieniu z Towarzystwem asekuracyjnym. Kazał się zamianować na mocy swego urzędu — opiekunem chłopca i w drodze ugodowej przyjął 500 dolarów, z czego dał adwokatowi 250 — za leczenie w powiatowym szpitalu wstawił w rachunek 150 dolarów, sobie za rozjazdy 25 dol. a za resztę wysłał kalekę do kraju.

Opowiadała mi siostra pielęgniarka (Polka), że gdy chłopiec leżał w 40-stopniowej gorączce, przyszedł de Nyiry do szpitala i wymusił na nim podpis na podaniu o ustanowienie go opiekunem. Koszta szpitalne poniósł powiat, tak, że wstawiona do rachunku suma 150 dolarów była oszustwem. Ile łapówki opiekun ten otrzymał od Tow. asekuracyjnego, nie mogłem się dowiedzieć. Ponieważ de Nyiry także cały szereg innych spraw spadkowych odłożył „ad acta“, gdyż „wypożyczał sobie spadki“, zażądałem komisji Generalnego Konsulatu, która ustaliła fakty. Ministerstwo wezwało p. de Nyiry, bawiącego w Karlsbadzie, aby się szybko podał na emeryturę, przed rozpoczęciem postępowania dyscyplinarnego i w ten sposób został p. Nyiry uratowany.

Po siedmiomiesięcznym urzędowaniu wróciłem do Nowego Jorku, a do Buffalo wysłano innego Węgra, mimo, że w całym obwodzie konsularnym nie było dwudziestu Węgrów, natomiast przeszło 300.000 Polaków — obywateli austriackich. Sprawy tych Polaków załatwiali zatem nie konsulowie, lecz różni notariusze publiczni i pokątni pisarze, z którymi nowi węgierscy urzędnicy świeże spółki założyli.

„Der dritte im Bunde“ — trzecim opiekunem naszego wychodźstwa był, wspomniany już przed tym — pan wicekonsul Dr. Fischerauer.

Osobnik ten był chorobliwym żarłokiem. Pochodził z Leoben w Styrii, był synem hotelarza i służył z początku w wiedeńskiej policji. Założył się pewnego razu z wicekonsulem Mikłosem, że zje dwadzieścia pięć sztuk „gołąb-

ków“ (faszerowana kapusta). Przegrał, bo gołąbki były podwójnej wielkości. Zjadł 17 sztuk. Wiecznie potrzebował pieniędzy i zawsze je wydobywał w sposób nieuczciwy.

Konsularna pomoc prawna ograniczała się głównie do kontroli przy likwidacji spadków i to tylko w tych wypadkach, gdzie spadkodawca nie pozostawiał w Ameryce najbliższych krewnych. Dalej objawiała się ta pomoc w sprawach uzyskania odszkodowania w nieszczęśliwych wypadkach przy pracy, o ile wypadek nie był spowodowany nieostrożnością poszkodowanego.

Idąc zawsze drogą najmniejszego oporu, oddawały c. i k. konsulaty w Ameryce każdą sprawę adwokatowi, który przy pomocy swoich korespondentów sprawy załatwiał. Koszta adwokackie były często dotkliwe, lecz przystosowane do warunków amerykańskich czynników wymiaru sprawiedliwości. W takich właśnie sprawach p. Fischerauer znajdował źródła wielkich dochodów. Przekonał konsula Nubera, że dla wykonania ściślejszego nadzoru nad podobnymi sprawami, należy w każdym wypadku zbadać sprawę osobiście w sądzie, lub u dotyczącego adwokata na prowincji, czyli, że należy wszędzie jeździć — naturalnie na koszt pozostałego spadku.

Zaczęły się rozjazdy, a w związku z nimi nadzwyczajne wydatki na bilety kolejowe, auta, hotele, obiady reprezentacyjne, diety, a przy końcowym rozrachunku p. Wicekonsul Fischerauer wstawiał wszystkie te wydatki pod ogólnym tytułem: „koszta sądowe“, a sądy sierocińskie w kraju nigdy takich wydatków nie kwestionowały.

Bywało, że p. F., gdy potrzebował pieniędzy, wyciągał jakiś niezlikwidowany jeszcze akt spadkowy np. w Utice, czy w mieście Syracuse, czy w innej o 300 km. odległej miejscowości, brał z depozytu tegoż spadku zaliczkę i wyjeżdżał bez względu na potrzeby. Przy ostatecznym obliczeniu okazało się, że 50 — 150 dolarów szło zawsze do jego kieszeni. Często tak przejeżdżał cały spadek po ja-

kimś biedaku ,a dla umierającej z głodu w kraju rodziny nie zostawało nic. Świadczyły o tym niektóre akta, oddane po wojnie konsulatowi Rzeczypospolitej Polskiej.

XXI.

Zdrada stanu.

We wrześniu 1913, powróciwszy z Buffalo do Nowego Jorku, oświadczył mi Generalny Konsul von Nuber, że mnie przesłucha protokola nie w sprawie dyscyplinarnej przeciw konsulowi Kirchknopfowi. K., zasuspendowany w służbie, znajdował się wówczas w drodze do Europy. Nie widziałem powodu przykładania ręki do zniszczenia egzystencji człowieka, który — jakkolwiek zuchwały i niesympatyczny, mnie osobiście nic złego nie uczynił. Że był przemytnikiem? Czy nie grzeszyli pod tym względem i inni dyplomaci.

Powiedziałem to też memu szefowi i prosiłem o zwolnienie mnie od świadczenia przeciw koledze, tym bardziej że już się przyczyniłem do odejścia radcy de Nyiri'ego. Na to p. Nuber z wielkim oburzeniem i zdenerwowaniem krzyknął:

„Czy Pan wie, co ten łajdak zrobił? Zdradził największą tajemnicę“ i pokazując na żelazną skrzynię, mówił, że K. ukradł i sprzedał elaborat mobilizacyjny wraz z kluczem do szyfru.

Przypomniałem sobie wówczas słowa Płazińskiego, że K. był do wszystkiego zdolny. Nie dziwiłem się wcale, więc zdecydowałem się zeznawać.

Na wiosnę 1914 wyjechałem z żoną do Europy. Dostałem trzymiesięczny urlop, gdyż trzy lata nie korzystałem z urlopu. We Wiedniu doszedł mnie od szefa, v. Nubera polecony list, w którym pisał: „O ile sobie przypominam, ma Pan wiadomość, że w Konsulacie zginęły ważne papiery. Ja te papiery teraz znalazłem. Piszę to dla-

tego, aby Pan tam z czymś się nie wygadał" (Damit Sie sich dort keine Zungen - Entgleisung zu schulden kommen lassen).

Że Nuber tych dokumentów nigdy nie znalazł i że zostały obcemu państwu sprzedane, miałem później dosyć powodów do podejrzeń. Nuber, który widocznie przy objęciu urzędu z rąk konsula Kirchknopfa nie zauważył braku papierów a później, gdy sobie zdał sprawę ze skutków nieprawdopodobnego zdarzenia, był zdenerwowany i bał się, że mógłbym komuś we Wiedniu w Ministerstwie zdradzić tę tajemnicę, co niezawodnie kosztowałoby go posadę. W związku z tą obawą dopuścił się później wobec mnie łajdactwa, wprost machiavelskiej intrygi, aby w razie czegoś moją prawdomówność osłabić, zapomniawszy o tym, że jego list jest do dnia dzisiejszego w moim posiadaniu i że ja nigdy nie miałem interesu przeciw niemu występować, będąc mu szczerze oddany.

XXII.

Wojna.

W kwietniu 1914, bawiąc z żoną w Londynie, spotkałem się raz przy obiedzie u przyjaciół z wydawcą „Sunday Times“ (pismo zupełnie niezwiązane ze sławnym dziennikiem „The Times“).

Pytał się dziennikarz, czy czytałem broszurę Stepankowskiego p. t.: „The Plot to seize Galicia“ (Sprzysiężenie do zabrania Galicji). Zaprzeczyłem.

— „A warto przeczytać“ — rzekł.

Ponieważ znałem już dobrze rosyjsko - cerkiewną propagandę w Ameryce, przypomniałem sobie artykuł w mańruskim dzienniku „Swjet“, wydawanym w New-Jorku za pieniądze arcybiskupa Platona, wydrukowany w lipcu 1913. Autor tegoż artykułu wyraził wobec czytelników pe-

wność, że „za rok nasza flaga, flaga św. Władimira będzie na Karpatach“. Myślałem, że ta broszura jest odpowiedzią na te cerkiewne brednie, lub na nerwowość naszych ukraińców, czy rosyjskich socjalistów. Dopiero po wybuchu wojny, gdy dostałem ową broszurę do rąk, przekonałem się, że głęboko się pomyliłem, lekceważąc te wszystkie propagandowe artykuły i broszury. Pisarze i propagandyści rosyjscy byli dobrze poinformowani.

W czerwcu tegoż roku, bawiąc z żoną we Lwowie i mieszkając w hotelu Europejskim, zostałem razu pewnego zbudzony muzyką już o godzinie 5-tej rano. Był to dzień 28 czerwca 1914. Patrząc przez okno, widziałem niezliczone masy ludu ukraińskiego, przybyłego z wszystkich stron kraju i maszerującego w narodowych strojach przez plac Mariacki i ulicę Legionów (wówczas Karola Ludwika), Jagiellońską i t. d. Tej różnobarwnej masie przewodził hufiec konny w starokozackich i hetmańskich strojach. Później dowiedziałem się, że na placu św. Jura miała się odbyć jakaś masowa demonstracja narodowa.

O godzinie 8.40 wyjechaliśmy „blitzem“ do Wiednia. W południe dowiedzieliśmy się w Krakowie od konduktora wozu restauracyjnego o zamordowaniu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

We Wiedniu wieczorem tegoż dnia zapanował nastrój przygnębienia. To miasto, zwykle w niedziele tak bogato oświetlone i hałaśliwe swoją muzyką i śpiewem po lokalach było ciemne i ciche. Widoczne było, że Wiedeńczycy kochali Franciszka Ferdynanda i że każdy uważał tę zbrodnię za osobistą śmiertelną obrazę.

Jednakże czy należało z tego wnioskować, że stary Franciszek Józef, który swego bratanka z powodu jego morgantycznego małżeństwa podobno nie lubiał — wywołał wojnę z przyczyny tej śmierci? Wszak i Włochom nie wypowiedział wojny, gdy Włoch Lucheni zamordował mu żonę, ani Ameryce, na rozkaz której Juarez rozstrzelał jego

brata Maksymiliana. Miałem wrażenie, że cesarz nie zgodziłby się na wojnę, gdyby całą liczną rodzinę Habsburgów wymordowano.

W kapliczce Hofburgu w trzy dni później wystawiono dwie małe trumny metalowe ze zwłokami arcyksięcia i żony, a w noc następną, w ciemną i ulewną noc wywieziono je do rodzinnego zamku blisko Wiednia, gdzie je pochowano bez udziału publiczności.

18 lipca wyjechałem z żoną z Triestu do Nowego Jorku.

Okręt Austro - Amerykańskiego Tow. Żeglugi, (Brac Casulich) zatrzymał się nazajutrz w Grecji, następnie w Palermo, później w Algierii i ostatecznie przed wyjściem na Atlantyk w Gibraltarze.

W Algierze, już 25 lipca zauważyłem ładowanie wielkiej ilości wojska do Francji. Wiedziała już Francja, na co się zanoszi. Pomiędzy pasażerami na okręcie poznałem aptekarza z Sarajewa, (Czecha), którego znałem za młodych lat, gdy byłem urzędnikiem rządu krajowego w Bośni. Jechał na polowanie lwów do Afryki. Przynajmniej tak mówił. Jechali też Włosi do Ameryki. Mówiąc o możliwościach wojny jakiś starszy, dystygowany Włoch powiedział, że jego ojczyzna, ze względów własnej egzystencji pójdzie z Austrią i Niemcami, gdyż w razie zwycięstwa Rosji, ona przyjdzie do Adriatyku. Natomiast młody pół-inteligent Włoch drwiąco powtarzał: „Si, si. Noi Italiani andiamo con Austria! Siamo matti“. (Tak, pódziemy z Austrią. Zwariowali-byśmy).

Z końcem lipca zaczął się taniec piekielny. Siedziałem co nocy do świtu na pokładzie przy budzie radio-telegrafisty, aby się dowiedzieć, kto komu wypowiedział nową wojnę.

Drugiego sierpnia przybyliśmy do Nowego Jorku. Udałem się wprost z okrętu do konsulatu, znajdującego się na dawnym Placu Ładowym (Bowling green). Na tym placu, przed wielkim domem, mieszczącym konsulát, stało kilka-

naście tysięcy ludzi, rezerwiści i poborowi Monarchii Austr. Węg. Chcieli się wszyscy meldować. Niektórzy chcieli wrócić do kraju. W kosulacie pracowano całą parą. Nic innego, jak tylko zapisywanie nazwisk i potwierdzanie na książeczce wojskowej, że rezerwista się zgłosił. O wysłaniu rezerwistów do kraju nie było mowy.

Mając starych rodziców i braci w wojskowym wieku we Lwowie, byłem bardzo zaniepokojony, tak o nich, jak i o nasz tak drogi nam wszystkim gród: „semper fidelis“.

Wkrótce po wybuchu wojny przybyli do Ameryki różni tajni agenci austr. Ministerstwa Wojny, aby zachęcać rezerwistów do powrotu do kraju.

Jeden z nich, niejaki porucznik Kapelmann, oficer Obrony Krajowej, stacjonowany w Jarosławiu, był już przedtem w Ameryce, przydzielony z początku do konsulatu w New-Yorku, a później do Ambasady.

Kapelmann zjawiał się nie w kosulacie, lecz u mnie w domu. Już miał dokładną informację, że konsulatu osaczony był szpiegami. Nie mogłem mu nic poradzić. O wysłaniu rezerwistów nie było mowy. Zresztą, mnie zaczęła interesować namiętnie inna sprawa, daleko ważniejsza, t. j. sprawa polska i los Polski.

Kapelmann wysłany został do Ameryki za paszportem szwajcarskim. W Gibraltarze Anglicy go zatrzymali, lecz po kilku dniach wypuścili. Zaangażował się jako palacz na okręcie, odpływającym do Ameryki. Ponieważ Anglicy zabrali mu szwajcarski paszport, oświadczył mi, że jeżeli nie będzie w stanie wrócić, to popelni samobójstwo, mógłby być bowiem posądzony o dezercję do Ameryki. Miałem doświadczyć kłopotu z nim, aż mi się udało dostać dla niego nowy paszport. Słyszałem po moim powrocie w 1917 roku do Wiednia, że Anglicy poraz drugi ściągnęli go z okrętu, lecz wypuścili. Ciekawe było, co mi Kapelmann wówczas powiedział: „Jeżeli wojna się skończy za sześć miesięcy, to

Austria będzie uratowaną, lecz gdy potrwa kilka lat, to jesteśmy straceni“.

Jako palacze czy marynarze na greckim okręcie przedostali się z Ameryki do Austrii Komandor Burstin, attache wojskowy Austrii w Waszyngtonie i Stefan Puzyna, syn ś.p. księcia Puzyny, b. profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Przybyły wysłannik Ministerstwa Wojny do wiernych Ukraińców, niejaki Demiczuk, kandydat praw i oficer rezerwy, pozostał w Ameryce. Była to marna figura i tchórz.

Do najpatetyczniejszych figur byłej austriacko - węgierskiej armii należał pewien oficer marynarki, obywatel węgierski, lecz serbskiej narodowości i grecko - orientalnego wyznania, którego nazwiska niestety zapomniałem. Otóż odyssea tego oficera była rzeczywiście niesamowita.

Znajdował się w łodzi podwodnej na Adriatyku, która została zaatakowana przez Włochów i zatopiona. Sam skoczył w morze, lecz został wyłowiony i pod silną strażą internowany jako niebezpieczny jeńiec wojenny we Włoszech.

Ponieważ władał biegle tuzinem języków, w tym świetnie po włosku, udało mu się uciec z Włoch i jako grecki handlarz owoców dostał się do Ameryki. Jego także Anglicy ściągnęli w Gibraltarze, lecz grecki konsul, któremu go przedstawiono, po długiej z nim rozmowie tak przekonany był o jego czystej greczyźnie, że kazał go zwolnić.

Nareszcie przybył do Nowego Jorku i popełnił straszny błąd w tym, że się zgłosił do konsulatu, który — jak już powiedziano — osaczony był szpiegami. Gdy na jego usilne żądanie konsulat znalazł sposobność wysłania go z powrotem do kraju, zdradzony został przez jednego z urzędników konsulatu, który stał na usługach angielskiego wywiadu. Gdy jechał jako palacz na norweskim okręcie, Anglicy go ściągnęli po raz drugi i umieścili w obozie koncentracyjnym w Londynie. Ponieważ dzieje tego oficera angielska prasa ogłosiła, podnosząc osobliwie jego poczucie honoru i wier-

ność przysiędze, został wymieniony jako wzór cnót żołnierskich a wyższe angielskie towarzystwo zaczęło przychodzić do obozu, aby ten unikat zobaczyć. Angielki przepadały za nim. Nazywały go: „The most beautiful Hun“. (Najpiękniejszy z Hunów).

W roku 1918 został wymieniony za jakiegoś Anglika internowanego w Austrii od początku wojny. Został lotnikiem. W czasie nalotu na Włochy został zestrzelony i zginął.

Wydawnictwo Ullsteina w Berlinie poświęciło temu oficerowi książkę o jego życiu i czynach. Czytałem tę fascynującą książkę ze łzami w oczach. Nie był to ani austriacki ani węgierski patriota, nie był też sługą ani też zdrajcą serbskiej rasy, lecz żołnierz, człowiek honoru, jakich w tym wieku wojen, rewolucji, zdrady i podłości jest diabelnie mało.

Tylko jeszcze wśród własnych ziomków spotkałem takich rycerzy bez skazy, którzy nigdy przysięgi nie złamali i którzy honor stawiali ponad życie.

Anglicy mając dla tego oficera tyle poważania i uznania, odróżniali go ostentacyjnie od zgraj austriackich i węgierskich szpiegów, będących w czasie wojny na ich usługach przeciw własnej ojczyźnie.

XXIII

Polacy w Ameryce w dobie walki o niepodległość.

Pisaliśmy już w poprzednich rozdziałach o cierpieniach i bolach naszego wychodźstwa, o brakach w jego życiu materialnym i duchowym, o walce o codzienny chleb, o jego dotkliwych stratach i o niebezpieczeństwach.

Nie dotykaliśmy natomiast życia politycznego naszego wychodźstwa, jego politycznych aspiracji, nadziei i marzeń.

Otóż z wyjątkiem kilkuset osób z inteligencji, skupia-

jącej się około Polskiego Sokola i kilku tysięcy uświadomionych rękodzielników i mechaników z pod sztandaru P. P. S. w Ameryce o politycznym kierunku „Robotnika“, szeroka, milionowa masa Polaków w Ameryce była do czasu wojny elementem apolitycznym.

Ta wielka masa nie myślała o tym, że powinna i że mogła zmartwychwstać Polska, a nie myślała i nie wiedziała, bo nie знаła ani polskiej historii, ani historii tych męczenników, którzy tak hojnie swoim życiem za wolność Polski zapłacili.

Wiemy, że już w pierwszej połowie zeszłego wieku powstały w Stanach Zjednoczonych osiedla polskie. Na południu, głównie w stanie Texas, mieszkają Polacy, którzy tam przybyli po wojnie amerykańsko - meksykańskiej, lecz były to małe grupy osiedleńców, nie grających wybitniejszej roli w cywilizowaniu ogromnych obszarów ziemi Waszyngtona. Dopiero, gdy Bismark rozpoczął swój sławny „Kulturkampf“, który zaczął zwalczać na noże liberałów, socjalistów i republikanów; gdy rozpoczęła się agitacja za wyrugowaniem Polaków z ich ojczystej ziemi, gdy powstała groźna Hakata ze swoją polityką wywłaszczenia, wówczas z bardzo silną emigracją niemiecką rozpoczęła się i masowa emigracja polska, głównie z Wielkopolski, z ziemi Poznańskiej i Pomorskiej.

Amerykańska pisarka, mrs. Emily Green - Balch w swojej książce: „Our Slavonic Citizens“, wydanej przed ćwierć wiekiem w Nowym Jorku, nazywa tę polską emigrację „arystokracją całego europejskiego wychodźstwa“, najwięcej pożądanego dla Stanów Zjednoczonych. Ci bowiem przybysze z Wielkopolski osiedlili się dokoła wielkich jezior, głównie zaś w stanie Wisconsin, gdzie nabyli ziemię i stali się wzorowymi farmerami. Odznaczali się oni bogobojnością i bezwzględną uczciwością. Dziś druga i trzecia generacja tych polskich „Kulturträgerów“ jeszcze siedzi na tych farmach, o ile niektórzy z nich nie zajmują wybitnego stanowiska w

amerykańskim sądownictwie, palestrze lub w medycynie. Lecz liczba tych wybranych jest znikoma. Wielkie rzesze Polaków w Ameryce walczyły i walczą dziś o swój byt i o swój codzienny chleb, chociaż ta walka dziś jest lżejsza, aniżeli przed wojną, wtedy, gdy każdy nowy przybysz z Polski pracować musiał w obliczu śmierci, gdzie nie istniały najelementarniejsze urządzenia bezpieczeństwa przy pracy, kiedy ogólnie przyjęte było hasło: „do or die“ t. j. „rób, lub giń“.

Podczas gdy wielomilionowa emigracja niemiecka znalazła w każdym amerykańskim mieście jakąś placówkę w rodzaju urzędu konsularnego, czy niemieckiego Turnverein, lub Sängerbundu lub klubu i t. p., podczas gdy masowa emigracja włoska odbywała się pod kontrolą i opieką komisariatu emigracyjnego, a włoscy emigranci od razu oddani byli pod opiekę setek agentów konsularnych i pod rozsiałą po całych Stanach Zjednoczonych sieć Towarzystw p. t.: „Figlie d'Italia“ i inne, podczas gdy losem żydowskich przybyszów zajęli się żydowscy magnaci typu Jakóba Schiffa i in., którzy swoim kosztem nie tylko wysyłali nowych przybyszów na Zachód, lecz wyposażali ich środkami materialnymi do zakładania drobnego handlu, Polacy byli zupełnie pozbawieni wszelkiej opieki, a pod względem prawnym jakby postawieni poza nawiasem prawa.

Dziś każdy amerykański polityk irlandzkiego lub włoskiego pochodzenia, ubiegający się o jakiś urząd, przychodzi do polskiego wyborcy i przypomina mu, że już Kościuszko walczył za wolność Ameryki i dlatego on Polak powinien na niego głosować, jako niby reprezentującego ideę wolności. Tak. Chociaż w Ameryce nie wystawiono żadnemu Irlandczykowi lub Włochowi pomnika, bo w wojnie o niepodległość Ameryki udziału nie brali, Irlandczycy i Włosi zajmują dziś najwybitniejsze stanowiska w zarządach miast, stanów i związków. Tylko mała garstka tych polityków słyszała kiedyś o Pułaskim, którego wspinały pomnik

stoi na Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie, lub o krzewicielach polskiej kultury, sztuki i cywilizacji, o nazwiskach: Modrzejewskich, Stokowskich i innych.

Należy jeszcze raz przypomnieć, że największa część wychodźstwa z Polski nie emigrowała z przyczyn ideowych, lecz dla chleba i to po zapożyczeniu się w kraju i zastawieniu swego nieruchomego mienia. Jechało się więc po to, aby po pierwsze: zarabiać na życie dla siebie i pozostałej w kraju rodziny, po drugie :aby zapłacić zaciągnięte długi i ostatecznie po to, aby zaoszczędzić trochę grosza i wracać z kilkoma setkami dolarów do kraju, aby móc zakupić jeszcze kilka morgów pola lub domek w mieście.

A teraz przypatrzmy się, w jaki sposób i komu udało się te marzenia ziścić.

Polski lub ukraiński wychodźca, przybywszy na wyspę Elis Island, do tego, że się tak wyrażę, dantejskiego purgatorium amerykańskiego raju, gdy szczęśliwie zdał srogi egzamin ze swoich fizycznych i umysłowych zdolności, został oddany krewnym lub znajomym, zamieszkałym w Ameryce, lub, gdy był z austriackiego zaboru, odsyłano go do austriackiego domu emigracyjnego, w innym wypadku do domu Polskiego Związku Narodowego. Tu należy dodać, że te domy emigracyjne były kreacją tego już stulecia i że pobyt w takim domu jako instytucji dobroczynności mógł z natury rzeczy potrwać tylko kilka dni, t. j. aż emigrantowi nie wskazano, gdzieby mógł dostać pracę. Przed założeniem tych domów polscy wychodźcy byli po największej części niewolnikami brudnych i wykorzystujących domów noclegowych.

Prace były różnego rodzaju: albo jako parobek na jakiejś farmie z płacą miesięczną kilkunastu dolarów i utrzymaniem za 18-to godzinną pracę dziennie, albo jako niefachowy robotnik fabryczny z płacą od 1 — 1½ dolara dziennie, albo też — jeżeli był mieszczaninem — jako obmywacz naczyń w restauracjach, jako wynosiciel pomyj,

jako czyściciel okien i biur ,jako rozbieracz gruzu zdemolowanych kamienic, lub wreszcie jako pomocnik sanitariuszy szpitalnych, gdzie przypadła mu rola wynoszenia ekskrementów chorych i t. p. Nie jest powszechnie wiadome, że prawie wszyscy czyściciele okien ogromnych drapaczy chmur są Polakami lub Rusinami z Małopolski, wydelegowani do tej niebezpiecznej pracy przez tego rodzaju przedsiębiorstwa i że rozbieraczami tych drapaczy chmur również są Polacy. Jednym z głównych przedsiębiorców rozbierania domów jest niejaki pan Wilk, litewski żydek, znany w sferach techników i architektów nowojorskich jako „grabarz domów“, który nie odpowiada i nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za nieszczęśliwe wypadki przy rozbieraniu drapaczy chmur. Kto staje u niego do pracy, podpisuje rewers, że bierze na siebie wyłączne ryzyko i nie rzadko się zdarza, że taki robotnik spada z 30-go lub 40-go piętra, ponosząc nieuniknioną śmierć na miejscu. Lecz prawdziwa, straszna tragedia naszego wychodźcy zaczęła się wówczas, gdy zaprzedał się do pracy w fabryce lub w kopalni. Moloch przemysłu kopalnianego i stalowego wymagał nielitościwie swoich ofiar. Konsulaty austriacko-węgierskie dostawały co tydzień z departamentów pracy Stanów Pensylwania, Ohio, New York i West - Virginia do 100 i więcej powiadomień o nieszczęśliwych wypadkach obywateli austriackich, o wypadkach przeważnie ze skutkiem fatalnym. W ten sposób tysiące i dziesiątki tysięcy naszych rodaków straciło życie lub zostało kalekami na całe życie. Zarządy fabryk starały się o to, aby ciężko ranny robotnik raczej umarł ,aniżeli miał zostać przy życiu, bo zmarły nie miał pretensji o odszkodowanie, podczas gdy inwalida, stanąwszy w sądzie ,mógł wzbudzić litość sędziów przyznających wysokość wynagrodzenia, względnie odszkodowania.

Te horendalne fakty zostały ustalone zeznaniami za-

przysiężonych lekarzy, zeznających przed komisją kongresu, która badała owe okoliczności.

Wdowy i sieroty po zabitych przy pracy, o ile nie mieszkały w danym stanie, nie miały w niektórych okręgach w ogóle prawa skargi, a w niektórych zaś Stanach kierowano się zasadą prawną: *Cautio iudicatum solvi*, t. j., że można było się procesować, tylko wówczas, gdy powód złożył stosowną kaucję procesową. Że wdowy i sieroty po małych robotnikach nie były w stanie złożyć kaucji, jest zrozumiałe. Wówczas uzyskiwano w najlepszym wypadku w drodze łaski odszkodowanie w wysokości 500 dolarów, z czego jedną połowę zabierał adwokat, a drugą połowę przedsiębiorca pogrzebowy. Dziś istnieje już w wielu Stanach system przymusowego ubezpieczenia robotników i co za tym idzie, pewne ściśle oznaczone odszkodowanie, jak n. p. trzymiesięczna płaca za utratę palca, roczna płaca za utratę nogi lub ręki, kilkuletnie wynagrodzenie za utratę życia itd.

Zagadnienie bezpieczeństwa życia i uszkodzeń cielesnych wychodźcy nie było jednak jedyną troską tych, którzy poświęcili swój czas i swoje wysiłki ochronie nieświadomego i nic nie przeczuwającego emigranta. Prócz hien w osobie przedsiębiorcy pogrzebowego, adwokata i lekarza, którzy żyli z tych nieszczęśliwych wypadków niezawodowego robotnika, już wymieniłem przedtem tych, którzy czatowali na zarobki i oszczędności wychodźcy. Już pisaliśmy o tych fałszywych bankierach, agentach, różnych towarzystwach żeglugowych, którzy zajmowali się przesyłką pieniężną do Europy i którzy po największej części powierzone im fundusze defraudowali, uciekając do innego Stanu, aby pod przybranym nazwiskiem ten proceder na nowo rozpocząć. Starsza generacja polskiej emigracji przypomni sobie zapewne nazwiska tych bankierów z Nowego Jorku, Pittsburga i Chicago, tych oszustów, którzy sprzeniewierzali wieloletnie oszczędności wychodźców.

Pamiętają niektórzy emigranci z przed trzydziestu

laty tragikomiczną rolę niektórych rzeczywistych lub fałszywych lekarzy - znachorów. Na 17-tej ulicy i Stuyvesant Square w New Yorku stał dwupiętrowy dom, zajęty w całości przez lekarza dr. Landesa, rodaka. W domu tym odbywały się niesamowite procesy leczenia chorych. Pacjentów zwabiano również za pomocą ogłoszeń w polskich gazetach, a chorych badali czasami młodzi lekarze, po największej części zaś ludzie, nie mający z medycyną nic wspólnego, wyrzutki europejskiego społeczeństwa, zbiegli więźniowie, ubrani w białe kitle. W wypadkach, gdy się przekonano, że pacjent nie posiada większej sumy pieniędzy, podawano mu nieszkodliwe środki w rodzaju kogutka, aspiryny, plastrów i t. p. Jeżeli zaś ustalono, że pacjent posiadał trochę grosza, leczenie trwało długo i było bolesne. Czy pacjent posiadał środki materialne, czy nie, ustalano w następujący sposób :

W gabinecie ordynacyjnym stał wysoki parawan, za którym pacjenci się rozbierali do badania. Gdy więc jeden z pomocników dr. Landesa badał chorego i w zupełności opanował jego myśli i uwagę, drugi pomocnik badał jego kieszenie, aby stwierdzić, ile pieniędzy miał przy sobie. Zaczęto zatem posiadacza dolarów leczyć na specjalne choroby przy pomocy specjalnych instrumentów i medykamentów. Jakiemuś robotnikowi, który poparzył sobie żołądek gorącymi kartoflami, wmawiano, że ma w żołądku węża. Wlano w niego sporą ilość alkoholu, a gdy już był na pół przytomny, uraczono go jakimś środkiem na wymioty, a władający pięknie językiem polskim były defraudant przekazów pieniężnych z Krakowa lub Tarnowa, ubrany w biały kitel włożył do blaszanego naczynia pijawkę, aby pacjent mógł naocznie się przekonać, że jego lekarz postawił trafną diagnozę, że faktycznie miał węża w żołądku.

Zakłady pogrzebowe robiły świetne interesy. Gdy emigrant umarł, śmiercią naturalną, lub gwałtowną, urzęda-

no kosztowny pogrzeb, zmarłego ubierano w czarny smoking bez pleców, a bosc nogi nakrywano czarnym sukniem. Koszta pogrzebowe wynosiły w każdym razie kilkaset dolarów, tak, że gdy wychodźca pozostawił trochę grosza, zabierano mu wszystko.

W małych miejscowościach, głównie w ośrodkach górniczych, jak Uniontown, Scranton i innych, gdy robotnik za dwutygodniową ciężką pracę dostawał kilkadziesiąt dolarów i wracał do domu, to albo znajomi zaciągnęli go do sekretnego szynku, gdzie już pierwszą szklanką piwa został znarkotyzowany i obrabowany i na bruk wyrzucony, albo gdy nie dał się zaciągnąć, rozpoczynano bez powodu z nim kłótnię, celem spowodowania interwencji policji, która uderzeniem gumową pałką wychodźcy po głowie również wprawiała go w stan nieprzytomny; aresztowany za opilstwo, bywał zasądzony na grzywnę w wysokości jego dwutygodniowego zarobku. Miasta te miały z tego tytułu wcale ładne dochody.

Wobec takich okoliczności, jakże mógł ten ciemny, nieuświadomiony emigrant zajmować się polityką? Kto miał mu o tym przypominać, że jego ojczyzna, skuta w kajdany, czeka na wyzwolenie i potrzebuje jego pomocy. Wiadome jest, że w Ameryce już przed wojną istniały potężne organizacje w rodzaju Polskiego Związku Narodowego, Zjednoczenia Narodowego, Związku Polek i tysięcy różnych bractw kościelnych. Lecz wszystkie te organizacje charakteru wyłącznie asekuracyjno - społecznego lub religijnego nie miały nic wspólnego z polityką. I tu odrazu, największa wojna świata, wojna pomiędzy trzema rozbiorcami Polski, a sama Polska terenem krwawych walk i bratobójcza walka Bogu ducha winnych Polaków. Powstaje straszny chaos. Po czyjej stronie mają stać Polacy w Ameryce?

Wspomnieliśmy już, że w roku 1913 bawiło w Ameryce kilku wybitnych działaczy politycznych, jak ś. p. Biega z redakcji dawnego „Słowa Polskiego“ i ś. p. Tadeusz Cieński,

którzy wielkim organizacjom polskim w Ameryce powiedzieli, że będzie wojna i że naszym hasłem jest: „My idziemy z Rosją“. Mieli ci panowie widocznie ścisłe i pewne informacje, skoro z taką pewnością przepowiadali, że będzie wojna. Lecz byli i inni Polacy, nie gorsi od tych pierwszych, których hasłem było: „My idziemy z Polską“. Byli to redaktor i wydawca „Wiadomości Codziennych“ w Clevelandzie Feliks Dangel i jego współredaktor, zaszczytnie znany historyk, pedagog i publicysta prof. Siemiradzki. Stali po stronie niezawisłości Polski ś. p. mecenas Bronisław Kułakowski, b. obrońca polskich rewolucjonistów z 1905/1907 roku, byli oni przeciwnikami rosyjskiej orientacji, byli znani szermierze o wolność Polski, jak były redaktor londyńskiego „Przedświtu“ i późniejszy redaktor Nowo-Jorskiego „Telegramu“ ś. p. Senator Aleksander Dębski, Dr. Jakób Vorzimmer, panowie Rajzacher, Mazurkiewicz, ś. p. Dr. Zajączkowski i wielu innych. Wszyscy ci nienawidzili całą duszą Rosji, nie wierzyli w żadne przyrzeczenia W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza i wszyscy oni nalegali na mnie, aby się postarać o broń dla ochotników i wyruszać przeciw Rosji. Ich hasłem było: „Ecrassez l'infame“ t. j. Rosji. Liczyli na to, że przy ostatecznej rozprawie, Polska wyjdzie wskrzeszona.

Wkrótce dowiedziano się o zorganizowaniu się Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, pod egidą którego powstały Legiony Polskie. Wówczas nagonka prasy wielkich polskich stowarzyszeń w Ameryce ze swoją orientacją prorosyjską nie znalazła wprost granic. Piłsudskiego i tych, którzy stali przy nim, lub związani byli z Naczelnym Komitetem Narodowym, nazwano zdrajcami i płatnymi pacholkami Austrii. Rząd rosyjski, dając Ameryce wielkie zamówienia na sprzęt wojenny, zdeponował w amerykańskim banku „National City Bank“ część swego zapasu złota, a pod dyrekcją młodego Polaka, Aleksandra Znamięckiego powstał w tym banku oddział rosyjski, któ-

ry nie szczędził środków na propagandę o wielkości i niezwykłej Rosji, ci zaś którzy wierzyli w misję historyczną Piłsudskiego, prawie że nic nie posiadali. Zaczęli jednak walczyć impetem nadludzkim, dawali ostatni grosz i tak powstało czasopismo p. t.: „Wici“, które w porównaniu z potężną prasą wielkich polskich organizacyj w Chicago i w rozpowszechnionym w Ameryce piśmie „Ameryka Echo“, z nieszczęsną wszechsłowiąską orientacją, wyglądało jak mucha przy słoniu. Jednak niezmordowana praca patriotyczna i czysta tej małej garstki ludzi, którzy wierzyli w powstanie wolnej i silnej Polski, zaczęła ostatecznie dawać owoce. Zaczęli inteligentniejsi robotnicy rozumieć, o co tej małej grupie ludzi chodzi i stopniowo zaczęli ci robotnicy szukać sposobu przedostania się do Europy, aby ewentualnie służyć w Legionach.

Czy i komu się to udało, nie wiem. Sieć szpiegowska aliantów była bowiem tak rozgałęziona, że każdy Polak, próbujący się przedostać do Polski, był przez francuskich lub angielskich agentów zatrzymany i internowany.

Z początkiem 1915 r. przedostali się do Ameryki z ramienia naczelnego Komitetu Narodowego pp. Feliks Młynarski i inż. Artur Hausner, lecz spotykali się z niechęcią ze strony wielkiej rzeszy emigracji. Mogli oni tylko na mniej licznych wiecach socjalistycznych przemawiać i coś niecoś o możliwościach powstania wolnej Polski powiedzieć. Pan Młynarski napisał książkę, w której mówił o potrzebie przyznania Polsce bodaj teoretycznie własnej państwowości. Książka tłumaczona na język angielski nie znalazła żadnego echa. Ją nienawiści tych, co ciągle jeszcze wierzyli w zwycięstwo Rosji, ich obelgi i denuncjacje były tak dzikie i osobiste, że pp. Danglowie i inni stracili cierpliwość i szukali sposobności do odwetu. Taka sposobność wkrótce się nadarzyła. Opowiadano, że jeden z najwyższych dygnitarzy największej organizacji polskiej w Ameryce, a mianowicie były Cenzor Związku Narodowego

p. Karabasz siedział za młodych lat w pruskim kryminale za kradzież. Mówiono o tym dość długo i trzeba było tego dygnitarza skompromitować, lecz nie było pisemnych dowodów, ani świadków. Zaaapelowano zatem do Konsulatu austriacko - węgierskiego w Nowym Jorku, który sprowadził z Prus zapiski osobiste owego dygnitarza, z których wynikało, że w rzeczywistości został przed wielu laty zasądzony na karę 4-letniego więzienia za świętokradztwo i że karę tę odcierpiał. Gdy redakcja „Nowości Codziennych“ w Cleveland zapowiedziała, że ogłosi wkrótce dokumenty, dotyczące niezaszczytnej przeszłości tego dygnitarza, jadowite napaści ze strony rusofilów czasowo ustały.

Gdy Ameryka przystąpiła do wojny, wszelkie jawne swary pomiędzy wychodźstwem ucichły. Rząd amerykański żądał bezwzględного wysiłku wszystkich w kierunku zwycięstwa. Polscy robotnicy musieli pracować po 18 godzin dziennie, dziesiątki tysięcy młodych Polaków, nie będących nawet obywatelami amerykańskimi, zabrano do wojska amerykańskiego, a wszyscy musieli kupować amerykańskie obligacje, t. zw. „Liberty Bonds“, o ile nie chcieli być publicznie napiętnowani jako zdrajcy i szpiedzy. — Otworzyło się pole dla ludzi ambitnych. Prezes Sokołów Starzyński i lekarz miejski w Buffalo Dr. Fronczak zostali amerykańskimi generałami, zaczęto werbować na gwałt tysiące ochotników do armii Hallera we Francji, nie zastanawiano się więcej nad orientacją. Naczelnymi komendantami wszystkich byli Wilson, Clemenceau, Lloyd George i Paderewski.

Nienawiść jednak tych, co nie poszli na wojnę i którzy byli przeciw Legionom i Piłsudczykowi, była tak silna, że ciągle denuncjowali jawnie i anonimowo swoich ziomków z przeciwnego obozu przed władzami Federalnymi, oskarżając ich o zdradę i szpiegostwo, aż Prezydent Wilson zdecydował się zarządzić śledztwo. Nie ufał jednak agentom wywiadu, lecz poprosił znanego profesora filozofii Mr. John

Dewey'a, aby zorganizował pod swoim kierownictwem wywiad za pomocą swoich studentów uniwersyteckich. Rozpoczęły się inwigilacje i „nakrywania“ „niebezpiecznych“ Piłsudczyków, przesłuchania, badania aktów, pism i korespondencji, zaczęły się przesłuchania, lecz nie można było tym „zdrajcom polskości“ niczego udowodnić. Nareszcie przyszedł im sam Piłsudski i jego Legiony do pomocy przez odmawianie Austriakom i Niemcom przysięgi na wierność, ze skutkiem internowania Komendanta i Legionistów. Tu musiała się załamać cała ogromna sieć kłamstw i oszczerstw. Prof. Dewey był zadowolony, że żaden z Polaków nie sprzedał się ani Austrii ani Niemcom i od tego czasu wszystkie denuncjacje i oskarżenia poszły do kosza.

XXIV.

Sprawa Ambasadora Dumby.

Po przejściu ambasadora Hengelmüllera na emeryturę, ambasada austriacko - węgierska w Washingtonie była przez jakiś czas nieobsadzona. Wysoka węgierska szlachta o tę posadę się nie ubiegała, a jakiegoś oferzysty w rodzaju Hengelmüllerów, hr. Berchtold do Ameryki wysłać widocznie nie chciał. Kierowali zatem tą placówką przez pewien czas wspomniany już baron Loewenthal, a po nim Radca Ambasady bar. Zwiedinek, człowiek nie mniej ograniczony od pierwszego.

Ostatecznie wybór padł na zwykłego śmiertelnika (nawet bez tytułu „von“) t. j. na p. Konstantyna Teodora Dumbę, dożywotniego członka austriackiej Izby Panów, odznaczonego najwyższymi orderami różnych europejskich państw, uchodzącego za bardzo wytrawnego dyplomatę, jakim się jednak nie okazał.

Dumba był jednym z najbogatszych ludzi we Wiedniu, był synem greckiego kupca, naturalizowanego w Austrii, bardzo popularny i jeden z tych rzadkich dyplomatów Au-

strij, którzy zasadniczo odmówili przyjęcia baronostwa lub hrabiostwa. Było wiadome, że hrabia Gołuchowski, Aehrenthal i inni tę godność mu proponowali.

Po przybyciu do Ameryki, znaleźli wkrótce drogę do amerykańskiej oligarchii finansowej, która w rzeczywistości zawsze rządziła i po dziś dzień rządzi Ameryką. Nawet taki demokratą, jak Wilson, poddał się wpływom tej oligarchii.

Zapoznał się Dumba z Williamem Bryanem, amerykańskim politykiem - ascetą, wielokrotnym kandydatem na Prezydenta, który jako Sekretarz Stanu (Minister Spr. Zagran.), częstował swoich gości na oficjalnych przyjęciach kwasem jabłkowym, gdyż był pobożnym prohibicjonistą, a tytułowanych dyplomatów również nie lubiał. Gdy wojna wybuchła i gdy udało się Dumbie nakłonić Amerykę do objęcia protektoratu nad interesami Austro - Węgier, sądził, że był to wielki sukces. W rzeczywistości Ameryka nigdy i nigdzie interesów obywateli monarchii, poleconych jej opiece, nie broniła, chociaż trzeba przyznać, że z początku była neutralną. Prezydent Wilson wydał proklamację, w której zalecał obywatelom Stanów Zjednoczonych neutralność nie tylko w zachowaniu się, lecz nawet w myślach.

To jednak były czeze słowa. W rzeczywistości sprawa inaczej się przedstawiała. W kilka dni po wybuchu wojny byłem u dyrektora Urzędu Celnego. Jest to urząd pod kierownictwem najwyższego rangą urzędnika federalnego w mieście New - York. Zastałem go przy telefonie, dającego komuś odpowiedź: „You can ship everything You want to“. (Pan może eksportować wszystko, co się Panu żywnie podobą).

I tak też było. Ameryka sprzedawała jednej i drugiej wojującej stronie wszystko, od medykamentów do za trutych kul i śmiertelnych gazów. Nawet pobożny Mr. Bryan, który przedtem tak gorliwie oskarżał amerykańską

plutokrację, że są przedstawicielami „predatory interest“ (rozbójniczych interesów) „spokojnie tolerował tę orgię handlu śmiercionośnymi materiałami. Tę krzywdę tylko ten odczuć mógł, kto miał najbliższych na wojnie. A któż ich zresztą w tej wojnie nie miał?

Z początkiem wojny dostawy te nie były jeszcze tak straszne. Lecz stokroć gorszą i wprost zgubną dla państw centralnych była propaganda prasy amerykańskiej. Najwplywowsze dzienniki nowojorskie „N. Y. Times“ i „The World“ stanęły od samego początku po stronie Ententy i były od razu zaopatrzone przez lorda Northcliffa, właściciela londyńskich dzienników „Times“ i „Daily Mail“ i innych całym aparatem informacyjnym z terenów walki tak na Zachodzie, jak na Wschodzie i to darmo. Właściciel „N. Y. Times“, niemiecki żyd Adolf Ochs, ogłosił po zakończeniu wojny, że majątek jego wydawnictwa, dzięki wojnie wzrósł do dziewięciu czy jedenastu milionów dolarów. Synowie zmarłego właściciela dziennika „The World“ Józefa Pulitzerza, węgierskiego żyda, również zarobili miliony, a ich wpływowy dziennik ciągle pisał — tak samo, jak „N. Y. Times“ — o okrucieństwach Niemców, o zwycięstwach Rosji w Galicji, o ich wielkoduszności i (za Paderewskim) o „boskiej litości“ Rosjan wobec Polski. Nie pisały te tak miarodajne i wpływowe dzienniki o tym, że głównodowodzący rosyjskiej armii, W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz rozkazał przy zajmowaniu przez wojska nowych miejscowości w Galicji wszystkich żydów zbierać i gnać naprzód za nieprzyjacielskim wojskiem, a w miejscowościach już okupowanych, leżących na tyłach wojsk rosyjskich wybierać zamożniejszych i jako zakładników przesiedlać do Rosji, albo do więzienia, a majątek ich sekwestrować. (Vide Sokolnickiego „Polska w Pamiętnikach Wielkiej Wojny 1914 — 1918, str. 383).

W roku 1915 przyjechała do Ameryki delegacja Ententy z zamiarem zaciągnięcia pożyczki. P. Ruffusowi Isaako-

wi (Lordowi Reading) mającemu wielki mir u żydowskich bankierów na Wall Street, nie było trudno uzyskać pierwszą pożyczkę w wysokości 500 milionów dolarów, tym więcej, że bankier J. P. Morgan, finansowy agent Ententy zapewniał, że z Ameryki ani grosz nie wyjdzie, gdyż wszystko pójdzie na zakup sprzętu wojennego (i na propagandę!). Nastąpiła wprost inwazja angielskich propagandystów do Ameryki. Czterdzieści tysięcy angielskich i kanadyjskich nauczycieli znalazło zatrudnienie w wyrosłych jak grzyby po deszczu nowych szkołach średnich, zawodowych i wyższych. W każdym większym mieście propagandyści angielscy wynajmowali jakiś teatrzyk, gdzie otrzymywano filmy z pola bitew, przy czym prelegent monotonnym głosem, opowiadał o okropnościach i zbrodniach, popełnianych przez armie państw centralnych.

Niemiecka dyplomacja nie siedziała z założonymi rekami. Miała po swojej stronie rozgałęziony aparat dziennikarski koncernu Hearsta i... czternaście milionów Niemców, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, w których odżył zew krwi.

O sabotażach, zorganizowanych przez wojskowego attache niemieckiego von Pappena (późniejszego ambasadora III Rzeszy) i Boy-Eda, attache morskiego, którzy kierowali dziełem niszczenia fabryk amunicji i okrętów, przewożących ten cenny materiał, pisze dość wiarygodnie Niemiec Franz Rintelen w swojej niedawno i w języku polskim wydanej książce. Ja, osobiście znałem tylko Papena i szefa wywiadu niemieckich linii okrętowych, Paula Königa, prawą rękę Papena. Boy-Eda i Rintelena nie znałem.

Działalność reprezentantów Austro - Węgier, tak propagandowa, jak sabotażowa, równała się zeru. Nawet wówczas, gdy wszystkie państwa, prowadzące wojnę ogłosiły już swoje różnokolorowe księgi o przyczynach wojny i korespondencje dyplomatyczne, wyprzedzające wojnę, pan Dumba wahał się. Trzymał w biurku przesłaną mu przez

Ministerstwo broszurę, posyłał mnie do Naczelnego redaktora „The World“, który skłonny był wydrukować treść broszury w niedzielnym wydaniu (1.000.000 egzemplarzy) za cenę 600 dolarów, lecz Dumba tak długo zwlekał, aż „N. Y. Times“ ogłosił tę korespondencję, lecz w przekręconej wersji.

Natomiast zdecydowała się Ambasada austriacko-węgierska za sumę 500 dolarów miesięcznie przyczynić się do wydawania w angielskim języku tygodnika p. t.: „The Fatherland“ (Ojczyzna), redagowanego przez niejakiego Jerzego Sylwestra Vierecka, urodzonego w Stanach Zjednoczonych i piszącego poezję w angielskim języku. Podobno ojciec Vierecka, niemiecki emigrant, miał być nieślubnym synem cesarza Wilhelma I. Redaktor Viereck tej wersji nigdy nie zaprzeczył. Nieraz mnie osobiście przypadała misja wypłacania miesięcznej dotacji Viereckowi i to bez pokwitowania. Pismo to działało na Amerykanów jak czerwone sukno na byka. O ile chodzi o skutek — były to wrzucone pieniądze.

W tym samym czasie zjawiał się w Ameryce niejaki Mr. Archibald, rzekomo były major wojsk amerykańskich, który z początkiem wojny był na jednym z austriackich frontów i przybył do Ameryki, aby odczytami swymi w różnych amerykańskich ośrodkach budzić sympatię dla tego tak nieszczęśliwego i „niewinnego“ kraju. Że Archibald nie działał z pobudek czysto ideowych, można się domyśleć. Był to jeden z tych licznych Amerykanów, którzy się zawsze zjawiają tam, gdzie jest coś do zrobienia i zarobienia.

Dnia 18-go sierpnia z okazji urodzin cesarza Franciszka Józefa, wydał Konsul generalny von Nuber śniadanie w Klubie sportowców na Battery Place, blisko konsulatu. Był obecny ambasador Dumba, Konsul Winter, Wice-konsul, attache von Papen, kilku panów z niemieckiego konsulatu i niżej podpisany. Ambasador miał tradycyjną mowę, po czym wysłał hołdowniczy radiotelegram do Wiednia. Po

śniadaniu, gdy goście się rozeszli, wróciliśmy z Ambasadorem do biura p. Nubera. Dr. Dumba był w dobrym humorze wówczas konsul Nuber przedstawił mu plan redaktora węgierskiego dziennika „Szabadsag“ w Clevelandzie, mający na celu propagandę wśród robotników, pochodzących z monarchii i pracujących w jednej z największych fabryk amunicji w Bethlehem w Stanie Pensylwanii, aby ci zastrejkowali. Miał to być apel do sumienia tych „ziomków“, aby nie przyczyniali się do mordowania swoich braci w starym kraju. Na ten cel poczciwy redaktor, były poseł do węgierskiego parlamentu i uciekinier, żądał skromnej sumy 15.000 dolarów.

Ambasador Dr. Dumba, nie namyślając się długo, napisał własnoręcznie pismo do bar. Buriana, ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych po Berchtoldzie, prosząc o upoważnienie do wydania tej sumy. List miał zabrać major Archibald i wyjechać 20 sierpnia z żoną do Europy na jednym z neutralnych statków .

Wspomniałem już, że Konsulat Generalny był osaczony szpiegami zewnątrz i wewnątrz. Jednym z największych i najniebezpieczniejszych szpiegów był urzędnik kontraktowy konsulatu, niejaki Franz Kopecki (Czech).

Kopeckiego nazywaliśmy „der achzenjährige Freiwillige (osiemnastoletni ochotnik). Wstąpił do wojska austriackiego t. j. do orkiestry wojskowej, gdy miał lat czternaście służąc bez przymusu lat 18. Trzeba przyznać, że pracował nad sobą, bo doszedł do „rangi“ feldwebela manipulacyjnego. Służył przeważnie w Galicji — we Lwowie, w Krakowie, w Przemyślu, a gdy jego koledzy zostali listonoszami, Kopeckiego przyjęto na kurs manipulacyjny do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po sześćciu - miesięcznym kursie został przydzielony do Generalnego Konsulatu w Nowym Yorku jako urzędnik kontraktowy, aż do ewentualnego zamianowania go kancelistą. Kopecki przeszedł jed-

nak — jak się zdaje — kurs szpiegowski, gdyż okazał się zręcznym szpiegiem. Wykrał systematycznie ważne dokumenty konsulatu i zdradzał wywiadowi czeskiemu w Nowym Yorku wszystko, co widział i słyszał w konsulacie. Na czele wywiadu czeskiego stał czeski dziennikarz Voska, który pracował dla brytyjskiego attache morskiego Guy Gaunta i dla wywiadu rosyjskiego.

Kopeckiemu pomagał stary woźny konsulatu Józef Sehnał, również Czech, zatrudniony w konsulacie przez długie lata. „Joseph“ — jak go krótko nazywano — był za młodych lat kelnerem, udawał chętnego i bardzo posłusznego i był przedtem bardzo ceniony przez Ambasadora Hengelmüllera, którego obsługiwał, gdy ten bawił w Nowym Jorku. Hengenmüller był wielkim sknerą, służbie nigdy grosza nie dawał, a że i Józefowi też nie trzeba było płacić, więc był dobrze zapisany. Józef przepędzał wolne wieczory w „Domu Narodowym czeskim“, w którym opowiadał o wszystkim i o wszystkich z Konsulatu. Lubił się chełpić, że jest mężem zaufania wszystkich dyplomatów.

Nazajutrz po napisaniu listu przez Dumbę do Ministra Buriana, Nuber kazał Józefowi sporządzić pakunek z kilku sprawozdaniami Ambasadora wraz ze wspomnianym już listem i zanieść na okręt, którym miał wyjechać Archibald.

Józef opowiedział wszystko Kopeckiemu, a ten natychmiast zatelefonował z budynku, w którym mieścił się Konsulat, do Voski, który podał wiadomość angielskiemu wywiadowi.

Okręt, na którym się znajdował, został zatrzymany na pełnym morzu przez angielski okręt wojenny przez 48 godzin; przeszukano cały okręt, aż odkryto w kancelarii okrętowej paczkę. Po zbadaniu zawartości Anglicy odesłali papiery do Departamentu Stanu w Washingtonie z takim skutkiem, że Wilson zażądał od Austrii odwołania Dumbę.

Charakterystyczne było, że gdy spostrzeżono pierwsze zniknięcie dokumentów w Konsulacie, Konsul Nuber wezwał mnie do siebie i polecił mi, jako najstarszemu sekretarzowi bacznie śledzić, aby nie ginęły akta. Jakżeż to było możliwe, skoro w konsulacie pracowało około dwudziestu urzędników, dwóch woźnych, a biura — jak to jest przyjęte we wszystkich wielkich budynkach biurowych w Ameryce — były zawsze otwarte, względnie do których stróżowie budynku oraz kobiety, robiące w biurach porządki, miały klucze. Podejrywałem Kopeckiego, lecz nie miałem dowodów. Powiedziałem mu, że zrobię go odpowiedzialnym. Poszedł Kopecki zaliczyć się do Konsula Wintera (zastępcy Nubera), który zwrócił mi uwagę, że nie można podejrzewać starego sługi Jego Cesarskiej Mości, tak starego żołnierza, jakim był Kopecki.

Konsulowi Winterowi należy się kilka słów. Otóż był on synem jakiegoś urzędnika w domenach arcyksięcia Fryderyka i sam za młodych lat był również w służbie tegoż Habsburga. Od wstąpienia do służby konsularnej nigdy żadnego aktu nie załatwił, zaasekurował się w Ameryce na większą sumę, udawał wielkiego Madjara, a w rozmowach stale czynił aluzje do czasów swojej służby „bei Seiner Kaiserlichen Hoheit“ (u Cesarskiej Mości). Był głupi, zarozumiały, chciwy, oraz wrogiem Niemców, którym nie życzył zwycięstwa.

W maju 1917, gdyśmy wszyscy wracali z Ambasadorem hr. Tarnowskim do Europy, nie stawili się do powrotu Kopecki, trzech urzędników Konsulatu w Pittsburgu i kierownik Ekspozytury w Scranton. Byli to dwaj Czesi, dwaj Słowacy, i jeden węgierski Szwab. Wszyscy byli w służbie nieprzyjacielskich wywiadów, gdy jeszcze pracowali w c. i k. konsulatach.

Pierwszy dekret, jaki Massaryk podpisał, gdy jeszcze bawił w Ameryce, to był dekret, mianujący „Franza“ Ko-

pecky'ego, byłego austriackiego feldwebela, Konsulem Generalnym Republiki Czechosłowackiej w New-Yorku.

Kierował tą mafią wydalony ze służby austro-węgierskiej były Konsul Goricar. Sloweniec, który pracował w wywiadzie amerykańskim.

Gdyby nie zawiść Konsula Generalnego Nubera przeciw baronowi Hoeningowi i upór do wyprowadzenia się z odosobnionego budynku, takie szpiegostwo byłoby niemożliwe. Dziesięciopiętrowy budynek, do którego przeniósł się Konsulat, należał do angielskiego konsorcjum, a biura były dniem i nocą bez nadzoru.

Dumba wyjechał pod protekcją Ameryki do Austrii. Po powrocie z miejsca otrzymał emeryturę. Padł ofiarą głupoty Nubera.

XXV.

Zbiórki pieniężne.

Już na początku niniejszego opowiadania dałem krótki lecz niewyczerpujący obraz aktywności urzędów konsularnych. Niewyczerpujący, bo nie oparty na żadnych przepisach. Tak np. w dziedzinie domagania się pomocy przez nieporadnych wychodźców; wyobrażenia tychże o obowiązkach konsulów były nieraz więcej niż wschodnie.

Pisze jakiś Węgier, pracujący w Stanie Indiana, że przybył do Ameryki i miał różne pakunki i paki. Otóż jedna z tych pak nie została wyekspediowaną z Ellis Island, t. j. ze stacji imigracyjnej do jego miejsca przeznaczenia. Prosi więc: „Jaśnie Wielmożnego Pana Konsula Generalnego, aby wyszukał mu tę pakę, którą niezawodnie pozna, gdyż był przywiązany do paki blaszany nocnik czerwonego koloru“; — czyli sugeruje konsulowi, aby szedł, jak żydzi podczas egipskich ciemności, za zapachem. — Inny przykład:

Jakiś poczciwy Czecho - Niemiec (Sudeten - Deutscher) posyła konsulowi Freyeslebenowi w Montrealu małą paczkę z zepsutą żywnością i pisze:

„Żyję od kilku lat na farmie mego syna, w prowincji Alberta, lecz moja synowa mnie nie lubi i chce mnie otruć. Część jedzenia, które Panu Konsulowi posyłam, dałem psu, który zdechl. Proszę, Panie Konsulu samemu spróbować, a przekona się Pan“.

Pan Konsul, niepozbawiony humoru, napisał na akcie: „Panu Grau - Wandmayerowi do samoistnego załatwienia“.

Otóż nie kosztowaliśmy próbki żywnościowej, ale poradziliśmy petentowi, aby kochał swoją synową i zachowywał ostrożność przy jedzeniu i aby prosił Boga o łaskę dla złośliwej synowej.

To są nb. czynności, nieobjęte żadnymi instrukcjami lub przepisami. Nie należy również do czynności władz konsularnych zbieranie pieniędzy, nawet na cele najszlachetniejsze, a jednak musiało się czasami — tak, jak obecnie w Polsce, spełniać rolę kwestarza.

W roku 1913, gdy kierowałem urzędem konsularnym w Buffalo, odniosła się hr. Romanowa Potocka do Ambasadora Dumby z prośbą, aby zebrać wśród kolonii polskiej w Stanach Zjednoczonych trochę pieniędzy na szpital Polskiego Czerwonego Krzyża we Lwowie.

Naturalnie, że Dumba — który zresztą sam pojęcia nie miał, gdzie ta „kolonia“ się znajduje i jak do niej podejść, odesłał list hrabiny P. do pana Nubera, ten zaś do mnie, którego ta sprawa powinna szczególnie jako Polaka obchodzić. Chętnie podjąłem się szczytnej misji. Wydusiłem od kilku znanych buffalowskich Polaków kilkaset dolarów. Dali: Właściciel polskiego browaru p. Schreiber, dali bracia Nowakowie, Ruszkowscy, Dorasiewiczowie, Zawadzczy i inni, których nazwiska wymieniłem w wykazie, ogłoszonym w „Dzienniku dla Wszystkich“ w Buffalo.

Byłem jedyny z kilkudziesięciu urzędników dyploma-

tycznych i kosularnych w Ameryce, który choć w małej mierze przyczynili się do takiej zbiórki.

Po wybuchu wojny Polacy w Ameryce zebrali sami bardzo znaczne sumy na cele pomocy krwawiącej Polski. Zbierali Paderewski i pani Sembrich - Kochańska z obozu Narodowego i zbierali Siemiradzcy, Danglowie, Rajzacherowie i inni dla Naczelnego Komitetu Narodowego.

Pewnego razu wręczył mi konsul von Nuber pismo Austriackiego Czerwonego Krzyża, będącego pod protektorem arcyksięcia Franciszka Salwatora, w którym kierownik tego Instytutu Generał Dr. Kirchberger prosi o pomoc.

Znając sporo Austriaków na różnych stanowiskach w Nowym Jorku udało mi się zebrać kilkaset dolarów, co wywołało niezadowolenie Wicekonsula Fischerauera. Było to dziwne, gdyż był to Austriak, dawny komisarz policji we Wiedniu, który nietylko, że sam niczym się do tej akcji nie przyczynił, lecz był jej przeciwnikiem.

„Po co pan to robi?“ — pytał mnie. — „Przecież oni tam we Wiedniu rozkradną te pieniądze“.

— „Kto? Arcyksiążę?“ — pytałem.

— „Tak, arcyksiążę i wszyscy inni“.

Znałem Fischerauera, jako człowieka gruntownie nieuczciwego i łgarza, więc nie zwracałem więcej na niego uwagi.

Z końcem 1914 roku Żydowskie Towarzystwo Dobroczynności „Die Israelitische Allianz“ we Wiedniu zaalarmowało Ambasadę w Waszyngtonie szeregiem telegramów, prosząc o zainteresowanie się losem amerykańskiego żydostwa, wychodźców żydowskich we Wiedniu, t. j. galicyjskich Żydów, uciekinierów przed inwazją Moskali, gdyż znaleźli się oni w wielkiej nędzy i rozpaczliwych warunkach.

Ambasador Dr. Dumba polecił konsulowi Nuberowi, aby zainteresować bogatych Żydów losem ich współwyznawców we Wiedniu. Nuber udał się do znanego filantropa, bankiera Jakuba Schiffa, który mu oświadczył, że o ile ame-

rykańskie żydostwo coś zrobi, to uczyni to bez interwencji austriacko - węgierskiej dyplomacji. Schiff i jego dwaj zięciowie, pp. Feliks Warburg i Otto H. Kann, wszyscy niemieccy Żydzi, stali ze względów oportunistycznych po stronie Ententy, jakkolwiek Warburg później zorganizował i stanął na czele sławnego „Jointu“ (Zjednoczonej akcji Pomocy dla Żydów), która dała i daje po dziś dzień miliony.

Nuber był urażony i obrażony na Schiffa, więc także i tutaj przypadła mi misja zbierania pieniędzy.

Udałem się do dyrektora żydowskiego teatru na II Avenue, względnie do ówczesnej gwiazdy tegoż teatru, pani Kalisz (Lwówianki) i przedstawiłem jej sprawę. Urządzono na rzecz tych galicyjskich biedaków wielkie przedstawienie, na którym wygłosiłem płomienne przemówienie przeciw Rosji, piętnując ją jako główną sprawczynię wojny, a opisując położenie galicyjskich Żydów, wywołałem ogólny płacz obecnej w teatrze publiczności — niczym Sądny Dzień. W kilka dni później zgłosiła się do konsulatu deputacja Komitetu, zarządzającego tę imprezę, a że ja byłem nieobecny, wręczyli Fischerauerowi sumę 800 dolarów. P. Wicekonsul zrobił „przypomnienie urzędowe“ i wręczył tę sumę kasjerowi.

Żydowskie gazety nowojorskie rozpiśały się obszernie o tym przedstawieniu i o mojej mowie, poczym zaczęły się zgłaszać codziennie różne żydowskie Komitety, prosząc konsula Nubera względnie mnie o przemawianie na urządzanych przez nich zebraniach.

Trzeba wiedzieć, że w samym New Yorku znajduje się kilkaset kongregacyj wyznaniowych. Każda grupa wychodźców żydowskich z każdego miasta lub miasteczka ma swoją własną synagogę. Tak istnieją: „Lwowska Synagoga, Rzeszowska, Jezierzańska, Zbaraska, Tarnopolska itd.

Musiałem w ciągu dwóch lat trzy do pięć razy w tygodniu, w niedziele i święta, w dniu powszednie przeważnie wieczorami przemawiać w synagogach, w domach modli-

twy, na urządzanych „bazarach“, zgromadzeniach zawodowych i t. p.

Pan inż. Artur Hausner, delegat Naczelnego Komitetu Narodowego, który bawił w roku 1915 w Ameryce, wspomina w swojej książce, wydanej nakładem N. K. N. (1915) o tej mojej akcji na rzecz Żydów galicyjskich, która przyniosła około czterdzieści tysięcy dolarów.

Gdy przychodzili delegaci do konsulatu z zebranymi pieniędzmi, przyjmował ich Dr. Ficherauer. On też w imieniu konsulatu odbierał fundusze celem przekazywania do Wiednia i w imieniu konsulatu wydawał potwierdzenia.

Okazało się później, że Fischerauer nie prowadził wcale książki, tak, że nie było można skontrolować, kto i ile na konto galicyjskich Żydów składał pieniądze. Czy Ficherauer z tych datków osobiście korzystał, nie wiem i nie starałem się sprawdzić. Słyszałem jednak, że konsul generalny Nuber miał Fischerauerowi zagrozić dyscyplinarką za niesłychane wprost niedbalswo w prowadzeniu rachunków w związku z tymi funduszami.

XXVI.

Propaganda publicystyczna.

Pisałem już o czasopiśmie „The Fatherland“ p. Vier-ecka. Pismo o charakterze głównie polemicznym, odpierało oskarżenia prasy pro-ententskiej, lecz nie posiadało żadnej idei twórczej ani przekonującej i nie dawało żadnych faktów. Już pod tym względem daleko efektowniejszym był stary i bardzo czytany dziennik niemiecki: „Die N. Y. Staatszeitung“. Ponieważ dziennik ten podczas wojny drukował i angielskie artykuły, ogłosiłem w tym czasopiśmie serię artykułów pod tytułem „The Great Conspiracy“ (Wielkie Sprzysiężenie), wydanych później kilkakrotnie pod tym samym tytułem i w broszurach.

Opierałem się głównie na moich informacjach o akcji

panslawistyczno - szpiegowskiej św. Synodu ze swymi agentami w osobach biskupów Platona, Aleksandra i innych cerkiewnych polityków. Zresztą, pomógł mi sam premier Rosji, Goremykin, który w mowie swojej, wygłoszonej 2 stycznia 1915 w Dumie, jasno i szczerze przedstawił powody przystąpienia Rosji do wojny światowej: „Rosja miała dwa cele” — mówił Goremykin. — „Pierwszy cel, uzyskanie brakującego w Koronie św. Włodzimierza klejnotu, kolebki Rosji — Galicji, już my odzyskali i na wieczne czasy z koroną związali, a drugim celem naszym jest Konstantynopol”.

Były to wprawdzie rzeczy, które dla ogółu Amerykanów były obojętne, lecz historycy i inteligentniejsi redaktorowie przecie się czegoś nowego dowiedzieli.

W owym czasie cała Ameryka, tak potężna i decydująca jaką była, również nie знаła i nigdy nie słyszała nazwiska Józefa Piłsudskiego. Dowiedziała się dopiero po raz pierwszy o Nim za pośrednictwem mego obszernego artykułu, ogłoszonego również w roku 1915 w „N. Y. Staatszeitung”, na podstawie krótkiej biografji Marszałka, napisanej przez Jego zwolennika Waclawa Sieroszewskiego.

Artykuł mój widocznie tak zaciekał Amerykanów, że wkrótce potem bardzo poczytny miesięcznik „Current History”, wydawany przy dzienniku „The N. Y. Times”, przedrukował go w tłumaczeniu, lecz pod złośliwym tytułem „Hindenburg's Polish Legions”, co znowu spowodowało ostry napad na mnie czasopisma „Sokół”, wychodzącego w Pittsburgu, nazywającego ówczesnego wice-konsula Rozwadowskiego i mnie pachołkami austriackimi, jakkolwiek p. Rozwadowski nie miał nic wspólnego z tymi artykułami.

Artykuły moje bardzo się podobały tak ambasadorowi Dumbie, jak i ówczesnemu austriacko - węgierskiemu posłowi w Meksyku (obecnemu węgierskiemu Ministrowi Spr. Zagr.) Koloman Kanyi, bawiącemu wówczas na dłuższym urlopie w Nowym Yorku, jednakże wywołały wśród urzę-

dników konsulatu „tych minorum gentium istną falę za-
wiści i nienawiści do mnie. Cóż ta mała mafia miała wie-
dzieć o Rosji i jej celach, lub co ich obchodził „jakiś“ Pił-
sudski i jego marzenia i ideały?

Kanya natomiast był przedtem Generalnym Konsulem
w Moskwie, władał w zupełności rosyjskim językiem i znał
na wylot rosyjski imperializm, znał ten drapieżny kraj,
żyjący od Piotra Wielkiego z łupu i podboju słabszych na-
rodów.

Moje „laury“ publicystyczne (były to raczej ciernie)
nie dały spać Wice-konsulowi Fischerauerowi.

Pewnego dnia przychodzi on do Nubera z nowiną, że
jakieś niemieckie towarzystwo literackie zaprosiło go do
wygłoszenia odczytu, lecz, że nie wie, co mógłby im po-
wiedzieć.

Znajdujący się w biurze Nubera pan Kanya (przesia-
dywał tam miesiącami) ofiarował się Fischerauerowi, że
mu napisze odczyt. Już wspomniałem, że Kanya jest eru-
dytą, był przedtem szefem biura prasowego w austriac-
kim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ma wrodzony ta-
lent pisarski, więc napisał wartościową rzecz o polityce
Rosji. Opowiadali mi później obecni na odczycie, że ten
dureń Fischerauer nawet porządnie odczytać nie umiał
tej świetnej pracy Kanyi.

Zadecydowano później pracę posła Kanyi przetłuma-
czyć na język angielski (tłumaczył adwokat konsulatu Kre-
mer) i wydać w pięknej oprawie i na luksusowym papierze.
Ponieważ jednak Fischerauer odczyt wygłosił jako własną
pracę, a Kanya zresztą nie życzył sobie figurować jako pro-
pagandzista w kraju, gdzie się znalazł jako gość (oficjalnie
nie akredytowany), więc p. Fischerauer wziął na siebie to
„odium“ i dał swoje nazwisko pracy literackiej, której ani
nie stworzył, ani nawet przeczytać nie potrafił. Po powrocie
do Europy w r. 1917 Fischerauer porozysłał książkę do róż-
nych wysoko stojących osobistości z dedykacją — między

innymi Prezydentowi Policji wiedeńskiej p. Szoberowi, który zostawszy po przewrocie premierem Austrii, nie zapomniał o wielkich zdolnościach Fischerauera, „autora świetnej książki“ i zamianował go Generalnym Konsulem w Nowym Yorku.

Gdy się po wojnie spotkałem z Kanyą i gdyśmy sobie przypomnieli owe epizody, Kanya zauważył: „Es muss scheints in der Welt auch solche dumme Schwindler geben“. (Zdaje się, że i tacy głupi oszuści są na świecie potrzebni).

Fischerauer tak się zżył z tą myślą, że to jego praca, że później sam w to uwierzył.

XXVII.

W opresji.

Gdzieś w piśmie świętym jest powiedziane: „Nie wywyższaj się, bo będziesz poniżony“ — a Niemiec mówi: „Gott lässt die Bäume nicht in den Himmel wachsen“.

Lecz Bóg mi świadkiem, że nie miałem zamiaru wywyższać się nad innych. Byłem dotknięty psychozą wojny i sądziłem, że każdy powinien dać ze siebie wszystko najlepsze co miał i mógł. Skoro byłem lepiej poinformowany od innych, nie należało posiadanych informacji tać. Nie chciałem się odznaczać, nie szukałem uznania.

Gdy po odejściu ambasadora Dumby radca Zwiedynek objął kierownictwo ambasady i „zarekwirował“ sobie do pomocy konsula z Filadelfii, znanego już p. Grivicie'a i gdy ani jeden ani drugi nic o ówczesnym życiu Polaków w Ameryce nie wiedzieli, a Grivicie przyjechawszy do Nowego Yorku „odkrył mi tajemnicę“, że Polacy w Ameryce mają różne orientacje i prosił mnie o informacje w tym kierunku, nie miałem powodu mu odmówić, tym bardziej, że szereg wybitnych Polaków szczerze szukał współpracy z Austrią. Moją gotowością przedstawienia sprawy polskiej

w prawdziwym świetle zraziłem sobie p. Nubera, który — jak już kilkakrotnie stwierdziłem — był zawistny i zazdrośny. Robił mi gorzkie wyrzuty z tego powodu.

„Skoro ten bałwan jest współkierownikiem Ambasady“ — mówił — „niech sobie szuka informacji gdzieindziej, a nie u przydzielonego mi urzędnika“.

Szukał sobie zaczepki wicekonsul Fischerauer, szukał i inni. Łajdactwa, zdrada, nieuczciwe manipulacje ostatnim groszem po zmarłych wychodźcach polskich, niemniej sprawy, obchodzące mnie osobiście, zniszczyły mi nerwy tak dalece, że nie mogłem się opanować i czasami bąknąłem coś bardzo niepochlebnego pod adresem konsulatu. Blokada Ententy, uniemożliwiająca wszelką komunikację z ojczyzną, troska o los rodziców i krewnych (już z początkiem wojny powiadomił mnie amer. Sekretarz Stanu, że mój najmłodszy brat został pod Krasnem ranny, drugi brat również maszerował z frontu na front, zaś o życiu starych rodziców, którzy przed rosyjską inwazją nie zdołali ze Lwowa uciec, nie miałem żadnych wiadomości), to wszystko narzucało mi ustawicznie pytanie: **dłaczego i dla kogo?** Dlaczego musiały miliony ludzi umierać, stawać się kalekami, ginąć z głodu i wycieńczenia, a garstka idiotów i szalbierzy miała ciągnąć z tego nieszczęścia zyski? I właśnie w takiej chwili zdenerwowania napisałem list do zaprzyjaźnionego ze mną — jak mi się zdawało — urzędnika Ambasady, dzieląc się z nim moimi spostrzeżeniami. Mój przyjaciel pokazał list Zwiedeneckowi, a ten posłał kopię listu do Nubera. Zgotowałem sobie ciężkie położenie. A gdy przy innej okazji w zdenerwowaniu powiedziałem, że konsulat składa się po części z bandytów, zdrajców i złodziei, a po części z idiotów, p. Generalny Konsul Nuber — zdaje się po uprzednim porozumieniu się z Ambasadą, zwolnił mnie czasowo ze służby.

„Psychoza wojenna dotknęła Pana, musi Pan aż do dalszego zarządzenia pozostać na urlopie“.

Rozpoczął postępowanie dyscyplinarne przeciw mnie, przeshuchiwał wszystkich w konsulacie, którzy mogli mi coś przylepić, wreszcie i mnie.

Nie zatailem niczego, dyktowałem do protokołu oskarżenie, jakiego żaden prokurator by się nie powstydział i zostawiłem dalsze losy czasowi.

Nazajutrz po rozpoczęciu przymusowego urlopu, zjawił się w moim domu jakiś młody Anglik, przedstawił mi się jako adiutant angielskiego Attache marynarki w Nowym Yorku i oświadczył mi w imieniu naczelnika angielskiego wywiadu, że został poinformowany, jakoby mi się w konsulacie działa wielka krzywda i że rząd Wielkiej Brytanii chętnieby mi dopomógł, gdybym zechciał informować angielski wywiad o znanych mi rzeczach.

Skoczyłem z miejsca i poprosiłem gościa, aby się wyniósł za drzwi.

Gdy Nuberowi zameldowałem o tym incydencie, powiedział, że ja swoim postępowaniem sprowokowałem sytuację i że najprawdopodobniej sam zaprosiłem angielskiego szpiega do siebie.

Było zatem jasne, że Nuber chciał mnie gruntownie skompromitować. Sądził, że cofnę wszystkie oskarżenia i będę uważany jako oszczerca, któremu już nie można wierzyć. Myślał naturalnie o swoim liście do mnie w sprawie konsula Kirchknopfa.

W kilka tygodni później zostałem z polecenia Ambasad (z Ministerstwem nie można było się skomunikować), przeniesiony do Pittsburga. W dotyczącym piśmie Konsulatu Nuber mnie zawiadomił, że Ambasada poleciła mi wypłacić jako zaliczkę kosztu podróży 400 dolarów, którą to sumę w razie ewentualnego późniejszego orzeczenia Ministerstwa, że przeniesienie jest karne, będę musiał zwrócić.

Władzę placówki konsularnej w Pittsburgu (w tym mieście ułożono plany rozbioru Austrii) był konsul baron Lothar Hauser, również magyar, t. j. Niemiec, znający w-

gierski język i mający dla kariery obywatelstwo węgierskie. Był to człowiek złośliwy, jękał się, co nie mało wpływało na jego złośliwość; prócz niemieckiego, węgierskiego i trochę angielskiego, innych języków nie znał. Miał przydzielonych do swej dyspozycji dwóch wice-konsulów, sekretarza i kilku urzędników kontraktowych, wszyscy zajęci co najwyżej przez kilka godzin dziennie, gdyż prócz 20—30 powiadomień tygodniowo przez Sekretarza Stanu Pensylwanii, że jakiegoś obywatela austriackiego lub węgierskiego przy pracy zabito, innych czynności nie było.

Dlatego baron Hauser słusznie podejrzewał, że nie zostałem mu przydzielony, aby mu ulżyć w pracy. Był z początku przeciwny temu przydzieleniu, lecz w końcu się zgodził. Poleciał jednak urzędnikom, aby mnie śledzili, wypytywali o powód przeniesienia, a ja wcale tego nie tailem. Nie miałem się czego wstydzić. Powiedziałem otwarcie, że nazwałem c. i k. Wice-konsula Fryderyka Fischerauera złodziejem wdowego grosza. Ponieważ wówczas pojawił się w „Current History“ mój artykuł o Polskich Legionach, konsul Baron Hauser, w porozumieniu z mafią w New Yorku, zasuspendował mnie ze służby, oskarżając o zniewagę wyższego c. i k. urzędnika i o pisanie artykułów politycznych bez pozwolenia moich przełożonych władz.

I znowu byłem na urlopie. Obawiając się, że zmobilizowane przeciw mnie złe siły jednak potrafią mnie pokonać, tym łatwiej, że nie miałem możliwości skomunikowania się z Ministerstwem, zacząłem na serio myśleć o jakimś innym zajęciu. Przyjąłem „reporterkę“ przy dzienniku „The Press“, najpoczytniejszym piśmie w Pittsburgu. Zarabiała się mało. Redaktor był zdania, że powinienem się starać o zajęcie na Uniwersytecie Pittsburgskim. Radził przedstawić się Kancelarzowi Uniwersytetu Drowi Black - Mc.Cornic, co też uczyniłem. Zaznajomił mnie z Dziekanem Wydziału Ekonomii, gdyż tylko w charakterze studenta będzie Rada Profesorska miała sposobność mnie poznać, osądzić stopień mojej

wiedzy i ewentualne zdolności nauczania drugich. Zacząłem w roku 1916 chodzić pilnie na wykłady. Generalny Konsul Nuber, dowiedziawszy się o moim zasuspendowaniu, przestraszył się. Szusnie przeczuwał, że nie będę milczał i że nie dam się zniszczyć przez zgrają łajdaków. Zrozumiał, że w swoich machiawellistycznych sztuczkiach za daleko zaszedł. Zaczął pisywać do Hausera listy, robiąc mu wyrzuty za niewłaściwe postępowanie ze mną. Ja zaś napisałem do nowoprzybyłego Ambasadora, hr. Adama Tarnowskiego, prosząc go o pozwolenie przyjazdu na własny koszt do Waszyngtonu, aby mu przedstawić moją sprawę. Nie dostałem jednak odpowiedzi. Nie dopuszczali do tego panowie Zwiedinek i Grivicic, dwaj marni aktorzy nędznej polityki, którym później jak psom przyszło się łaścić przede mną.

Ambasada poleciła po kilkutygodniowej korespondencji z konsulem powołać mnie na powrót do służby, zagroziwszy Hauserowi konsekwencjami w razie nieposłuszeństwa. Zostałem więc na powrót powołany do służby. Reporterkę zaś przy wspomnianym amerykańskim piśmie powierzyłem żonie.

W owym to czasie niskich, nędznych intryg ze strony austro - węgierskiej dyplomacji przeciw niewinnemu a uczciwemu urzędnikowi, który miał odwagę nazywać rzeczy po imieniu, działały się w Pittsburgu ciekawe sprawy. Zakładanie min pod ustrój Monarchji austriacko - węgierskiej, które spowodowało zawalenie się całego gmachu.

XXVIII.

Umowa Pittsburska.

Pittsburg leży na zachodzie Stanu Pensylwanii, między dwoma potężnymi rzekami i liczył wówczas około 600.000 mieszkańców, z tego 80% pochodzących wprost lub w drugiej generacji z austro - węgierskiej Monarchji. Mieszkają tam od wielu lat Polacy, Rusini, Słowacy, Kroaci, Bośniacy,

Czesi, Węgrzy, Włosi, Żydzi, Chińczycy i Amerykanie. Dlatego miały tam swoje centrale te wszystkie organizacje narodowe, jak polski „Sokół“, „Liga Słowacka“, „Czeska Jednota“, „Związek Katolików Czeskich“, „Uhorsko - ruskie Sojedynienie“, centrale bractw i Towarzystw Kroackich, Serbskich, Słowackich i innych, których nazw sobie już nie przypominam. Wygląd zewnętrzny miasta można porównać trochę z naszą Łodzią, jednak z tą różnicą, że niezliczone kominy Pittsburgskich fabryk oświetlają dniem i nocą płynnym ogniem i milionami iskier miasto, a miętka sadza z tych kominów wciska się do szczelnie zamkniętych okien i drzwi domów, osadza się w gardzielach, nozdrzach i uszach ludzi i zwierząt.

Autochtoni nazywają napływowy element — jak już przed tym zaznaczyłem — „Hunkies“ (Potomkami Hunów), a amerykańscy historycy twierdzą, że ci Hunowie uprawiali poliandrię, gdyż jedna kobieta miała kilku mężów.

Ta wielka masa uchodźców, która nie doznawała opieki ani od Austrii ani od Węgier, która sama kształtowała swoje losy, szczególnie Słowacy i węgierscy Rusini, których Madjarzy u siebie gnębili i pauperyzowali, mieli — rzecz naturalna — dla austriacko - węgierskich konsulatów a osobliwie dla madjarskich konsulów tylko pogardę i nienawiść, czemu często dawali wyraz w swej prasie na wolnej ziemi amerykańskiej.

Tam więc, do Pittsburga, zjechali się w roku 1916 reprezentanci wszystkich prawie narodów z pod berła Habsburgów i tam zdecydowali, że należy domagać się od prezydenta Wilsona, aby przy ostatecznym obrachunku z mocarstwami centralnymi zgodził się na rozbiór Austrii oraz stworzenie na jej gruzach państw narodowych. Przybyli na ten zjazd reprezentanci rozbitej armii serbskiej, byli tam Kroaci i Słoweńcy, był Massaryk i był prezes Ligi Słowackiej Albert Mamatey, był austriacko - węgierski konsul z St. Louis (późniejszy Minister Jugosławji), Dr. Ivo

Schwegel (Słoweniec), obecny był dawniejszy austriacko-węgierski konsul Goricar (Kroat), a celem wszystkich było: Stworzyć nową mapę Europy środkowej, a starą Monarchię rozbić jak zanieczyszczony garnek gliniany. Zdziałać to co Rosja zamierzała, lecz sama dokonać nie mogła.

Umowa między Słowakami i Czechami co do ustroju przyszłego Czecho - słowackiego państwa zawartą została również w Pittsburgu w dwa lata później.

W listopadzie 1916 roku prez. Wilson ponownie został wybrany — i to głównie głosami Niemców, którzy wierzyli, że on nigdy nie weźmie udziału w tej wojnie. W grudniu 1916 roku Niemcy prosili Wilsona, aby pośredniczył w zawarciu pokoju, a gdy ta demarche cesarza Wilhelma okazała się daremną, Ameryka zerwała stosunki dyplomatyczne z Niemcami, a z początkiem lutego 1917 roku odesłała niemieckich dyplomatów do domu, wypowiedziawszy Niemcom wojnę.

Wiedziałem już, że wkrótce przyjdzie i kolej na nas „Austriaków“.

W lutym 1917 roku posłał do mnie do domu Kanclerz Uniwersytetu Black Mc. Cormic profesora Uniwersytetu p. Rasina, ofiarując mi asystenturę na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Pittsburgskiego, lecz nie chcąc żadną miarą uchodzić za dezertera, mimo ciężkiej krzywdy i poniżenia, doznanego osobiście przez zgraję austr. oszczerców, oferty nie przyjąłem. W marcu 1917 roku zaczęły konsulaty pakować manatki, a w kwietniu nastąpił „exodus“ z kraju, płynącego miodem i mlekiem, do krajów głodu, epidemii, nędzy i śmierci. Przed wyjazdem z Pittsburga poszedłem do Kanclerza podziękować za ofiarowanie mi placówki i aby się z nim pożegnać. Wówczas powiedział mi Kanclerz: „Pan zapewne będzie i w Berlinie. Powiedz Pan epigonom Bismarka, że idziemy na wojnę przeciw nim, bo nie możemy tolerować ani w życiu prywatnym, ani w polityce zasady bismarkowskiej „Siła przed prawem“.

XXIX.

Na okręcie.

W pierwszych dniach maja, czy z końcem kwietnia 1917 roku otrzymaliśmy szwedzkie paszporty i wyruszyliśmy holenderskim okrętem „Rotterdam“, wynajętym specjalnie przez rząd austriacko - węgierski, z Nowego Yorku do Bergen w Norwegii. Jechał ambasador hr. Adam Tarnowski z całym sztabem ambasady, jechali wszyscy konsulowie z żonami i urzędnikami, jechało również kilku dystyngowanych austriackich osobistości, jak Dyrektor Perutz (Czech) zastępca firmy Schenker - Co., Dyrektor Opery Chicagowskiej p. Pollak i inni, ponadto rząd amerykański pozwolił na wyjazd tym samym okrętem posłowi niemieckiemu w Chinach, admirałowi von Hintzemu, posłowi niemieckiemu na Kubie, bar. Malzanowi i kilku innym osobistościom niemieckim, będącym na liście niemieckiej dyplomacji.

Zostawiłem z ciężkim sercem moją żonę w Ameryce, gdyż nie wiedziałem, co się ze mną stanie po powrocie do kraju, o ilebym tam w ogóle dojechał. Były przecież różne możliwości, któreby mi mogły przeszkodzić w dojechaniu; byłem niepożądanym pasażerem. Żona, urodzona Amerykanka, władająca tylko angielskim językiem i dotknięta od dzieciństwa wadą serca, nie przeżyłaby tych udręk wojennych, jakieśmy przecież później wszyscy przeżywali. Została więc w Ameryce. Byłem przekonany, że wojna jeszcze w 1917 roku się skończy i że do niej powrócę.

Na okręcie byłem — jak Niemcy przed wojną — izolowany. Jedni z kolegów bali się, że przez obcowanie ze mną zrażą sobie swoich przełożonych, inni może sądzili, że popełniłem jakieś świństwo, więc szukałem „Anschlusu“ z Niemcami. Byłem często w towarzystwie profesora Uniwersytetu w Wrocławiu, p. Hündemanna, który bawił w Ameryce w celach propagandowych, spędzałem czas

w palarni w towarzystwie admirała Hintzego, który doskonale władał rosyjskim językiem i chętnie rozmawiał ze mną o stosunkach w carskiej Rosji, gdzie za młodych lat był akredytowany jako attache niemieckiej marynarki.

Moi koledzy i byli przełożeni widzieli mnie często w towarzystwie tych Niemców i widocznie w obawie, że się wygadał, zaczęli mnie różnymi apostrofami prowokować. Szczególnie okazywał mi dużo nienawiści Konsul Winter, exurzędniczyna jakiejś „Kaiserliche Hoheit“, ale nienawiść polegała na serdecznej wzajemności, gdyż ja miałem dla tych niemieckich renegatów, będących pod płaszczykiem madjarskiego patriotyzmu do każdej zbrodni gotowymi, szczególną pogardę.

Nazajutrz po wyjeździe z Nowego Yorku, okręt skierowany został do wybrzeża kanadyjskiego, otoczonego łańcuchem min, gdzie nas zatrzymano przez dwa dni. Jakiś wyższy angielski oficer marynarki przeprowadzał rewizję okrętu. Najpierw badano każdego osobiście w jednym z saloników okrętu, a później w kajutach badano i przeszukiwano rzeczy każdego pasażera z osobna. Szukali Anglicy za dokumentami, za złotem i za towarem, względnie za artykułami żywności. Na zasadzie porozumienia Ameryki z Ententa, każdy z pasażerów miał prawo mieć przy sobie do 200 dolarów w notach i trochę prowiantu. Zabronione nam było wywieść z Ameryki złoto, dokumenty, wyroby techniczne i wszystko, co mogłoby w najmniejszym stopniu służyć celom wojennym.

W ogólności można jednak powiedzieć, że Anglicy obchodzili się z nami (Austriakami) dość łagodnie. Słyszałem natomiast, że z personelem Ambasady niemieckiej, który wracał z Ameryki kilka miesięcy przedtem, obchodzono się brutalnie.

Po dwóch dniach puszczono nas w dalszą podróż, aby nas w kilka dni później na wyżynach Skageraku znowu zatrzymać. Okręt jechał północnym równoleżnikiem, tam,

gdzie były w maju białe noce i gdzie słońce tylko na kilkanaście minut zachodziło. Zatrzymał nas angielski okręt wojenny przez dwadzieścia cztery godziny, komunikując się z Londynem. Chodziło o instrukcje admiralicji, czy pozwolić okrętowi naszemu na dalszą jazdę do Norwegji, czy skierować go do Rotterdamu. Na okręcie jechał z nami amerykański Konsul Generalny, stacjonowany w Rotterdamie. Miał przy sobie kilku szpiegów, władających niemieckim językiem i być może, że „nasi“ coś o jakichś planach skandynewskich mówili, w każdym razie zarządzono, aby okręt nie jechał do Bergen, lecz do Rotterdamu.

Pewnego dnia spotkałem na pokładzie samego hr. Adama Tarnowskiego. Był zwykle w towarzystwie Zwiedineka, lub jednego z attaches ambasady i swojej amerykańskiej żony. Przystąpiwszy do niego i przeprosiwszy go, przedstawiłem się i prosiłem o kilka minut rozmowy celem przedstawienia mu moich utrapień i żalów.

„Ach, Pan Polak“? — mówił, jakby przyjemnie dotknięty ojczystym językiem — „bardzo się cieszę, że spotykam na okręcie jeszcze jednego ziomka“. (Było jeszcze na okręcie trzech Polaków, t. j. Wice-konsul Rozwadowski i bracia Grabowscy, urzędnicy z konsulatu w New Yorku i Pittsburgu, których on zresztą nie znał.

Ambasador zaprosił mnie do palarni okrętu i wskazując mi miejsce przy stoliku, dla niego zarezerwowanym, zapytał, o co chodzi.

„Czy Ekscellencja otrzymała mój list z Pittsburga“? — zapytałem.

Hr. Tarnowski namyślał się chwilę, po czym rzekł:

„Owszem przypominam sobie teraz, że dostałem od Pana list, który wręczyłem Panu Zwiedinekowi do dalszego urzędowania. Czy Pan nie dostał żadnej odpowiedzi?

Zaprzeczyłem.

„Dziwne“ — mówił. — „Więc o co chodzi“?

Opowiedziałem. Nie zataiłem niczego.

Siedział ze mną hr. Adam przez pół godziny. Był jakby wzruszony moim zażaleniem. Nareszcie wstał, uściśnął mi rękę i powiedział:

„Ja zaraz rozkażę panu baronowi Zwiedinekowi, aby jeszcze dzisiaj w swojej kabinie Pana przesłuchał, a jak przyjedziemy do Wiednia, zarządę, aby sprawa była należycie przez Ministerstwo zbadaną“.

Urzednicy konsulatu, zauważywszy mnie w towarzystwie Ambasadora, zraportowali bezzwłocznie Nuberowi i kons. Winterowi. Powstała poprostu panika wśród nich. Mogłem odczytać z ich min, że byli przerażeni. Nie upłynęło pół godziny, gdy przybiegł do palarni dyrektor kancelarii Ambasady Pollak, prosząc mnie do kajuty Zwiedineka. Zastąpiłem go w towarzystwie konsula Grivicicia. Bardzo uprzejmy, zaofiarował mi wygodny fotel i rzekł:

— „Jego Ekscellencja pan Ambador powiedział mi, że Pan mu bardzo ciekawe rzeczy opowiadał. Czy zechciałby Pan nam to powtórzyć?“

Ponieważ zauważyłem, że nie robi przygotowania do protokolarnego przesłuchania mnie, więc powiedziałem:

„Nie będę ani Panu, ani arcyintrygantowi konsulowi Grivicic'owi niczego powtarzał. Co mam do powiedzenia, to powiem albo przed Komisją dyscyplinarną Ministerstwa, albo przed sądem wojennym“.

Obaj dyplomaci skoczyli z miejsc.

„Pan chyba zwariował“ — wołał — „czego Pan właściwie chce? Dostał Pan przecież przed trzema laty order Złotego Krzyża z Koroną, chce Pan jeszcze jedno odznaczenie? Ja jeszcze żadnego orderu austriackiego nie dostałem“.

„Gdybym dostał order za przemilczenie zbrodni i łajdactw, tobym przywiązał to odznaczenie psu na ogonie. Co do jednego Panów zapewniam, że nie dam się zniszczyć przez mafię“.

„Czego Pan chce ode mnie?“ — wołał zmieszany konsul Grivicic — „przecież byłem Panu zawsze przyjazny“.

„Ja Panu dziękuję za przyjaźń, znam Pana i Pańskiego przyjaciela Wintera za dobrze i wiem, czego się mam od was spodziewać“.

Ukloniwszy się, wyszedłem z kajuty.

W dwa dni później okręt dopłynął do Rotterdamu. Nikt przez dwie noce nie zmrużył oka. Morze Północne było już naszpikowane minami, a okręt mógł w każdej chwili wylecieć w powietrze. Wieczorem okręt spuścił kotwice. Pozwolono nam pozostać na okręcie, gdyż w mieście nie było pomieszczenia na tylu ludzi. Naturalnie, że osobistości jak hr. Tarnowski, Zwiedinek i inni poszli do hotelu. Zaopiekował się nimi hr. Szechenyi, Poseł Monarchji w Hadze, który przyjechał na spotkanie do Rotterdamu.

Miał już instrukcje dla niektórych, którzy nie potrzebowali jechać do tej fortecy głodu, krwi i nędzy, jaką była już Austria. Wice-konsula Rozwadowskiego przydzielono do Hagi, Konsula Grivicica do Norwegji, innych do Szwajcarii i t. d.

Nazajutrz, o godzinie 3-ciej zbudzono nas i wywieziono „bunkierami“ szeldą do dworca kolejowego, skąd przez Utrecht, Blentheim i t. d. do granicy niemieckiej. Kolacji na okręcie nie dostaliśmy więcej. Na dworcu sprzedano nam kawę, lecz bez pieczywa.

Na jakiejś większej stacji ofiarowano białe bułki ze szynką... lecz tylko za „Brotkartami“, których nikt z nas nie miał. Żona jakiegoś urzędnika konsularnego z małymi dziećmi nie zaopatrzyła się w żywność. Dzieci płakały. Zdobylem przemocą dla dzieci dwie kanapki, rzuciłem roznosielowi guldena i omal, że nie zostałem za pogwałcenie przepisów aresztowany.

Na granicy pierwszy przedsmak wojny. Rewizja ścisła, prowadzona przez wojskowych — istnieje prusacka i tak przecież niepotrzebna. Wszakże już przedtem wiedzieli dokładnie, kto i dokąd jedzie. Nareszcie odprawa — i do pociągu, który się nigdzie nie zatrzymuje, który nie ma wa-

gonu restauracyjnego i w którym trzeba się głodzić. Głodzić przez cały dzień bez kromki chleba i bez szklanki wody. Gdzieś około 5-tej popołudniu pociąg się zatrzymał na improwizowanej stacji w polu, gdzie nie było widać ani jednego domu, ani budynku, ani jednego kolejarza. Widać było tylko krzyżujące się i rozchodzące w różnych kierunkach tory. Admirał Hintze chodzi od wagonu do wagonu i oświadcza: „Tu się rozchodzimy. Państwo Austriacy jadą stąd przez Magdeburg, Lipsk, Drezno do Austrii, my zaś przez Hanower do Berlina. Niestety nasz bagaż jest pomieszczony w dwóch wozach, a nie ma tu służby do rozdzielania naszych kufrów i skrzyń. Proszę Panów przyłożyć rękę. Zrzucamy z siebie surduty — konsulowie, sekretarze, kanceliści i dyplomaci. W przeciągu piętnastu minut dwa wagony są wyładowane, bagaż posegregowany i znowu do oddzielnych wagonów załadowany. I dalej w podróż. Boczny torami posuwają się w pospiesznym tempie całe pociągi z wojskiem, z ciężkimi działami ze Wschodu na Zachód, do Belgji i Francji. Na otwartych lorach, wiozących działa, pokryte zielenią, gałęziami drzew szpilkowych, siedzą oficerowie z monoklami, jakby wrośniętymi w ich oczy. Wyglądają jak figury woskowe w panopticum. Mają żółte, zielone i szare twarze, zapadłe policzki, lecz monokl musi być. La noblesse oblige. Nobel muss die Welt zu Grunde gehen.

Gdzieś w Magdeburgu czeka na nas wóz restauracyjny. Jest już noc. Zasiadamy jak pobożni żydzi w wieczór sądnego dnia, do posiłku. Jest akuratnie bezmięsny dzień, więc dostajemy omleczki z jarzyną, trochę sera i „Ersatzkaffee“ lub herbatę z suszonych liści różanych oraz czarny chleb. Kosztuje to 3 marki.

Nazajutrz o godzinie 10-tej rano jesteśmy gdzieś w Czechach. Pociąg zatrzymuje się z pół godziny. Czeką na nas obiad. Rosół, mięso, jarzyna, nawet strudel po wiedeńsku. Pan Nuber jest uradowany.

— „Das ist ja herrlich“ (ależ to wspaniałe!) — woła.

Gdy wracamy do wozów, jeden z Wice-konsulów opowiada, że Fischerauer zjadł cztery obiady.

We Wiedniu oczekują nas na dworcu szefowie Wydziałów Ministerstwa. Jest baron Schlehta, Szef sekcji, który ma dla niektórych dobre wiadomości, t. zn. że pójdą do krajów neutralnych, gdzie można jeszcze dostać jedzenie. Są baronowie — Sonnleitner i Erb z departamentu konsularnego. Przypomina nam, że mamy w przeciągu tygodnia zjawić się w Ministerstwie, celem przyjęcia instrukcji o naszych dalszych losach.

XXX.

We Wiedniu.

Nie będę pisał o moich wrażeniach z ówczesnego Wiednia. Wszak stosunki, jakie wówczas tam panowały, są wszystkim z dawnego zaboru austriackiego dobrze znane i niezapomniane. Mnie osobiście było po powrocie z Ameryki obojętne, czy moja racja kukurudzianego chleba wynosiła 100 czy 300 gramów dziennie. W restauracyjce, naprzeciw hotelu, gdzie zamieszkałem, dostawało się jeszcze pieczenie i leguminy, ponadto ważyłem 106 kg. i wzbudzałem swoim wyglądem sensację. Czułem się winnym wobec społeczeństwa, nie mogłem sobie jednak na piersiach lub plecach wywiesić tabliczki, że właśnie wróciłem z Ameryki i dlatego jestem tak utuczony. Sądziłem, że mam wcale porządny zapas tłuszczu w sobie i że nie zaszkodzi trochę schudnąć. Dlatego kwestia jedzenia nie przedstawiała mi się groźnie, t. j. dla mnie osobiście była nieważna. Inaczej miała się rzecz z sytuacją milionów ludzi, którzy chodzili po ulicach jak Eskimosi — postaci szare i bezkrwiste lub nabrzmiałe od spuchlizny głodowej. Lecz od czasu do czasu obserwowałem dziwne wyryki natury i stosunków. Tak np. spotkałem mego byłego szefa z Warszawy Ministra Ugrona, chwiejącego się na krótkich nogach, jak dobrze

wypasiony wieprz. Miał na sobie z 150 kg. sadła — wygląd wprost chorobliwy. Takiej mniej więcej tuszy był pewien znajomy redaktor „Volksblattu“. Lecz to były wyjątki. Gdyby Hitler miał dziś takie okazy, posłałby je do obozu koncentracyjnego z obawy przed rewolucją III-ciej Rzeszy na sam widok takich ludojadów.

Kręciłem się przez 5 dni we Wiedniu, nie mogąc w żaden sposób dowiedzieć się o losie moich braci, czy żyją, czy: „Auf dem Felde der Ehre gefallen“. Telegrafowałem do Ministerstwa Wojny, chodziłem osobiście, lecz bezskutecznie. Dowiedziałem się jednak przypadkowo od znajomych, gdzie należało czynić poszukiwania.

Po pięciu dniach udałem się do Ministerstwa, gdzie zostałem natychmiast przyjęty przez Szefa Departamentu, bar. Sonnleitnera.

— „Słyszałem, że Pan nie bardzo ładnie zachowywał się ostatnio w Ameryce, mieliśmy zawsze tak dobrą opinię o Panu“.

— „Wychodząc z założenia, że Ministerstwo kieruje się słuszną zasadą „Audiatur et altera pars“, pozwolę sobie przedstawić sprawę z mego punktu widzenia“ — powiedziałem. Moje „j'accuse“ było krótkie i dosadne. Podziałało, jak ciężka bomba na rekrutów znajdujących się po raz pierwszy w ogniu. Ten stary weteran - dyplomata, który zapewne w swojej długoletniej praktyce jako szef sekcji już nie jedno widział i słyszał, w tym wypadku zdębiał. Zbladł i nie mógł przez jakie dziesięć minut słowa wypowiedzieć. Patrzył na mnie, jak na człowieka z innego świata. Przypominał sobie historię o mej „śmierci“ z przed kilku laty.

— „Gdy bawiłem przed kilku laty w Bad - Gastein“ — wykszusił — „byłem przerażony wiadomością o Pańskiej rzekomej śmierci. Jak to się stało?“

Przedwczesna wiadomość o mojej śmierci była rzeczywiście trochę zabawna. W jakimś stawie w Frankfurcie nad Odrą, w Niemczech, znaleziono w roku 1913 trupa za

mordowanego emigranta, przy którym policja niemiecka znalazła tylko odcinek karty okrętowej New York — Hamburg i dwa bilety wizytowe z moim imieniem, nazwiskiem i rangą. Prokurator telefonował do austriacko-węgierskiej Ambasady w Berlinie z zapytaniem czy taki „ptak“ istnieje, a że w każdym urzędzie dyplomatycznym i konsularnym była t. zw. „czerwona książka“, zawierająca nie tylko imiona i nazwiska wszystkich zatrudnionych urzędników i członków korpusu dyplomatycznego, lecz i krótki życiorys każdego z osobna, więc ustalono, że istniałem i że byłem w Ameryce, a zatem ten trup to ja!

W dniu znalezienia mego trupa w Niemczech bawiłem duszą i ciałem jeszcze w Buffalo, oddając właśnie urząd memu zastępcy. Gdy powróciłem nazajutrz rano do Nowego Yorku, moja szwagrowa, Miss Mary Rodgers, zamieszkała z nami, przestraszyła się. Dawała mi znaki, abym się cicho zachowywał, gdyż żona moja była wówczas chora i spała. Udałem się do salonu, a gdy mi podano śniadanie, pytała się szwagrowa, czy czytałem wczorajsze wieczorne gazety. Zaprzeczyłem. Pytała dalej, czy koło Buffalo znajduje się miasto „Frankfurt“. Owszem, jest. Istnieją w Ameryce cztery miasta tej nazwy; jedno z nich leży w Stanie New York, blisko Buffalo. Czy są tam jakie jeziora? Tak, cały łańcuch. — Przynosi mi gazetę i powiada, że przez całą noc nie spała, lecz nie chciała mówić o tym żonie, bo byłaby się śmiertelnie przestraszyła, a była w odmiennym stanie.

Wtedy to po raz pierwszy doszła mnie wiadomość o mojej śmierci, wiadomość, która obiegła całą kulę ziemską, jak gdybym był conajmniej drugim Bismarkiem. No trudno. Wyszedłem z domu, aby zakupić kilka gazet; czytałem we wszystkich gazetach o strasznej zbrodni, popełnionej na mnie. Jestem jeszcze dzisiaj w posiadaniu wycinków gazetowych, zawierających nie tylko dłuższe lub krótsze notatki, lecz całe nekrologi. Jakiś młody adept sztuki dziennikarskiej we Wiedniu uczył się na moim trupie pisać, bo napłó-

dził w „Neues Wiener Tagblatt“ półtora szpalt o moim młodym życiu, czynach i nieczynach i zalewał się łzami z powodu mojej bądź co bądź niesamowitej śmierci. Dowiedziałem się później, że autorem tej elegii był syn b. radcy Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie, p. Morariu, który mnie osobiście znał.

Nie pomogły wówczas różne „dementi“ Generalnego Konsula w New Yorku, który miał ze mną telefoniczną rozmowę dnia poprzedniego, nie pomogły zapewnienia Ministerstwa, dane ówczesnemu Namiestnikowi Galicji, ś. p. Korytowskiemu, że żyję, gazety świata chciały mieć swoją sensację, mimo, że czas ogórkowy już minął. Nawet w kilka miesięcy później, w „Abendblacie“, „Neue Freie Presse“ z 31 grudnia 1913 w wykazie zmarłych z całego roku osobiście, znalazłem się między zmarłymi członkami dworu, pomiędzy dwoma dyplomatami, którzy już od ćwierć wieku zapewne smażą się w piekle.

Miałbym jeszcze dużo o tej śmierci do powiedzenia, ale nie chcę nadużywać cierpliwości czytelnika. Dla wyjaśnienia nieporozumienia powiem tyle, że w rzeczywistości padł ktoś ofiarą zbrodni, a mianowicie: były nauczyciel szkoły przy gr. kat. kościele w Yonkers, N. J., Ukrainiec, pochodzący z Kołomyi, który jechał wówczas z Ameryki do kraju i został w drodze zabity i obrabowany. Zdaje się, że kiedyś dałem mu mój bilet (przez przeoczenie dwa), gdy mnie odwiedził w konsulacie i o coś prosił. Miałem dużo kłopotu z powodu tej śmierci.

Tę historię przypomniał sobie baron Sonnleiter, gdy mu opowiedziałem o zdradach, oszustwach i kradzieżach różnych panów, stojących „In Allerhöchsten Dienst“.

Wracając jednak do właściwego przedmiotu, baron Sonnleiter i mnie zaszczycił odkryciem rewelacyjnej tajemnicy, a mianowicie, że była wówczas wojna!

„Jesteśmy“ — mówił — „w stanie wojennym. Każdy obywatel od 17 do 55 roku życia musi być badany przez

Komisję poborową. Ja sam już byłem dwa razy badany. Dam Panu zaświadczenie ministerialne, że Pan przebywał służbowo w Ameryce i nie mógł dotychczas uczynić zadość powinności wojskowej, a gdy Pana zaasenterują, będziemy Pana reklamować. Co do trudności Pańskich w Ameryce, to proszę o tym zapomnieć. Dla nas tutaj w Ministerstwie pozostaje Pan tym, czym był zawsze: „Ein zuverlässiger und tüchtiger Beamte“. Nie chcemy nic wiedzieć o Pańskim przeniesieniu do Pittsburga i proszę uważać to przeniesienie za niebyłe“.

Gdy zostałem uznany przez Komisję poborową za „zdolnego“ (geeignet) przedłożyłem kartę legitymacyjną Ministerstwu, które rozesłało telegramy do właściwych Komend wojskowych z „ważną“ wiadomością, że mam mogę służyć.

W lipcu 1917 roku zostałem powołany telegraficznie do Wiednia, gdzie mnie w Ministerstwie powiadomiono, iż wkrótce w ważnej misji wyjechać za granicę, a zatem nie zostałem przydzielony do Konsulatu Generalnego w Berlinie. Mój szef Generalny Konsul Nuber von Pereked, z powodu mego „J'accuse“ rozchorował się i udał się do jakiejś prywatnej lecznicy dla nerwowo chorych.

XXXI.

W Berlinie.

Przed wyjazdem do Berlina bawiłem przez kilka tygodni we Lwowie, dzieląc smutki i troski ziomków, którzy, o ile nie byli na wojnie, lub we Wiedniu, szukali uspokojenia nerwów w kawiarniach przy „Ersatzach“, a z gazet codziennie dowiadywali się, że „Im Westen nichts Neues“.

Należało zaopatrzyć wydany mi w Ministerstwie po powrocie z Ameryki nowy, dyplomatyczny paszport w niemiecką wizę. Poszedłem do niemieckiego konsula we Lwowie. Był bardzo zdziwiony wyglądem mego paszportu. Miał

podwójny tekst: niemiecki i węgierski z emblematami obu krajów. Uważał tę nową koncesję dla Madziarów za coup d'Etat, za pogwałcenie języka niemieckiego, za odseparowanie się Magyarów od wpływów niemieckich. Nie tał się konsul wcale z swoimi myślami.

„Na, nu, was ist das wieder für eine staatsrechtliche Eselei“? — Uważał on już wówczas Austrię za wasalą, sprzedającego swoje prawa językowe na rzecz niższej rasy.

Jakkolwiek Niemcy były daleko biedniejsze od Austrii w produkcji rolnej i nawet w czasie pokoju aprowizowały się produktami z Austrii i Węgier, to jednak w 1917 był głód w Niemczech na zewnątrz mniej widoczny, aniżeli w Austrii; być może dzięki lepszej organizacji w przedmiocie rozdziału, lub też, że byli bardziej dyscyplinowani i mniej się skarżyli. Cesarz Fryderyk uczył ich: „Leidet ohne zu klagen“. (Cierpiecie bez skargi). Austriacy zaś, będąc narodem na pół wschodnim, lamentowali, tym więcej, że ich wspólnicy, Węgrzy nie chcieli nic dać. Mieli wymówkę, że muszą wyżywić armię. W każdym razie sytuacja w Berlinie w roku 1917 nie wyglądała na katastrofalną.

Zostałem z początku przydzielony do Generalnego Konsulatu pod przewodnictwem Konsula Generalnego II klasy pana Fryderyka Szarvasy.

Konsulat Generalny znajdował się w trzech różnych domach na Keith Strasse i robił wrażenie obozowiska ogromnego cyrku à la Barnum-Bailly. A pan Szarvasy (dawniej Hirschel) okazał się zręcznym dyrektorem. Byłby się był doskonale nadał na prezesa kahału, gdyż jego opieka nad Żydami, zamieszkającymi w Niemczech, była wzruszająca i ojcowska. Miał wprawdzie przydzielony sztab konsulów i sekretarzy w sile dwudziestu urzędników i to samych chrześcijan (mniej więcej aryjskiego pochodzenia), lecz dobrał sobie jeszcze do pomocy z jakie trzy tuziny Żydów i Żydówek, wywierających nań decydujący wpływ. Gwiazdą tych kiepskich aktorów i aktorek cyrku pana

Szarvasy'ego była lwowianka, wnuczka bhp. rabina Silbersteina. Była zamężna za kupcem, z którym się później rozeszła.

Otóż pani Valentin była faktyczną kierowniczką konsulatu. Siedziała z konsulem w jednym pokoju i wydawała rozkazy. Pan Szarvasy miał — jak mi się zdawało — niewyczerpane i nieograniczone fundusze, bo przychodzili do niego bawiący na urlopach żydowscy rezerwiści, jak chasydzi do cadyka i wszystkim dawał pieniądze. Drukarnie Banku austro-węgierskiego pracowały już wówczas wprawdzie dyskretnie, ale za to całą parą. Komisja lekarska przy konsulacie była en permanence, wszyscy urlopnicy z frontów zawsze tu chorowali i nie chcieli wracać do swoich formacyj. Oni, którzy się zawsze tak zdrowo czuli w Niemczech, zapadali tu odrazu na różne choroby, przeważnie na cukrzycę i wady serca, a Szarvasy przedłużał im urlopy. Dawał tym biednym Żydom pieniędzy, ile tylko żądali, szczególnie, gdy się decydowali wracać do swoich kadr.

Er kannte seine Pappenheimer! Zresztą był sprawiedliwy, brał od bogatych Żydów, którzy nie chcieli służyć w wojsku i dawał tym, co służyli.

Zostałem przydzielony do referatu wojskowego, t. j. do wygrzebywania reszty jeszcze mężczyzn w wieku od 17 — 55 lat, żyjących w okręgach konsularnych Berlina. Prus Wschodnich, Zachodnich, Pomorza, Poznania i t. d. W pracy tej natrafiałem na dziwne okazy. Wpadły mi pewnego razu w ręce akta pp. Schildkrautów, ojca i syna, obu już wtedy sławnych aktorów. Obaj byli przynależni do Rohatyna, jakkolwiek nikt z nich w tym mieście (gdzie Piotr Skarga swoje kazania wygłaszał) nigdy nie był. Starszy Schildkraut urodził się w Konstantynopolu, a młody we Wiedniu. Obaj mieli obowiązek służby wojskowej, lecz nie służyli.

Innym razem policja pruska dostawiła mi młodego

Żyda ze Lwowa, który nie stanął dotychczas ani razu do poboru, jakkolwiek liczył już lat dwadzieścia kilka.

„Pan pozwoli, że usiądę“ — powiada — „jestem cokolwiek zmęczony tym chodzeniem po komisariatach i konsulatach“.

Usiadł przed moim biurkiem — zaczęła się mniej więcej następująca rozmowa:

Ja: „Bardzo mi miło pana poznać, lecz żałuję, że w tak przykrych okolicznościach. Protekcja policyjna i nieprzyjemności z władzami wojskowymi. Może nawet i z sądem wojennym, w każdym razie każe Pana odstawić do Bodenbach, a komenda dworca wyda dalsze zarządzenia“.

On: „Bardzo Panu dziękuję za grzeczność i szlachetne zamiary, chciałbym Panu jednak zaoszczędzić pracy i pisaniny. Postanowiłem zrezygnować z zaszczytu służenia w armii Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości najmiłościwiej nam panującego. Zu viel Strapazen“.

Ja: „Lecz kochany Panie, Ojczyzna Pana jest w potrzebie, musi jej Pan bronić. Bije się właśnie z tyłoma nieprzyjaciółmi“.

On: „Proszę Pana, ja nigdy mego ojca nie znałem i nie wiem, kto nim był. Matka nie żyje, więc mam pewne wątpliwości co do ojczyzny. W każdym razie proszę przyjąć do wiadomości, że ja pod żadnym warunkiem w wojsku służyć nie będę“.

Ja: „To jest bardzo możliwe i prawdopodobne. Te obecne sądy polowe u nas już niejednemu zaoszczędziły „sztrapaców“. Są one łącznikiem między ziemią a niebem, nie żałują kul tak, że przeprawa do nieba nie sprawia dużo mozolów. Więc Pan pozwoli, że go odeślę do granicy“.

On: „Widzę, że się z Panem nie dogadam, a jednak muszę Panu oszczędzić pracy. Otóż proszę przeczytać“.

Wręczył mi zaświadczenie Zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie, z którego wynikało, że mój klient był przez dłuższy czas pacjentem tegoż Zakładu.

Wedle przepisów austriackiej ustawy wojskowej, faktycznie nie podlegał służbie wojskowej.

Zanotowałem na akcie datę i liczbę zaświadczenia i po-
tegnąłem nadzwyczaj sprytnego i inteligentnego wariata.

Ponieważ Niemcy ze względów aprowizacyjnych — jak mówili — zaczęli coraz bardziej utrudniać austriacko-węgierskim obywatelom przyjazd do Rzeszy, musiała się Austria zrewanżować. Z początkiem 1918 roku założono przy c. i k. Ambasadzie biuro wizowe dla wszystkich cudzoziemców, chcących się udać do Austrii lub Węgier, a mnie spotkał zaszczyt kierowania tym biurem.

Mustałem przyjmować osobiście wszystkich petentów — z dwustu dziennie; wynajęto w tym celu na Kurfürstendam elegancki lokal w domu księżnej Radziwiłłowej, a nie które osobistości, które miałem zaszczyt poznać, były bardzo ciekawe.

Pamiętam, że przyjąłem sławnego generała Kluga z żoną. Bohater przegranej bitwy pod Marną, mały, prosty i skromny człowieczek, chciał do Karlsbadu. Stał, jak pruski żołnierz, na baczność i czekał na wizę.

Przyjąłem księcia Czartoryskiego z żoną (córka arcyksięcia Stefana z Żywca), tajnego radcę Habera, wynalazcę sztucznych nawozów (saletry z powietrza) i cały szereg poważnych osobistości.

Pewnego razu posłano mnie do Urzędu Spraw Zagranicznych w jakiejś urzędowej sprawie. Przyjął mnie podsekretarz Stanu ks. Bülow. W toku rozmowy zapytał mnie, gdzie przedtem służyłem. Odpowiedziałem, że w Ameryce. Zaczął mnie wypytywać o prawdziwe motywy, jakie skłoniły Amerykę do udziału w tej wojnie. Przedstawiłem moje subiektywne zapatrywania na tę sprawę, przy tej sposobności opowiedziałem mu o mojej pożegnalnej rozmowie z Kanclerzem Uniwersytetu w Pittsburgu, Mr. Black Mc. Cormic. Słuchał bardzo uważnie. W kilka tygodni później

Kaehler Rzeszy hr. Hertling miał mowę w Reichstagu. Powiedział między innymi:

„Ani naród niemiecki, ani rząd niemiecki nie hołdują zasadzie, że siła idzie przed prawem. To było ongiś opinią pewnego męża stanu. My nie chcemy dziś nikogo gwałcić. Wojna naturalnie ma swoje własne prawa, my zaś chcemy tam naprawić, gdzie prawo zostało naruszone“.

A więc dali posłuch opinii małej elity intelektualnej Ameryki.

W kilka tygodni po tej enuncjacji dostałem list z Urzędu Spraw Zagranicznych, aby się zgłosić do jakiegoś „Geheimrata“. Poszedłem. Wręczył mi order kawalerski Korony pruskiej ze słowami: „Jego Cesarska Mość, Cesarz Niemiecki i Król Pruski raczył panu nadać ten krzyż“.

Nie wolno mi było jako urzędnikowi sprzymierzonego państwa odmówić przyjęcia. Po jakimś czasie dostałem drogą urzędową dekret od Kapituły orderowej.

Moim szefem był wtedy książę Gottfried Hohenlohe-Schilligsfürst, Kawaler Orderu Złotego Runa, Tajny Radca, Generał i... zięć arcyksięcia Fryderyka, Główno-komenderującego armią austro-węgierską.

Przed wojną cesarz Franciszek Józef trzykrotnie wysłał tego księcia w specjalnej misji do Cara Mikołaja II. Trzy razy Franciszek Józef szukał drogi do rozsądku cara, lecz daremnie. Rosją nie rządził już przed wojną car, lecz grupka „istynnych russkich ludzej“, jak Szef Generalnego Sztabu Januszkiewicz, Sazonow, Izwolski i inni, a przede wszystkim W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz, jego żona i jej siostra (obie córki Nikity Czarnogórskiego, jedne ze sprawców wojny).

Książę Hohenlohe nie odgrywał podczas wojny poważnej politycznej roli. Jakkolwiek gra na szachownicy politycznej pomiędzy Niemcami a Austro-Węgrami była zacięta i namiętna, prowadząca do wyczerpania obydwóch graczy, to każde posunięcie naprzód i wstecz nie było doko-

nywane drogą dyplomatyczną, lecz za kulisami Ministerstw. Znane już są intrygi Ludendorfów, Hindenburgów, Cra-monów, Conradów, Windischgrätzów i innych. Od chwili wkroczenia pierwszych patroli wojsk sprzymierzonych do Królestwa, sprawa polska stała się obom zaborcom kością w gardle. Od tej chwili zaczęła się tajna i jawna walka pomiędzy obydwoma zaborcami o wpływy i panowanie nad Polską. Raz chciał Hindenburg anektować całą Polskę, drugi raz Ludendorf, a Austria już z całą pewnością liczyła, że jej przypadnie Królestwo. Kto zatem chce wnikać w tajniki tej walki, niech czyta książkę Sokolnickiego p. t. „Polska w Pamiętnikach Wielkiej Wojny 1914—1918“. Rola ks. Hohenlohe - Schillingsfürsta ograniczyła się raczej do reprezentowania austriackiej tradycji i blichtru. Rozumiał się na hiszpańskich ceremoniałach i na dworskiej etykiecie. Uważał również bacznie na to, aby mu się nie stała krzywda przy rozdziałach aprowizacji. Dostarczano domowi jego 30 — 40 kg. mięsa dziennie, czyli tyle, do czego miało prawo w Berlinie 1000 ludzi przez cały tydzień. Mieli prawo, lecz nie dostawali.

19 sierpnia 1917, z okazji urodzin cesarza Karola odbyło się nabożeństwo w katolickim kościele w Berlinie, na które przybył w zastępstwie niemieckiego cesarza jakiś wuj jego. Książę Hohenlohe, na czele całej Ambasady w galowych uniformach podziękował pruskiemu księciu, przy zachowaniu etykiety i ceremoniału dworskiego. Widziałem to po raz pierwszy w życiu. Ukłonił mu się trzy razy, cofając się za każdym razem o krok wstecz. Książę pruski siedział na ad hoc urządzonej tronie i przyjmował milcząco hołd austriackiego wasala.

Po nabożeństwie, gdyśmy wyszli z kościoła, a pruski książę i Hohenlohe odjechali, p. konsul Szarvasy recte Hirschel wezwał dorożkę i stanął w niej — niby czekając na kogoś — w rzeczywistości zaś, aby publiczność widziała go w pięknym fraku, wyszytym złotymi liśćmi palmowymi.

Nie przyszło mu na myśl, aby zaprosić kogo ze swoich urzędników do powozu.

Jakże? Czy cesarz austriacki nie był królem Jeruzolimy a on Jego Generalnym Konsulem?

Dopiero ,gdy zostałem przydzielony do Ambasady, byłem na przyjęciu u Ambasadora znowu z okazji urodzin cesarza. Wtedy ks. Hohenlohe, witając gości, ustawionych en cercle, zatrzymał się dłużej przy mnie, aniżeli hierarchia etykiety tego wymaga, zadając mi różne pytania. Byłem później z tego tytułu przedmiotem zainteresowania różnych Szarwasów, Feitscherów i innych.

Takie błahe epizody więcej ciążyły na mózgach niektórych dyplomatów, aniżeli cała wojna.

Jakkolwiek od chwili przydzielenia do Ambasady miałem prawo sprowadzać sobie z zagranicy prowianty, rzadko tylko robiłem z tego użytek. Co miałem bowiem robić z 5-ma kilogramami masła lub 10-ma kg. mięsa? Chyba rozdać pomiędzy znajomych. Nie mogłem przecież tym handlować. Dostawałem również pięć razy tyle kart na chleb, kartofle, mięso, niż inni, lecz oddawałem te uprzywilejowane karty mojej gospodyni, która miała małe, okropnie wygłodzone dzieci. Wnikiem tej abstynencji od racjonalnego odżywiania się było, że straciłem ponad 30 kg na wadze. Przyczyniła się do tego i intensywne prace, której się oddałem bez zastrzeżeń. Praca nie tylko w Ambasadzie. Postanowiłem bowiem rozpoczęte w Pittsburgu ciekawe prace naukowe kontynuować nadal na Uniwersytecie w Berlinie. W tym celu już we wrześniu 1917 zapisałem się dyskretnie na Wydział filozoficzny tamt. Uniwersytetu, uczęszczając 4 — 5 razy w tygodniu na wykłady z udziałem w pracach seminaryjnych. Interesowałem się szczególnie historią narodów słowiańskich i ekonomią społeczną a pracowałem pod kierownictwem profesorów Schiemanna, Hötscha, Jastrowa, Schumachera, Ballota i Oppenheimera, którym mam dużo do zawdzięczenia. Nie należałem już do

młodych, lecz uważałem, że nie zaszłodzi i na starsze lata się czegoś nauczyć.

Na Uniwersytecie, w seminarium profesora Jastrowa poznałem kolegę (komilitona — jak tam nazywają) syna ziemianina z Poznańskiego, który był podchorążym wojsk niemieckich, nosił zawsze uniform i czapkę na bakier. Musiał czapkę tę tak nosić, bo dostał szrapnelem w głowę, a zagojona rana nie znosiła normalnego nakrycia głowy. Znajomił mnie z młodzieżą z Poznańskiego, gromadzącą się w zakonspirowanym lokalu w Charlottenburgu, w jakimś niewynajętym sklepie, o pomalowanych czerwoną farbą oknach. Zgromadzenia te nie były ciekawe. Młodzi ludzie, jak naiwne dzieci, debatowali wiecznie, gubiąc się w abstrakcjach, tak, że trudno było właściwie zrozumieć, czego chcą i do czego dążą. Nie wysuwali nigdy żadnej realnej myśli. Natomiast ciekawe były polityczne herbatki, urządzone u ś. p. Wilhelma Feldmanna. Feldmann wydawał w Berlinie „Die polnischen Blätter“, był eksponentem Naczelnego Komitetu Narodowego, a pismo jego było pilnie czytane nie tylko w Urzędzie Spraw Zagranicznych, lecz w Wielkim Sztabie Generalnym.

Byłem raz na takiej herbatce znakomitego krytyka literatury polskiej. Cenilem bardzo Feldmanna i dlatego chętnie przyjąłem jego zaproszenie. Poznałem tam księcia Janusza Radziwiłła i kilku wyższych, niemieckich oficerów sztabowych. Mówiono o Wielkiej Ukrainie, o jej aspiracjach historycznych i etnograficznych faktach i t. p. Niemiec oficerowie liczyli z całą pewnością, że powstanie nowe ukraińskie państwo pod protekcją i wpływami Niemiec. Zabrałem w dyskusji głos i powiedziałem tym panom, aby sobie pod tym względem nie robili żadnych iluzji. Jakolwiek chłopci ukraińscy mówią małoruskim narzęczem i język Szewczenki uznany został przez Petersburską Akademię Umiejętności za odrębny język, to z wyjątkiem kilkuset ideowców - narodowców, cała inteligencja i miesz-

czaństwo od Zbrucza po Morze Kaspijskie w wierze, mo-
wie i duchowo związane jest z Rosją. Ukraiński proletari-
at zaś jest — jak proletari- at wszystkich krajów — między-
narodowy. Ukraińskie społeczeństwo poza Zbruczem od
wieków pod jarzmem okrutnej Rosji, zdeprawowane i zde-
moralizowane, nie miało ani poczucia narodowego ani aspi-
racji narodowych — co zresztą historia w kilka lat później
wykazała. Jedynym mocarstwem, które byłoby w możności
swymi kulturalnymi i cywilizacyjnymi wpływami zbudzić
Ukrainę z letargu, to Polska. Chybiła wprawdzie w tym
kierunku próba z 1920 roku, lecz historia ma swoją wła-
sną żelazną konsekwencję. Co jest temu narodowi prze-
znaczone, to go nie minie.

We wrześniu 1918 r. wiedzieliśmy już w Ambasadzie
o rozbiciu żelaznego łańcucha na froncie bułgarskim. Mo-
gliśmy już wszyscy czytać na ścianie Mocarstw Central-
nych: Mane, Tekel, Fares.

W drugiej połowie października pojechałem do Wiednia
na urlop. Około 25-go tego miesiąca spotkałem w kuluarach
parlamentu posła ze Lwowa ś. p. Ernesta Breitera. Prze-
chodził w tej chwili jakiś niski, ciemno - włosy osobnik.

„Nun was gibts?“ — zapytał go Breiter.

„Jetzt werden wir ihm das Genick brechen“ (Teraz mu
skręcimy kark), — odpowiedział nieznan mi osobnik.

„Kto to jest“? — pytałem — „i komu on kark skręci“?

„To jest Wice-Prezydent Parlamentu, Wódz austriac-
kich wszech Niemców — a skręca kark cesarzowi Karolowi.
Przyjdźcie we wtorek do Kawiarni Centralnej (na Herren-
gasse), to będziecie świadkiem jego detronizacji. Byłem
tegoż dnia o oznaczonej godzinie w kawiarni. Na placu, za
sejmem Dolnej Austrii, (t. zw. Ständehaus), tuż przy wy-
mienionej kawiarni, odbyło się zgromadzenie wiedeńskich
wszech Niemców, socjalistów, Czechów i dzikich, na którym
odczytano abdykację cesarza.

Wróciłem do Berlina, gdzie stale mieszkałem, aby skoń-

czyć pracę naukową na uniwersytecie. Miałem jeszcze na kilka miesięcy roboty. 9-go listopada siedziałem w kawiarni (Romanisches Cafe) w Charlottenburgu (tuż przy Gedächtniskirche), gdy weszło do lokalu dwóch niemieckich marynarzy, uzbrojonych w karabiny i rewolwery. Jeden z nich, podobny do goryla, przystąpił do mnie i wyrwał mi z butonierki wstążeczkę orderową, drugi marynarz zerwał w tym czasie obecnemu oficerowi niemieckiemu epolety. Nie poniosłem wielkiej szkody. Nie protestowałem nawet, chociaż miałem do tego prawo, jako członek korpusu dyplomatycznego. Tego samego dnia otrzymałem legitymację, podpisaną przez Eberta i Scheidemanna, członków rewolucyjnego Duumwiratu, że jestem nietykalny.

Przed wyjazdem, po zlikwidowaniu Ambasady, księżę Ambasador Hohenlohe przyjął cały personal i chciał przemówić do nas, lecz słowa utkwily mu w gardle. Ucisnął każdemu rękę.

Na jego miejsce z polecenia socjalistycznego Rządu „Deutsch - Oesterreich“ przyjechał z Wiednia Prof. nadzwyczajny wiedeńskiego Uniwersytetu Hartmann, już nie jako ambasador, lecz jako Poseł. Objął biura Ambasady, a Ministerstwo postawiło wszystkich urzędników do dyspozycji t. j. z normalnymi poborami, bez dodatku lokalnego.

W jednej z will berlińskiego Westendu zainstalował się jako pierwszy Poseł R. P. pan Wilhelm Feldmann. Był już cierpiący, miał szarą cerę, zapadłe policzki i wybladłe oczy. Nosił — jak jego austriacki kolega, prof. Hartmann, stary przenicowany tużurek (Schlussrock), wąsy jakimś tanim „wixem“ pomaszczzone, ostro zakręcone, a na klapie surduta nosił biały orzełek jako symbol władzy w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Podczas wojny kręcił się przy austriacko - węgierskim konsulacie w Berlinie, niejaki pan Rose, kupiec, który się przygotowywał do objęcia konsulatu polskiego w Berlinie po odzyskaniu niepodległości Polski. Doczekał się. Był fak-

tycznie pierwszym Generalnym Konsulem R. P. Dowiedziałem się od ludzi, przybyłych z Warszawy, że w M. S. Z. panuje chaos, Mianowano rzekomo codziennie każdego, kto tylko się zgłaszał i miał poparcie swego posła, aby go na-
zajutrz wydalić. Jeden z kolegów, przyjechawszy z Warszawy, opowiadał mi, że do Ameryki wyjechał w charakterze Generalnego Konsula R. P. kupiec krakowski p. Buszczyński, do Kanady zaś były agent Okołowicz ze Lwowa i że ci panowie postawili za warunek, że sobie sami zorganizują swój personal, gdyż urzędnikom zaborczym nie ufają. Nie pchałem się. Będąc od dwóch lat zdala od rodziny, chciałem wrócić do Ameryki, tym bardziej, że zdrowie moje szwankowało i byłem pod opieką lekarską. Chciałem również skończyć studia i być na wszelki wypadek przygotowany.

We wrześniu 1919 zostałem przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w likwidacji we Wiedniu skwalifikowany do emerytury i wkrótce powróciłem do Stanów Zjednoczonych.

Gdy konsulem Generalnym R. P. został ś. p. Stefan Grotowski, b. Starosta w Podgórzu, o którym już wspominałem w rozdziale p. t. „Montreal“, dopiero wtedy wstąpiłem na jego żądanie do służby w Konsulacie Generalnym R. P., prosząc równocześnie o przyjęcie mnie na etat polski. Podanie moje jednak gdzieś ugrzęzło, a gdy nie zostało załatwione, przyjąłem kierowniczą posadę w jednym z największych banków amerykańskich.

W moim procesie o emeryturę ze Skarbem Państwa Polskiego Najwyższy Trybunał Administracyjny wydał „zasadę prawną“, a Najwyższa Izba Kontroli poświadczyła fakt mojej służby w Państwie Polskim.

XXXII.

Konkluzja.

W toku pisania niniejszych wspomnień zrodziła się we mnie wątpliwość co do celowości tej pracy i czy sam tytuł nie jest za pretensjonalny. Przecież zmierzch Austrii nie nastąpił wskutek nieprzyzwoitego zachowania się kilku dyplomatów lub wskutek nieuczciwości kilku urzędników — powie nie jeden czytelnik. Powie — i to słusznie — że Austria była zlepkiem jedenastu narodów, a gdy przegrała wojnę, zlepek się rozpadł. Lecz bezstronny historyk powiedziałby: przecież zlepek ten trwał sześćset lat, przecież z wybuchem tej wojny wszystkie narody poszły w bój z austriackimi pieśniami na ustach, przecież ta Austria ze swoim sprzymierzeńcem pobiła olbrzyma, zwanego Rosją — przecież o mało że nie zniszczyła włoskiej armii pod Cappareto, przecież zajęła 4/5 Rumunii i całą Serbję, a zatem nie przegrała wojny, lecz była tylko śmiertelnie wyczerpana. Dlaczego więc Ententa wraz z Ameryką zgodziły się na rozbiór Austrii, a nie Niemiec?

Otóż dlatego, że gdy cały świat nienawidził Niemców, to dla Austrii miał pogardę i lekceważenie, przeważnie z powodu zachowania się jej przedstawicieli za granicą. Trzeba bowiem pamiętać o tym, że zagranica widzi w reprezentancie obcego kraju ucieleśnienie charakteru narodu, który reprezentuje. A gdy ta jednostka, ten faktyczny tak mało znaczący osobnik, który siedzi na jakiejś nawet nie wybitnej placówce, źle się zachowuje, działa jawnie na niekorzyść kraju, nie może zdobyć sobie powagi ani autorytetu w obcym państwie, choćby nawet na niższym poziomie kulturalnym stojącym.

Więc dobrze — powie może nie jeden czytelnik — co ta wiązanka wspomnień jakiegoś byłego urzędnika konsularnego ma wspólnego z historią? co takie epizody z życia

kilkudziesięciu ludzi mają wspólnego z bytem lub upadkiem wielkiego mocarstwa?

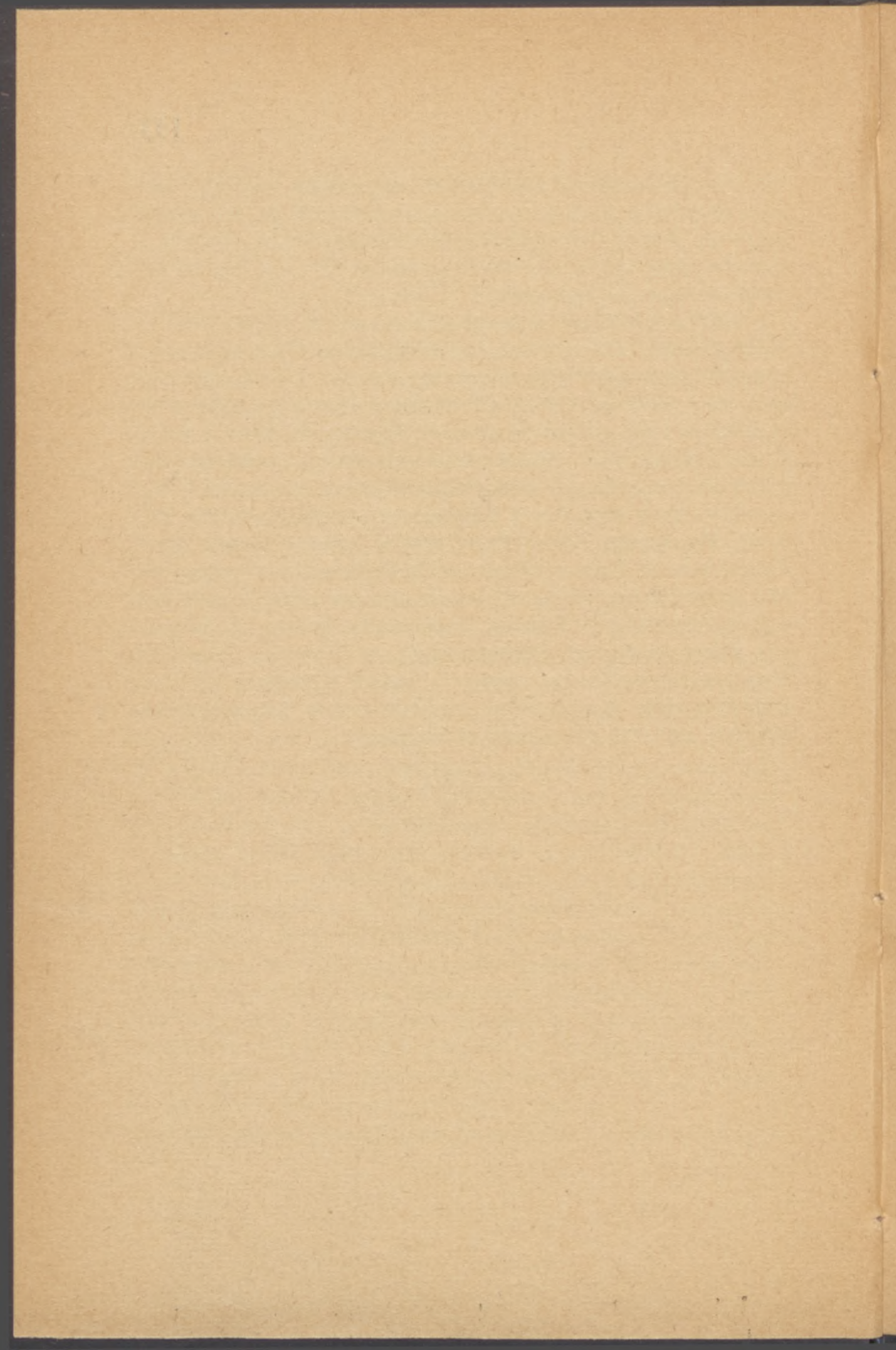
Na to pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelnika, że cała historia świata składa się z epizodów. Nie muszą to być koniecznie epizody różnych bitew, lub epizody z życia monarchów. Życie narodów to splot zwyczajów i obyczajów, a gdy te stają się niemoralne i nieuczciwe, narody giną. Przykłady historyczne: rozpadnięcie imperium rzymskiego, upadek dynastji we Francji, w Rosji, rozbiór Polski i ostateczne zniknięcie Austrii z mapy świata. Interesują czytelnika epizody z życia dworzan Ludwika XIV, których hasłem było: „enrichissons nous“, a sam niemoralny król mawiał: „L'état c'est moi, apres moi le deluge“. (Państwo to ja, po mnie może być potop). Ten cynizm spowodował już w kilkadziesiąt lat później francuską rewolucję, z wszystkimi strasznymi konsekwencjami. Zapłacili dworzanie francuscy drogo za swoje niemoralne życie. A w sto dwadzieścia lat później spotkał taki sam straszny los arystokrację i wysokie czynownictwo Rosji, nie wyłączając rodziny carskiej. Wprawdzie nie można twierdzić, że dynastja Habsburgów była niemoralną, nie można oskarżać o czyny niemoralne lub ohydne Franciszka Józefa, Franciszka Ferdynanda lub ostatniego cesarza Karola. Przeciwnie, byli to ludzie moralni, lecz ich zagranica nie znała. Widziała i oburzała się na czyny mafji, która tych cesarzy reprezentowała. Woodrow Wilson nie znał władców Austrii, lecz on i jego doradcy i przyjaciele znali różnych Hengelmüllerów, Nuberów, Zwiedników, Griviciców i innych szarlatanów i przyszli do przekonania, że należy pomóc uciężonym ludom, by wyzwoliły się z pod jarzma niemoralnej, nieuczciwej i głupiej kliki rządzącej. Przecież ten Wiedeń, ci Ministrowie typu Berchtolda, Burana, Tiszy i innych nie mogli być wiecznie ślepi. A skoro oni to tolerowali, to należało i ich wyrzucić na śmietniki, jak się porzuca stare szmaty.

Skoro zatem powstała wielka literatura z życia dworzan

francuskich królów i gdy pisarze, zajmujący się opisywaniem przygód z życia francuskiej arystokracji, po dziś dzień znajdują swoich czytelników, dlaczegóżby życie austriackich dworzan, ambasadorów i konsulów nie miało zainteresować ciekawego czytelnika?

Tych zaś, którzy szukają historycznych faktów, dotyczących walki o panowanie nad wszystkimi Niemcami oraz polityki i intryg księcia Bismarka przeciw Austrii, datujących się jeszcze od r. 1855, gdy został pruskim Prezydentem Ministrów, tych, którzy są ciekawi jego konszachtów z irydyntą madiarską i włoską przeciw Austrii, późniejszych konszachtów pewnych grup węgierskich z Prusami i Włochami — tych wszystkich odsyłam do dzieła profesora historii Friedjunga. Prof. Friedjung w swoim dziele: „Der Kampf um die Vorherrschaft im Deutschen Reich“ pisze, że gdy Bismark w swoich intrygach przeciw Austrii posługiwał się niejakim p. Kiss'em, węgierskim żydem, to ówczesny Minister Spraw Zagranicznych w Turynie, admirał floty królestwa Sardynii wręcz odmówił udziału w tej nieuczciwej grze, oświadczając, że jego honor żołnierski nie pozwala mu walczyć niecznymi środkami.

KONIEC.



SPIS RZECZY:

	Str.
Przedmowa	
I. Z Najwyższego Rozkazu	7
II. Praca w Konsulacie	12
III. Rozruchy	15
IV. 1 Maj 1905 roku	17
V. Moje interwencje	19
VI. Stali goście Konsulatu	21
VII. Artykuł „Kurjera Warszawskiego“	21
VIII. Woźni Konsulatu	23
IX. Moje przeniesienie do Kanady	24
X. Przygotowanie wyjazdu do Kanady	24
XI. Nowy Jork w roku 1905	29
XII. Montreal	33
XIII. Życie towarzyskie i Korpus Konsularny	37
XIV. Znowu w New Jorku	49
XV. Akcja Św. Synodu przeciw Austrii	57
XVI. Aleksander Nuber von Pereked	61
XVII. Józef Ueberall	65
XVIII. Sprawa hrabiego Auersperga	71

	Str.
VIX. Wizyta politycznych osobistości	75
XX. Wielkie zmiany w dyplomacji Austro-Węgier	80
XXI. Zdrada Stanu	88
XXII. Wojna	89
XXIII. Polacy w Ameryce w dobie walki o niepodległość	94
XXIV. Sprawa Ambasadora Dumby	105
XXV. Zbiórki pieniężne	113
XXVI. Propaganda publicystyczna	117
XXVII. W opresji	120
XXVIII. Umowa Pittsburska	124
XXIX. Na okręcie	127
XXX. We Wiedniu	133
XXXI. W Berlinie	137
XXXII. Konkluzja	149



PRINTED IN POLAND